Tysiące seniorów żyją bez opieki ▪ Katolicy od Brauna ▪ Jak podejść Trumpa
Rumunia zdała egzamin ▪ Czterdziestolatek u lekarza ▪ O kinie z Cannes

Kraków 28 maja – 3 czerwca 2025 nr 22 (3960) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Twoje wybory
Ich obietnice
Polskie pragnienia

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 006de9ef55

REKLAMA

BOK

13. FESTIWAL WSCHÓD KULTURY

WYMIAR XXI

10–13 LIPCA
BIAŁYSTOK

KONCERTY
SPEKTAKLE

WYSTAWY
SPOTKANIA

FILMY
WARSZTATY

WSTĘP WOLNY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE CENTRUM KULTURY

BOK Białostocki Ośrodek Kultury

Białystok

WSCHÓD KULTURY

KS. ADAM

Boniecki: *Wybieramy z dwóch*

Po pierwszej turze wyborów prezydenckich szanse obu kandydatów na zwycięstwo w drugiej turze są niemal identyczne. Myślę o tym, co będzie po wyborach. Jedno jest pewne: tak czy inaczej, połowa wyborców będzie sfrustrowana, rozgoryczona, może nawet wściekła, bo do wyboru naszego kandydata podchodzimy w obecnych czasach bardzo emocjonalnie. I nie chodzi o to, czy emocje są uzasadnione, czy niesłuszne, ale o to, że przyjdzie nam dalej żyć w kraju, którego obywatele podzieleni są na dwie połowy. Dziś jeszcze nie wiemy, która połowa będzie górą, wiemy jednak, że druga połowa będzie głęboko sfrustrowana. W wypowiedziach kandydatów da się usłyszeć obietnice, że będą się starali zmniejszyć – bo przecież zlikwidować się nie da – rozgoryczenie tej drugiej połowy. Nadzieja więc jakaś jest, ale dobrze wiemy, że słaba.

Jeśli na fotelu prezydenckim zasiądzie Karol Nawrocki, usatysfakcjonowani będą wszyscy, którzy obawiali się Donalda Tuska. Legenda związana z jego osobą tak bardzo się wbiła w głowy wielu, że nieprędko stanie się ona tylko jedną z wrednych wersji przeszłości. Kompetencje prezydenta w Polsce nie są wielkie. Wiemy jednak dobrze, że może nie podpisywać ustaw i niektórych nominacji, i w efekcie doprowadzić nawet do paraliżu rządu. Czy do tego będzie się uciekał prezydent Karol Nawrocki? Wiadomo, że jest człowiekiem słabego charakteru, ale lubiącym uciekać się do siły. Nie wiemy jeszcze, jakich dobierze sobie doradców, to może być ważne. Ta połowa społeczeństwa, która obstawiała Rafała Trzaskowskiego, będzie musiała pogodzić się z wolą większości (nawet niewielkiej). Patrząc na historię najnowszą wiemy, że bywało znacznie trudniej, a jednak przetrzymaliśmy i dość szybko weszliśmy w normalność. Dodajmy wreszcie, że przeciwnicy (w wyborach) Nawrockiego nadal mają wiele możliwości przygotowania się do przyszłych wyborów według własnej, także nabytej za jego prezydentury mądrości.

Jeśli szala wyborów przechyli się na stronę Rafała Trzaskowskiego, druga połowa wyborców będzie ciężko rozgoryczona. Ale i bez tego nowemu prezydentowi i rządowi łatwo nie będzie. Nawet przy lepszych niż w przeszłości relacjach z Unią Europejską trudno oczekiwać, że wszystkie problemy, np. naszego uzbrojenia, weźmie ona na siebie. Cóż, nad naszą częścią świata wisi groźba wojny i żaden rząd oraz żaden prezydent nie będzie mógł zaniechać podejmowanych już dziś starań o zabezpieczenie pokoju. Łatwo takie zdanie napisać, trudniej realizować.

Ważne jest, by zaangażowania w sprawy ojczyzny nie zawężać do wyniku wyboru prezydenta. Nie mówię, że między tymi sprawami nie ma ścisłych powiązań, ale nie ma zależności sprawczo-skutkowej. Nawet jeśli są w nas duże opory wobec konkretnego prezydenta, jest jeden prezydent wybrany większością głosów tych, którzy się zaangażowali. Jest jeden prezydent i jedna Polska. To jest miara spoczywającej na nim odpowiedzialności. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA”

KRAKÓW KS. BONIECKIEGO
Tu mieszka, pracuje, spowiada redaktor senior „Tygodnika”. Oprowadzi Was po swoich miejscach.

PIOTR ŚMIŁOWICZ
Wybraliśmy prezydenta, ale czy naprawdę wiemy, do czego jest nam potrzebny? Dziś bardziej niszczy niż tworzy.

MARIA WIŚNIEWSKA
Temu i Shein: chińskie platformy handlowe wchodzą agresywnie na rynek Europy. To jeszcze handel, czy już polityka?

Podczas pracy nad tym numerem gościliśmy w redakcji grupę kilkunastu krakowskich licealistów. Pracujemy wspólnie nad specjalnym numerem „Tygodnika", który ukaże się pod koniec czerwca. Oddamy w nim głos nastolatkom, to oni zdecydują, o czym i w jaki sposób chcą Państwu opowiedzieć. Co jest dla nich ważne? Czym żyją na co dzień? Co ich cieszy, wkurza, przejmuje? Sami jesteśmy ciekawi i o tej ciekawości dużo z naszą grupą młodych dziennikarek i dziennikarzy rozmawialiśmy.

Zanim jednak znajdą Państwo na łamach ich teksty, zachęcam do przeczytania materiałów, w których o sobie mówią trochę młodsze Polki i młodsi Polacy – różnych wyznań, w różnym wieku. W co wierzą? Co jest dla nich ważne? Czym jest dla nich dobro? Dziewięcioletnia Rutka mówi, że dobrzy jesteśmy „wtedy, gdy traktujemy kogoś tak, jak byśmy chcieli, by traktował nas". Wtedy czujemy się również wolni. Co jest najważniejsze w życiu? Według Cecylii Mroczkowskiej, „dopóki na świecie są osoby, z którymi chcemy odbudować relacje, musimy zrobić to szybko". Inaczej, dodaje Mykola, wyginiemy jak dinozaury.

W parze z tekstem **MARCINA TUSIŃSKIEGO** polecam lekturę reportażu **ELIZY LESZCZYŃSKIEJ-PIENIAK** o kryzysach emocjonalnych, które pojawiają się u coraz młodszych dzieci. Jak im zapobiegać? Jak je rozpoznawać? „Każdego dnia konsultanci telefonu zaufania odbierają około 300 połączeń, aż 130 z nich dotyczy problemów ze zdrowiem psychicznym: z depresją, niską samooceną, stresem, niepokojem, lękiem". Te telefony dzwonią także dlatego, że dzieci czują, iż nie mają osoby, z którą mogłyby szczerze porozmawiać w domu. Tymczasem, jak mówi siedemnastoletnia Amina, „najważniejsze w życiu jest mówienie sobie dobrych słów".

Chciałabym Państwa zostawić z takim wnioskiem, ale pozwolę sobie jeszcze zaprosić do lektury wyjątkowo obszernego działu **KULTURY**, w którym, wśród bieżących wydarzeń, pojawia się sylwetka amerykańskiego komiksiarza **ROBERTA CRUMBA**. I choć może dobre słowa się z nim nie kojarzą, był człowiekiem, który śmiało walczył o prawdę. Nie trafiały do niego ani moda, ani kultura dzieci kwiatów. Ubierał się jak agent ubezpieczeniowy, a zamiast psychodelicznego rocka słuchał ragtime'u. Jak to się stało, że projektant pocztówek został twarzą amerykańskiej rewolucji? Wyjaśnia **REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI**. ©℗

MONIKA OCHĘDOWSKA
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.

18 Suma drobiazgów
PIOTR ŚMIŁOWICZ
O wyniku wyborów prezydenckich może zdecydować kilkaset tysięcy głosów, więc znaczenie może mieć nawet mały błąd.

42 Kod pana Brauna
MARCIN KĘDZIERSKI
Grzegorz Braun nie tylko zdobył ponad milion głosów w wyborach prezydenckich – stał się symbolem przemiany, jaka dokonuje się w polskim katolicyzmie.

61 Szkoda, że musiałam na Karola
ELIZA KĄCKA
„Bo ja z Karolem mam problem w tych kwestiach. Jakoś mnie jego uśmiech niepokoi...". „Aha". „Wiadomo, też jest moralny, bo nasz...". „Nasz". „...ale jakby prezes naznaczył Brauna, to ja bym go brała".

GRAŻYNA MAKARA // GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL // ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // GRAŻYNA MAKARA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Dzień w dzień, noc w noc
ANNA ŁABUSZEWSKA

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Suma drobiazgów
PIOTR ŚMIŁOWICZ

22 Zbadaj się
MAŁGORZATA SOLECKA *o bilansie zdrowia dorosłych. Ilu z nas zechce zatroszczyć się o siebie?*

24 Dzieci dzwonią w nocy
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK: *Zdecydowanie zbyt późno rozpoznajemy kryzysy emocjonalne u najmłodszych. Dlaczego tak się dzieje?*

■ ■ ROZMOWA

30 Czego pragną wyborcy
MARCIN DUMA, PREZES IBRIS: *Podział wykreowany przez Kaczyńskiego i Tuska dobrze sprawdza się u ludzi, którzy dojrzewali w PRL lub w czasach transformacji. Dla młodych to już historia*

■ ■ ŚWIAT

32 Kurdowie na zakręcie historii
KRZYSZTOF STRACHOTA: *Samorozwiązanie Partii Pracujących Kurdystanu kończy trwającą prawie pół wieku epokę w dziejach Bliskiego Wschodu. Ale historia Kurdów toczy się nadal*

36 Sposób na Trumpa
MARTA ZDZIEBORSKA *rozmawia z byłym doradcą prezydenta USA ds. bezpieczeństwa*

39 Cienie Rzymian i Daków
PIOTR OLEKSY *o tym, że w wyborach prezydenta Rumunii nie chodziło o osobowości kandydatów, tylko o mitologię*

■ ■ WIARA

42 Kod pana Brauna
MARCIN KĘDZIERSKI

45 Świętość obroni się sama
STANISŁAW ZASADA: *O wykorzystanych seksualnie przez Sowietów zakonnicach mówiło się, że „broniły czystości". Słowa „gwałt" unikano. Katarzynki to zmieniły*

TEMAT TYGODNIKA

12
Ze starymi naprzód iść
MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Sprawa relacji Karola Nawrockiego z Jerzym Ż. zelektryzowała Polskę. Tymczasem dziesiątki tysięcy seniorów, nie mniej lekceważonych przez polityków, żyją w samotności i biedzie.

KRZYSZTOF RADZKI / EAST NEWS

■ FELIETONY ■

17 STANISŁAW MANCEWICZ
27 OLGA DRENDA
50 ZUZANNA RADZIK
61 ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE: KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

47 Niebo to najfajniejsza miejscówka
MARCIN TUSIŃSKI *rozmawia z dziećmi różnych wyznań, religii i kultur*

51 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

52 Nigdy nie czułem się tu obco
JĘZYKOZNAWCA JAN MIODEK *opowiada o polszczyźnie Ziem Odzyskanych*

■ ■ NAUKA

56 Zabawa w chowanego
MARIUSZ GOGÓL: *Przeżycie lub złapanie ofiary zależy często od tego, czy zwierzęta potrafią wtopić się w otoczenie. Tę sztukę wyjątkowo rozwinęły pająki*

■ ■ KULTURA

62 Brat Mann
WOJCIECH ENGELKING: *Tomasz Mann skrajnie reagował na końce światów, które przeżywał. Dlatego w 150-lecie jego urodzin jest pisarzem tak ciekawym*

66 Mrok to nasz dom
SEBASTIAN BARRY, PISARZ: *Literatura, muzyka, malarstwo są dowodem, że zasługujemy na przebaczenie*

69 Pan Mizantrop
REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI *portretuje komiksiarza Roberta Crumba*

73 Polecamy
WYSTAWA, KSIĄŻKA, SERIAL

74 List miłosny
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Wszystkie odcienie światła"*

75 Życie niemożliwe
LEKTOR *o książce Ireny Grudzińskiej-Gross „Wielka karuzela. Życie Aleksandra Weissberga-Cybulskiego"*

■ ■ ZMYSŁY

78 Cyrk i katedra
MICHAŁ WALKIEWICZ *z Cannes*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 60

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

DZIEŃ W DZIEŃ, NOC W NOC

Muzycy mówią na taką sytuację: *Da capo al fine*. Cokolwiek by Putin zrobił, Trump powtarza ten sam schemat reakcji. W tym mantrę, że wierzy w pokojowe intencje władcy Kremla. I znów wracamy do punktu wyjścia.

ANNA ŁABUSZEWSKA

W poniedziałek 19 maja odbyła się rozmowa telefoniczna Trump–Putin. Trwała dwie godziny. Czy przybliżyła pokój choć o jeden dzień? Optymizmu jak na lekarstwo. Albo jeszcze mniej. Spektakl pt. „Imitacja chęci rozmów i woli pokoju" w reżyserii Putina trwa, a rosyjska armia zabija Ukraińców. Co dzień i co noc: przez kilka ostatnich nocy Rosjanie prowadzili niezwykle zmasowane ataki z powietrza na wiele miast, w tym na Kijów. Znowu zginęli cywile, w tym dzieci.

TRUMP O PUTINIE | To była trzecia rozmowa telefoniczna między Kremlem a Białym Domem od 12 lutego, gdy Trump zadzwonił do Putina po raz pierwszy (druga odbyła się w marcu). Trump uznał tę ostatnią rozmowę za „świetną", a potencjał Rosji określił jako „nieograniczony". Wyraził przekonanie, że niebawem zaczną się negocjacje między Rosją i Ukrainą.

W sieci społecznościowej Truth Social napisał: „Rosja i Ukraina bezzwłocznie rozpoczną rozmowy o zawieszeniu broni i – co o wiele ważniejsze – o zakończeniu wojny. Warunki zostaną omówione przez obie strony". I dalej: „Rosja chce handlować ze Stanami Zjednoczonymi na dużą skalę, kiedy zakończy się ta katastrofalna krwawa łaźnia. Rosja ma wielkie możliwości, aby utworzyć ogromną liczbę miejsc pracy i bogactwa. Ukraina też może stać się beneficjentem handlu w procesie odbudowy swojego kraju". Ale te konfitury dopiero po wojnie.

PUTIN O TRUMPIE | Z kolei Władimir Putin po rozmowie wyszedł do dziennikarzy i wygłosił krótki komunikat. Wyglądał na zmęczonego, starannie dobierał słowa, każde owijając zastrzeżeniami w rodzaju „być może", „ewentualnie", „w przyszłości". Określił rozmowę jako „pełną treści i szczerą".

„Prezydent USA przedstawił swoje stanowisko w sprawie przerwania działań zbrojnych, ja ze swej strony zaznaczyłem, że Rosja również opowiada się za pokojowym uregulowaniem ukraińskiego kryzysu.

POWYŻEJ:
Mieszkańcy zniszczonego osiedla w Kijowie po nocnych nalotach rosyjskich. 25 maja 2025 r.

Musimy po prostu wyznaczyć najbardziej efektywne drogi, którymi będziemy zmierzać do osiągnięcia pokoju" – mówił. Zapowiedział, że Rosja gotowa jest do podjęcia rozmów z Ukrainą o wypracowaniu memorandum pokojowego. Lecz warunkiem „możliwego porozumienia pokojowego jest określenie odpowiednich czynników, takich jak zasady uregulowania, termin zawarcia porozumienia pokojowego, w tym możliwe zawieszenie ognia w wyznaczonym czasie w razie osiągnięcia odpowiednich porozumień".

A zatem Putin faktycznie odrzucił zawieszenie broni: może kiedyś, ale nie teraz. Teraz chcemy strzelać i zabijać. Wszystko jest możliwe, byle na naszych warunkach. W przyszłości.

„PRAPRZYCZYNY" | Przy tym Putin znów wyciągnął dobrze znaną płytę: „dla Rosji najważniejsze jest, aby usunąć praprzyczyny konfliktu". Rosja nie zamierza zmieniać swojego podejścia do wojny. Słowo-klucz to „praprzyczyny". Czyli to, z czym Rosja zaczęła agresję w 2022 r. Celem jest nadal zniszczenie ukraińskiej państwowości, zawrócenie Ukrainy z drogi na Zachód. Na obecnym etapie Rosji zależy na międzynarodowym uznaniu dla zdobyczy terytorialnych (na początek: Krym plus cztery wschodnie obwody Ukrainy). I na maksymalnym przeciąganiu przymiarek do procesu pokojowego, co pozwala unikać nowych sankcji USA.

Ogólnikowe deklaracje „możliwego porozumienia pokojowego" to przykrywka dla niechęci Rosji wobec zakończenia wojny lub choćby tylko rozejmu. Według mediów Trump po rozmowie z Putinem przekazał europejskim przywódcom z „koalicji chętnych" komunikat: Putin uważa, że wygrywa i dlatego nie dąży do pokoju. Rzeczniczka Białego Domu wyjaśniła, że zaraz potem Trump kilkakrotnie powtórzył, iż Putin jednak chce zakończenia wojny.

W WATYKANIE? | Trump zaznaczył, że na razie nie zamierza wprowadzać dodatkowych sankcji wobec Rosji, licząc na jej pokojowe zamiary. Prezydent USA otwiera przed Putinem kolejne okno możliwości: bez nacisków, bez sankcji dogadajcie się z Ukrainą. Tyle że to wyjątkowo nieskuteczna taktyka wobec agresora, który wierzy tylko w siłę. Poprzednie prezenty Trumpa Putin przyjął z zimną satysfakcją i nie ustąpił ani na krok.

Teraz rządowa „Rossijskaja Gazieta" pisała po ostatniej rozmowie: „Trump nie wiąże dalszego dialogu Rosji i USA z uregulowaniem na Ukrainie". Putin zapewne wierzy, że dotychczasowa technika uników może trwać w nieskończoność i przynosić mu kolejne prezenty od Waszyngtonu.

Nowym pomysłem Trumpa jest posadzenie przedstawicieli Rosji i Ukrainy przy stole rokowań w Watykanie. Prezydent USA był obecny na pogrzebie papieża Franciszka i słuchał słów nowego papieża Leona XIV o potrzebie osiągnięcia pokoju. Jednak Moskwa po kilku dniach z wyniosłością odniosła się do propozycji spotkania w Watykanie. Szef MSZ Siergiej Ławrow oznajmił: wariant nie jest zbyt realistyczny, to nie jest dobre miejsce na rozmowy dwóch krajów prawosławnych i byłoby to „troszkę nieeleganckie" (ciekawe, że Rosja nie protestowała wobec propozycji spotkań w Turcji, a więc państwie, w którym przeważają wyznawcy islamu). Ot, kolejny wybieg i wykręt.

NARZĘDZIE | Putin nadal chce więc grać w wojnę. To na obecnym etapie wygodne narzędzie utrzymania władzy i prowadzenia polityki. Także zagranicznej. Być może w końcu uda mu się przekonać Trumpa, że wojna sobie, a interesy sobie, i że mogą się dogadać bez porozumień pokojowych.

Czy ten zamysł ma szanse powodzenia – to pytanie otwarte. Po ostatnich atakach na Kijów Trump napisał w sieci: „Czy Putin zwariował? Niepotrzebnie zabija mnóstwo ludzi". Jednocześnie jednak napomniał ukraińskiego prezydenta za jego wypowiedzi. *Da capo al fine.* ©

Tekst ukończono 26 maja o godz. 10.00

DANYLO ANTONIUK / GETTY IMAGES

Manewry cieni

MAREK RABIJ

PODEJRZANE PĘTLE, KTÓRE NAD PODMORSKĄ INFRASTRUKTURĄ energetyczną kręcił w ubiegłym tygodniu na Bałtyku tankowiec należący do rosyjskiej floty cieni, zmusiły polskie wojsko do interwencji. Na miejsce najpierw poleciał samolot zwiadowczy, a w ślad za nim ruszył okręt marynarki wojennej. Intruz się oddalił, kable biegnące w tym miejscu dnem Bałtyku z Polski do Szwecji pozostały nietknięte, ale nasza marynarka musi się jeszcze upewnić, czy na dnie nie pozostawiono jakichś przykrych niespodzianek.

Rosja na Bałtyku bawi się z NATO w kotka i myszkę. Jej flota cieni, czyli ok. 400-600 statków pływających formalnie pod różnymi banderami, nie tylko pomaga Moskwie obchodzić sankcje w handlu ropą.

Wywiady państw członkowskich wiążą je także z serią podejrzanych awarii podmorskiej infrastruktury energetycznej i telekomunikacyjnej na Bałtyku.

I tak, w listopadzie 2024 r. na szwedzkich wodach przerwane zostały dwa kable telekomunikacyjne, o co podejrzewano chiński statek towarowy „Yi Peng 3", który tuż przedtem kręcił się w ich pobliżu. W grudniu zerwane zostało łącze energetyczne EstLink2 biegnące po dnie Zatoki Fińskiej tuż po tym, jak w pobliżu operował tankowiec „Eagle S", pływający od niedawna pod banderą Wysp Cooka. Doszło też do zniszczenia czterech podmorskich kabli do transmisji danych między Finlandią a Estonią i Niemcami. Rok wcześniej w podobnych okolicznościach uszkodzeniu uległ gazociąg Balticconnector; tuż przed awarią przebywał w jego okolicy kontenerowiec „New Polar Bear" pływający pod banderą Hongkongu. Rosja regularnie zakłóca także sygnał GPS, wykorzystując do tego instalacje na terenie obwodu królewieckiego.

W styczniu NATO zdecydowało o stworzeniu Straży Bałtyckiej, wspólnych sił szybkiego reagowania, które mają chronić interesy krajów basenu Morza Bałtyckiego należących do sojuszu w podobny sposób, w jaki za bezpieczeństwo wspólnej przestrzeni powietrznej odpowiada NATO Air Policing.

Rosjanie będą teraz testować ten nowy mechanizm. Manewry ich tankowca w pobliżu kabli między Polską a Szwecją miały zapewne przetestować szybkość reakcji NATO. Dla Polski, która na Bałtyku stawia właśnie wielką farmę wiatrową, a na wybrzeżu buduje elektrownię atomową, kluczowym zadaniem staje się więc odbudowa *de facto* nieistniejącej dziś marynarki wojennej. Koncepcja Bałtyku – akwenu na tyle małego, że dałoby się go rzekomo obronić głównie lotnictwem – jest strategicznie nie do utrzymania. ©℗

Po debatach

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Gdyby trzy ubiegłotygodniowe debaty prezydenckie porównać do meczów piłkarskich, to piątkowy pojedynek między Rafałem Trzaskowskim a Karolem Nawrockim należałoby potraktować jak mecz o bardzo dużą stawkę, w którym obie drużyny koncentrują się głównie na tym, by nie popełnić błędu, licząc raczej na wpadkę przeciwnika. Mecze tego typu są na ogół nużące dla widzów i nie przynoszą rozstrzygnięcia.

Tak było również tym razem. Debata, przez wielu oczekiwana jako *game changer*, nie spełniła swej roli i zakończyła się remisem. Trzaskowski nie zdecydował się na frontalny atak, w rodzaju epatowania czarnymi kartami w biografii rywala, obawiając się zapewne, że to może mu tyleż zaszkodzić, co pomóc. Nawrocki był bardziej ofensywny, ale jego ataki okazały się nieskuteczne.

Czwartkowa rozmowa kandydata PiS ze Sławomirem Mentzenem mogła być sporo ciekawsza, bo dużo bardziej bezpośrednia. Nawrocki nie wyszedł jednak na boisko, by toczyć ostrą rywalizację, wyglądał, jakby zależało mu głównie na tym, aby ładnie przegrać.

Kandydat PiS płaszczył się przed Mentzenem, we wszystkim mu przytakiwał i szybko podpisał ośmiopunktową deklarację. Czy zyskał tym szacunek?

Sobotnia rozmowa Mentzena z Rafałem Trzaskowskim była natomiast meczem, w którym obie drużyny grały bez obciążeń, przez co mogły pokazać wyższy poziom, a spotkanie mogło podobać się widzom. Obie drużyny zyskały, choć Trzaskowskiemu na pewno nie pomogły zarzuty o finansowanie brudnej kampanii internetowej zza granicy.

Mimo że Trzaskowski nie podpisał deklaracji Mentzena i w kilku sprawach fundamentalnie się z nim nie zgodził, zarówno poziom debaty, jak i jej forma – zdecydowanie górowały nad rozmową Mentzen–Nawrocki.

Nie wiadomo, czy lider Konfederacji wypowie się, jak zagłosuje. Programowo bliżej mu do Nawrockiego, jednak inne czynniki, choćby frontalny atak pisowców za słynne już piwo z Trzaskowskim i Sikorskim, mogą skłaniać go do innych wniosków.

Przebieg debat – nie bez znaczenia była chronologia – pozwala na stwierdzenie, że za kandydata, dla którego ich bilans jest korzystniejszy, należy uznać Rafała Trzaskowskiego. ©℗

Kto zdobył Warszawę

MAREK KĘSKRAWIEC

Obywatele wykazali w niedzielę wyższą kulturę sporu niż politycy, którzy zwołali ich na marsze do stolicy. Biorąc pod uwagę, że manifestowało ponad 200 tys. osób (niemal 150 tys. u Trzaskowskiego, zwolenników Nawrockiego pojawiło się mniej, ok. 70 tys.), było bardzo spokojnie. Zwaśnione grupy spotykały się w setkach miejsc, a jednak nie doszło do rękoczynów, mimo że politycy codziennie nas do nich prowokują.

Sztaby przyjęły odmienną taktykę. Trzaskowski i jego ludzie próbują odtworzyć emocje z wyborów w 2023 r. i wzmocnić choć na chwilę rdzewiejący sojusz. Przed marszem przemawiali wszyscy liderzy koalicji, łącznie z premierem, zostawiając finał samemu Trzaskowskiemu. Próbował on przekonać wyborców, że zadba tak samo o tradycjonalistów, jak o ludzi skupionych na ukrytej w kampanii agendzie progresywnej. Wyraźnie zależało mu, by zmobilizować tę część elektoratu, która rozczarowała się koalicją z powodu rosnących kosztów życia (Tusk obiecywał w 2023 r. złote góry, jeśli pozbędziemy się „nieudaczników" z PiS, blokujących nasze miliardy z KPO). Przypominał też, jaki skok cywilizacyjny jest za nami, obiecywał popędzanie rządu i kusił „lotem na Księżyc". Mamy przestać lać tylko beton, ale uwolnić energię dla prawdziwych projektów przyszłości.

Ludzi na wiecu kandydat PO porwał, ale czy poszerzył elektorat? W jego kampanii brakowało mi konkretnych pomysłów, o których mówiłby z pasją, zamiast wciąż straszyć Nawrockim.

Kandydat PiS i jego sztab zastosowali odmienną taktykę. Nawrocki aż przytłaczał patriotyzmem (mamy być Witoldami Pileckimi czasu pokoju), zarazem obiecywał mieszkania i obronę przywilejów socjalnych. Na scenie i na czele pochodu nie było liderów partyjnych; Kaczyński nie wierzy, by on i inne twarze 8-letniej epoki PiS mogły być wartością dodaną. To ryzykowna taktyka w kontekście ciągłych zarzutów, z którymi musi mierzyć się kandydat, ale skuteczna. TV Republika stała się mistrzem w manipulacji, przykrywając choćby nałóg Nawrockiego (niepotrafiącego przetrwać debaty bez wspomagania się nikotyną na wizji) czerwonymi paskami, przez całą niedzielę sugerującymi narkomanię konkurenta.

W sondażach mamy remis ze wskazaniem na zapewne lekko niedoszacowanego Nawrockiego. Czeka nas teraz tydzień obrzucania błotem, choć sądzę, że więcej głosów dałoby się wycisnąć z pozytywnej agendy. Trzeba tylko ją mieć. ©℗

Rafał Trzaskowski i Donald Tusk podczas Wielkiego Marszu Patriotów. Warszawa, 25 maja 2025 r.

DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

NA PUNKTY

NIKOTYNA
„Człowiek, który jest zwierzchnikiem sił zbrojnych, nie może mieć takich nałogów, które powodują, że nie w pełni świadomie będzie podejmował decyzje" – powiedział Andrzej Duda, komentując fakt, że Karol Nawrocki w trakcie debaty wyborczej ukradkiem sięgnął po snus z nikotyną. Ocena ta nie zmienia faktu, że prezydent chce głosować na kandydata PiS.

ALKOHOL
Fakt, że po dyskusji programowej z Rafałem Trzaskowskim Sławomir Mentzen poszedł z nim na piwo, wzburzył prawą stronę zdecydowanie bardziej. „Skąd ta zdrada? Zakulisowe presje? Szantaże? Małostkowość? Jedno jest jasne: Sławomir Mentzen idzie drogą Janusza Radziwiłła" – ocenił na portalu wpolityce.pl niezawodny Jacek Karnowski.

PIRAMIDA
Z alkoholem lepiej uważać. „Jestem bankrutem, bezrobotnym, bezdomnym" – powiedział w wywiadzie dla goniec.pl Janusz Palikot, były producent alkoholu i polityk, podejrzany o doprowadzenie do niekorzystnego rozporządzenia mieniem setek osób na kwotę ok. 70 mln zł. ©℗

Prowokacje celne Trumpa

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

Nikt nie chce z nim rozmawiać tak, by to on znalazł się w centrum uwagi? Takie pytanie się nasuwa, gdy się obserwuje, jak Donald Trump (na zdj.) wytacza w wojnie celnej najcięższe działa, po czym pośpiesznie je chowa. W piątek prezydent USA ogłosił, że od 1 czerwca nakłada 50-procentowe cła na Unię Europejską. Oznaczało to, że wycofuje się z decyzji, iż zawiesza cła 20-procentowe, które nałożył w kwietniu. W niedzielę zadzwoniła do niego przewodnicząca Komisji Europejskiej i amerykański prezydent ogłosił, że „jest dla niego zaszczytem", iż może się wycofać z własnej decyzji. Co dla Ameryki dzięki tym posunięciom zyskał jej przywódca, poza tym, że znów mógł mieć poczucie, iż steruje światem?

SAUL LOEB / AFP / EAST NEWS

Trump od dawna powtarza, że Unia Europejska istnieje, by wyzyskiwać USA, a dowodem na to ma być deficyt handlowy wynoszący 236 mld dolarów. Jeśli wojna celna to sposób na rozbicie Unii, to na razie mu nie wychodzi. Krajem, który najmocniej by na takiej wojnie stracił, są Włochy, gdzie rządzi ulubienica amerykańskich konserwatystów Giorgia Meloni. Tyle że ona, zamiast wyłamywać się z bloku, już w kwietniu nie wykluczała, że jeśli USA rzeczywiście nałożą cła na UE, należy odpowiedzieć tym samym.

Bruksela stara się nie dać wciągnąć w spiralę prowokacji Trumpa, świadoma, że na wzajemnym nakładaniu ceł stracą obie strony. Wcześniej zapowiadano, że nowa umowa handlowa ma zostać wynegocjowana do 9 lipca, ale z Trumpem jako partnerem takie zapowiedzi mają wartość horoskopu.

W tle jest jeszcze spór Trumpa z Chinami. Waszyngton może chcieć wymusić na Brukseli, by przyłączyła się do restrykcji nałożonych na Pekin, ale jednocześnie próbować podpisać umowę, która dałaby na chińskim rynku preferencyjną pozycję jego firmom. Tymczasem w lipcu ma dojść do historycznego szczytu UE–Chiny, który będzie okazją na przedstawienie kontrpropozycji.

Trump chce wywrócić handel światowy do góry nogami i niewykluczone, że to chaos jest tu głównym celem, choć pieniądze nie lubią takiego zamieszania. Geopolityka natomiast nie znosi próżni, za to doskonale znosi widowiska. ©

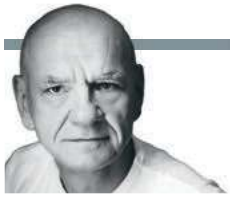

Netanjahu nie chce końca wojny

DARIUSZ ROSIAK

Premier Izraela oskarżył przywódców Wielkiej Brytanii, Kanady i Francji o sprzyjanie „masowym mordercom, gwałcicielom, dzieciobójcom i porywaczom". To reakcja na ich oświadczenie określające działania Izraela w Gazie jako „nieproporcjonalne", a sytuację w Strefie jako „nie do zniesienia". W samym Izraelu również trwa ostra wymiana zdań: były zastępca szefa sztabu armii Jair Golan powiedział, że Izrael „zabija dzieci w Gazie dla zabawy", a były premier Ehud Olmert nazwał rząd „grupą bandziorów".

Nie zmienia to w żaden sposób stanowiska Netanjahu, który nie chce zawrzeć porozumienia kończącego wojnę, a tylko takie może dać wolność prawie 60 zakładnikom ciągle przetrzymywanym przez Hamas. Zawarcie umowy z Hamasem oznaczałoby upadek rządu i początek rozliczeń winnych błędów, które umożliwiły atak na Izrael z 7 października 2023 r.

Od wznowionej przez Izrael w ubiegłym tygodniu ofensywy codziennie ginie kilkudziesięciu Palestyńczyków. Atakowane są szkoły i szpitale, obie strony oskarżają się o używanie cywilów jako żywych tarcz. Kontrolowane przez Hamas władze Gazy twierdzą, że w wojnie zginęło ponad 53 tys. Palestyńczyków, w tym ponad 16 tys. dzieci. Izrael podaje, że ok. 20 tys. zabitych to członkowie Hamasu. Statystyk obu stron nie da się zweryfikować, ale pewne jest, że 2,3 mln Palestyńczyków ściśniętych w Gazie jest w krytycznym położeniu: według ONZ jednej piątej ludności grozi głód i bez wznowienia pomocy na poziomie sprzed wojny nie ma mowy o poprawie sytuacji. Kryzys humanitarny został spotęgowany 11-tygodniową blokadą (Izrael twierdził, że Hamas przechwytuje pomoc i sprzedaje cywilom).

Deklarowanym krótkoterminowym celem Izraela jest przesiedlenie całej ludności palestyńskiej na skrawek ziemi na południu Strefy i przekazanie dystrybucji pomocy nowo powstałej organizacji wspieranej przez USA. Ciągle nie wiadomo jednak, jaki jest cel długoterminowy. Najbardziej skrajni ministrowie mówią o przejęciu Gazy na stałe i zasiedleniu przez Żydów. ©

ARCHIWUM PRYWATNE

MARCIN GAJDA, DIAKON, WSPÓŁORGANIZATOR SPOTKANIA „MISTYKA CISZY”:

Kryzys Kościoła jest w dużej mierze kryzysem duchowości

PIOTR SIKORA: Środowiska kontemplacyjne z całej Polski spotkały się w ostatnią sobotę w Warszawie. Po co?
MARCIN GAJDA: Do tej pory te środowiska działały osobno, teraz zaczęły współpracować, poznawać się, nawiązywać bliższe relacje. Ale spotkanie było otwarte także dla ludzi dotąd niezaangażowanych. Przyjechało ponad czterysta osób, które uczestniczyły w Eucharystii, modlitwie w ciszy, konferencjach i indywidualnych rozmowach. Można było zobaczyć różnorodność wspólnot i praktyk...

Można siedzieć w modlitewnej ciszy na różny sposób?
Tak, istnieją pewne różnice. Choć na tym spotkaniu bardziej widoczne były podobieństwa. Myślę jednak, że w dzisiejszym tak podzielonym świecie doświadczenie jedności i wzajemnej otwartości ludzi pochodzących z różnych środowisk jest bezcenne.

Kim byli uczestnicy?
Wielu to ludzie już od pewnego czasu zainteresowani i praktykujący jakąś formę modlitwy kontemplacyjnej. Ale były też osoby, które dopiero przy tej okazji dowiedziały się, że istnieje taki nurt duchowości w chrześcijaństwie.

Czy to wydarzenie może mieć szersze znaczenie dla Kościoła w Polsce?
Jeśli popatrzeć na chrześcijaństwo z perspektywy takich wielkich postaci jak np. św. Jan od Krzyża, to widać, że Kościół w Polsce utknął w sferze intelektu i koncentruje się na sprawach formalnych i organizacyjnych.

Są przecież grupy ewangelizacyjne i charyzmatyczne...
Według Jana od Krzyża duchowość tam praktykowana to zaledwie początkowe ścieżki. Zjednoczenie z Bogiem – o co powinno chodzić w chrześcijaństwie – następuje na etapie kontemplacyjnym. Tak więc pokazanie, że istnieje w naszej tradycji perspektywa duchowa, która często nie jest w ogóle znana – że można wyjść poza modlitwę dyskursywną, ku kontemplacyjnej ciszy, jest bardzo ważne.

Czy w czasach sekularyzacji nie powinniśmy się jednak skoncentrować na tych początkowych etapach duchowości? Czy jest sens proponować praktykę kontemplacyjną ludziom, którzy zadają sobie pytanie, czy w ogóle są wierzący?
Nie neguję potrzeby aktywności charyzmatyczno-ewangelizacyjnej. Ale właśnie dlatego, że kryzys Kościoła jest w dużej mierze kryzysem duchowości, spłycenia naszych praktyk, warto proponować ludziom, także tym odchodzącym i poszukującym, ścieżki duchowe jednocześnie głębokie i pomagające mierzyć się z konkretnymi wyzwaniami egzystencjalnymi. Inaczej za moment w ogóle nas nie będzie.

Jak modlitwa w ciszy może być pomocna w takich konkretnych problemach życiowych?
Nawet na poziomie biologicznym i psychologicznym uspokojenie umysłu ma bardzo pozytywny wpływ na jakość życia i zdrowie psychiczne. A jednocześnie jest to postawa, w której przyjmujemy udzielanie się nam Boga, którego nie jesteśmy w stanie pojąć. Kontemplacyjne zjednoczenie z Bogiem przekłada się zaś na konkretną miłość do ludzi.

©℗ Rozmawiał PIOTR SIKORA

Papież-niespodzianka. Co myśli i planuje Leon XIV

WATYKAN ■ „Papieże odchodzą, kuria zostaje” – mówił Leon XIV na pierwszym spotkaniu z kierownictwem i pracownikami kurii oraz państwa watykańskiego. Sięgnął po przysłowie często w tym środowisku powtarzane – choćby w ostatnich latach, w formie pocieszenia, gdy Franciszek zamrażał kurialne pensje i zmieniał system emerytalny. Ale w jego ustach był to wyraz uznania dla trwałości watykańskich instytucji, które troszczą się o „historyczną pamięć Kościoła”. Nawiązał zresztą do słów Franciszka, że pamięć jest ważna, ale nie po to, „by patrzeć w przeszłość, tylko ożywiać teraźniejszość i ukierunkowywać przyszłość”. Swoich poprzedników cytuje chętnie (już niemal wszystkich z ostatnich 150 lat, włącznie z Janem Pawłem I), by podkreślić, że zamierza iść w tym samym kierunku. Choć raczej inną drogą. W przeddzień spotkania podjął decyzję o wypłaceniu każdemu pracownikowi Watykanu premii (500 euro) z okazji rozpoczęcia pontyfikatu. Zgodnie ze starym zwyczajem, zaniechanym przez Franciszka.

O kontynuacji – lub jej braku – więcej powiedzą decyzje, choćby personalne. Karuzela z biskupami już się kręci – w dziesięć dni dziesięć nominacji. Co nie dziwi, bo papież zatwierdza decyzje, które sam podjął jako prefekt dykasterii. Ale były też dwie nominacje kurialne, w tym ta najbardziej znacząca – mianowanie s. Tiziany Merletti na sekretarza Dykasterii Instytutów Życia Konsekrowanego. Nawiązanie do polityki personalnej Franciszka czytelne. Choć nie brak głosów (nadziei?), że kobiece nominacje w kurii zatrzymają się teraz na tym poziomie – sekretarza. Franciszek, jak pamiętamy, powierzył kobietom najwyższe z możliwych stanowisk – prefekta dykasterii i prezydenta gubernatoratu, z czym wielu kardynałów do dziś nie może się pogodzić. Czy tak się stanie, dowiemy się niedługo, gdy papież będzie musiał na nowo powołać całe kierownictwo kurii, zatwierdzając lub zmieniając decyzje poprzednika.

„Nie jest łatwo powiedzieć, co on myśli ani jakie decyzje podejmie. To papież-niespodzianka” – mówi Stefan von Kempis, redaktor naczelny niemieckiej sekcji Radia Watykańskiego i autor jednej z pierwszych biografii Leona XIV, w której analizuje życie i dotychczasowe wypowiedzi – czasem sprzeczne – nowego papieża. Pod warstwą pozłotka i słodkiej czekolady z pewnością kryje się niejedna zagadka.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

W ciepłej wodzie rybki się kurczą

ZMIANY KLIMATYCZNE ▪ Z ewolucyjnego punktu widzenia każda cecha organizmu – budowa ciała, sposób życia, skłonności do określonego zachowania – jest inwestycją, która wymaga określonych zasobów (np. energii czy czasu). Aby ta cecha mogła się rozprzestrzeniać w populacji w kolejnych pokoleniach, korzyści odnoszone przez osobniki wynikające z tych inwestycji muszą przeważać nad kosztami. Każdy z nas – każdy organizm – jest sumą tych ewolucyjnych inwestycji, które przez długi czas były rentowne.

Jednak zmiana warunków, w których żyjemy, może sprawić, że rachunek zysków i strat także się zmieni – a populacja będzie ewoluować. Dlatego ocieplający się klimat wywołuje kaskady zmian w populacjach i ekosystemach – przegrzewające się osobniki mogą np. migrować na chłodniejsze tereny, modyfikować swój rozkład dnia, ograniczać liczebność potomstwa – a nawet zmieniać rozmiary ciała.

Dla błazenków (*Amphiprion percula*; na zdjęciu) cielesne modyfikacje są sposobem na życie: ich populacje składają się z samicy o dużych rozmiarach oraz grupki małych samców, z których najwyższy rangą urośnie i przeobrazi się w kolejną samicę, gdy umrze poprzednia. Okazuje się, że ta cielesna plastyczność ma jeszcze jeden wymiar.

Badacze z Uniwersytetu w Newcastle przez pięć miesięcy mierzyli temperaturę środowiska i długość ciała 67 rozmnażających się par błazenków (samic oraz samców o najwyższej randze w stadzie). Większość osobników odpowiadała na fale ciepła kurczeniem się (o kilka procent), by w chłodniejszych okresach ponownie rosnąć. Ta cielesna plastyczność jest korzystna dla osobników – rybki, które silniej modyfikowały rozmiary ciała w odpowiedzi na temperaturę, miały większe szanse na przeżycie i płodzenie potomstwa. Znaczenie dla sukcesu reprodukcyjnego miała też synchronizacja zmian rozmiarów ciała z partnerem.

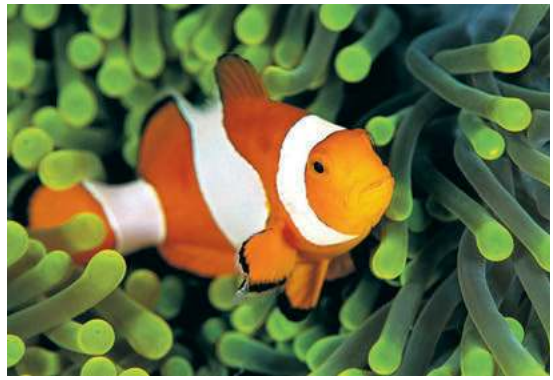

ADOBE STOCK

Badacze sugerują, że podwyższona temperatura wody może utrudniać rybkom dostęp do pożywienia lub tlenu – ograniczanie rozmiarów ciała jest zatem rozsądnym ograniczaniem czasowo nierentownej inwestycji. Inne, mniej plastyczne cieleśnie gatunki, będą musiały sobie radzić z tymi samymi problemami w bardziej radykalny sposób – np. permanentnie redukując rozmiar ciała, co zresztą już obserwujemy u wielu ryb.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Ile zarabiają artyści

WYSTAWY ▪ 23 maja podpisano porozumienie w sprawie wynagrodzeń artystek i artystów biorących udział w wystawach. Zrobiły to cztery instytucje: TRAFO Trafostacja Sztuki w Szczecinie, BWA Wrocław oraz Muzeum Sztuki Nowoczesnej i Zachęta Narodowa Galeria Sztuki w Warszawie. Obywatelskie Forum Sztuki Współczesnej liczy, że z czasem dołączą kolejne instytucje.

Za punkt wyjścia przyjęto wysokość płacy minimalnej – obecnie wynosi ona 4 666 zł. Honorarium za udział w wystawie zbiorowej ma wynieść co najmniej połowę tej kwoty (do tej pory było to 800 zł). Za małą wystawę indywidualną z nowymi pracami artysta ma otrzymać 18 664 zł (dotąd dostawał 1,2 tys. zł), a za dużą – sześciokrotność płacy minimalnej, czyli 27 996 zł (obecnie 3,7 tys. zł). Rozwiązanie wraz z ustawą o zabezpieczeniu socjalnym artystów to pierwsza od 1989 r. regulacja sytuacji bytowej osób tworzących polską kulturę.

„Niskie wynagrodzenia artystek i artystów są patologią, którą przyjęto za normę" – podkreśla OFSW. Szefowie galerii zapytani przez pismo „NNGT" o podniesienie stawek są jednak sceptyczni i odpowiadają, że spowoduje znaczącą redukcję liczby wystaw, a tym samym możliwość prezentacji artystek i artystów w publicznych instytucjach kultury oraz ich szansę na jakiekolwiek honoraria. Samorządy i ministerstwo kultury przyznają bowiem środki, które pokrywają jedynie koszty bieżącego funkcjonowania instytucji. Nie ma wyjścia: konieczna jest zasadnicza zmiana sposobu finansowania polskiej sztuki.

© PIOTR KOSIEWSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

ZE STARYMI NAPRZÓD IŚĆ

Sprawa relacji Karola Nawrockiego z Jerzym Ż. zelektryzowała Polskę. Tymczasem dziesiątki tysięcy seniorów, nie mniej lekceważonych przez polityków, żyją w samotności i biedzie.

MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Gdyby 18 maja Polska zagłosowała tak, jak mieszkańcy gdańskiego domu pomocy społecznej, w którym mieszka słynny pan Jerzy, pierwszą turę wygrałby Karol Nawrocki. Siedemnaścioro podopiecznych oddało tutaj głosy na szefa IPN. W skali całej placówki złożyło się to na – wyraźnie większe niż w skali kraju – poparcie ok. 36 proc. ogółu głosujących dla Nawrockiego, bo Rafał Trzaskowski dostał o jeden głos mniej niż kandydat partii Jarosława Kaczyńskiego. „Na nic propaganda i kłamstwa obozu Tuska! Nawet w DPS-ie, w którym przebywa Jerzy Ż., wygrał Karol Nawrocki!" – donosił triumfalnie tuż po pierwszej turze usłużny w stosunku do obozu prawicy portal braci Karnowskich wPolityce.pl.

Gdyby z kolei Polska wydała w pierwszej turze wyrok taki, jak najstarsi wyborcy, bracia Karnowscy mogliby odtrąbić przewagę bliską zwycięstwa już w I turze. Oto bowiem niemal 45 proc. Polaków po 60. roku życia oddało głos na kandydata PiS, przy 42,6 proc. na Trzaskowskiego (dane na podstawie sondaży *exit poll*).

Jeśli dodać do tego okoliczność, że sondażowe słupki po aferze mieszkaniowej Nawrockiego nie uległy większym zmianom, można powiedzieć dziś śmiało: kandydat PiS wyszedł z tej historii właściwie bez szwanku. Owszem, eksperci w ocenie wpływu afery na wyniki nie mówią jednym głosem. Są i tacy jak socjolog Jarosław Flis, który na naszych łamach stwierdził, iż pan Jerzy stanął Nawrockiemu na drodze do wyprzedzenia Trzaskowskiego już w pierwszej turze. Jedno jest pewne: afera miała znaczenie o wiele mniejsze, niż życzyli sobie zwolennicy prezydenta Warszawy.

Jak to możliwe, że najpierw matactwa dotyczące liczby posiadanych mieszkań, a następnie afera z transakcją i rzekomą opieką Nawrockiego nad starszym panem [szczegóły w ramce obok – red.] nie zatopiły politycznie kandydata PiS?

Fakt, że Jerzy Ż. był skazany za przestępstwa seksualne, nie mógł być raczej tego przyczyną: informacja ta przebiła się do opinii publicznej dopiero po I turze wyborów.

Od skandalu do przekazu

Z pewnością rację mają komentatorzy, którzy widzą w tym przede wszystkim efekt zabetonowania debaty publicznej przez polaryzację. Zwolennicy obydwu głównych obozów są dziś właściwie zaimpregnowani na komunikaty drugiej strony. Dotyczy to zwłaszcza najtwardszego elektoratu, który i z lewa, i z prawa *a priori* klasyfikuje niewygodne informacje o swych politycznych idolach jako kłamstwa i manipulacje. To by tłumaczyło, dlaczego Nawrocki, któremu przez całą kampanię nie udawało się nawet zrównać z wynikami sondażowymi PiS-u, na ostatniej prostej wystrzelił do przodu, niesiony zapewne poparciem wahających się zwolenników prawicy.

Jak zauważa prof. Flis, dopóki temat kawalerki żył głównie w mediach, dopóty był dla Nawrockiego stosunkowo niebezpieczny. Z chwilą, gdy zajął poczesne miejsce w wypowiedziach Rafała Trzaskowskiego i pozostałych kandydatów Koalicji, jego siła politycznego rażenia uległa osłabieniu: dla wyborców prawicy sprawa pana Jerzego zrównała się z resztą koalicyjnych przekazów dnia.

Niejako przy okazji rodzi się jednak jeszcze jedno pytanie: czy w polskim społeczeństwie, które w swoim systemie wartości od wieków stawia rodzinę na piedestale, samotny starszy mężczy-

KRZYSZTOF RADZKI / EAST NEWS

Wizyta Karola Nawrockiego w Dziennym Domu Seniora+ w Chełmie. 2 grudnia 2024 r.

zna, nieutrzymujący kontaktów z bliskimi wskutek własnych życiowych decyzji, mógł w ogóle wzbudzić powszechne współczucie?

Wypaleni, wyniszczeni

O życiu pana Jerzego – mimowolnego uczestnika największej politycznej afery ostatnich miesięcy – wiemy niewiele. Ale i wystarczająco dużo, by ocenić, że losy 80-latka wpisują się w zjawiska społeczne występujące dziś w Polsce na masową skalę. Do czasu, gdy wylądował w jednym z trójmiejskich DPS-ów, mieszkał sam, zdany (pomimo posiadania rodziny, z którą nie utrzymywał kontaktu) na łaskę i niełaskę pomocy społecznej. W dodatku schorowany.

Ani osamotnienie, ani stan zdrowia bohatera internetowych nagłówków z pierwszej połowy maja nie czynią go jednak w polskich warunkach postacią wyjątkową. Według danych ZUS przeciętny polski pracownik kończy aktywność zawodową w wieku niespełna 62 lat, kiedy, zdawałoby się, kondycja fizyczna i psychiczna pozwala jeszcze na wiele lat aktywnego uczestnictwa w życiu. Niech nas jednak nie zmyli sama metryka.

Ten sam statystyczny polski 62-latek w chwili przejścia na emeryturę ma bowiem za sobą średnio 34 lata pracy, aż siedem więcej od statystycznego Norwega. Ponad trzy dekady temu, gdy wchodził na rynek pracy, rolnictwem parało się 30 proc. aktywnych zawodowo Polaków (dziś około 6 proc.), a około 35 proc. pracowało w przemyśle (tu zatrudnienie stopniało w tym czasie do około 30 proc.). Usługi – sektor stosunkowo najmniej eksploatujący fizycznie – stanowił w roku 1990 niespełna 35 proc. polskiego rynku pracy, czyli dwukrotnie mniej niż dziś. Pokolenie ludzi, które wprowadziło Polskę do grona krajów wysoko rozwiniętych, udany pościg opłaciło wypaleniem i fizycznym wyniszczeniem.

W drugiej edycji ogólnopolskiego badania PolSenior przeprowadzonego wśród osób w wieku od 55 do 64 lat, aż 18 proc. Polaków oceniło swój stan zdrowia jako zły lub bardzo zły, podczas gdy w całej Unii takiej samej odpowiedzi udzielało 11 proc. ich rówieśników. W grupie wiekowej 65-74 za poważnie chorego uważał się już przeszło co czwarty Polak (26 proc.), choć w całej UE odsetek takich samych odpowiedzi sięgnął zaledwie 14 proc. Statystyczny polski mężczyzna w wieku 65 lat ma przed sobą – jak wynika z tych samych badań – niespełna 8 lat i dwa miesiące życia bez ograniczonej sprawności, czyli o rok i siedem miesięcy mniej od przeciętnego obywatela Unii.

Samotni, osamotnieni

Wyjątkowa – czy statystycznie marginalna – dawno też przestała być ↦

samotność polskich seniorów. Owszem, w naszej mentalności, ale też w przestrzeni publicznej, emeryt z rzadka gości jako odrębny byt, z własnymi planami na przyszłość, aspiracjami, prawem do odrębnego zdania. Zdecydowanie częściej posługujemy się figurą seniora albo pod opieką bliskich, albo przeciwnie – opiekującego się wnukami. To odpodmiotowienie słychać nawet w potocznej polszczyźnie, która osoby w podeszłym wieku nazywa – trochę z czułością, ale i lekceważąco – babcią i dziadkiem.

Powyższe stereotypy coraz mocniej mijają się jednak z rzeczywistością. Liczba jednoosobowych gospodarstw domowych w Polsce regularnie rośnie, m.in. za sprawą starzenia się społeczeństwa. Będzie rosła i w długiej perspektywie, i w krótkiej: właśnie do siedemdziesiątki i osiemdziesiątki dobijają wszak przedstawiciele wyjątkowo licznego wyżu powojennego. O ile w 2005 r. 2,32 mln osób mieszkających w pojedynkę stanowiło 18 proc. wszystkich polskich gospodarstw domowych, to w roku 2021 było ich już 3,68 mln – i odpowiednio aż 26 proc. A że – jak wiemy z Narodowego Spisu Powszechnego – ponad połowa z owych trzech milionów i niemal siedmiuset tysięcy to gospodarstwa tworzone przez samotnych seniorów, rachunek jest prosty: niemal dwa miliony Polaków w podeszłym wieku gospodaruje samotnie, w zasadzie skazani na to, że prędzej czy później trafią albo pod opiekę rodziny, albo pomocy społecznej w miejscu zamieszkania. Bądź wylądują w placówce.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują w dodatku, że opiekuńczy udział rodziny, który dziś już jest mniejszy niż w przeszłości, będzie nadal malał, wzrośnie zaś – jak w przypadku pana Jerzego i jego niefortunnego „opiekuna" – rola osób trzecich. Jakie to znaki? Po pierwsze, chodzi o demontaż znanego nam z przeszłości – a tylko gdzieniegdzie jeszcze z teraźniejszości – modelu rodziny. Migracje ze wsi i małych miast do aglomeracji sprawiają, że coraz rzadszym zjawiskiem staje się wielopokoleniowa familia pod jednym dachem albo przynajmniej w granicach tej samej miejscowości.

Bezdzietność i małodzietność odwracają – jak powiadają demografowie – piramidę relacji międzypokoleniowych. O ile kiedyś, w dobie krótszego życia i większej dzietności, na jednego pozostającego przy życiu dziadka przypadało kilkoro wnucząt, teraz nierzadka staje się sytuacja odwrotna: czworo mających się dobrze dziadków rywalizuje o względy jednego bądź dwojga wnucząt.

A i to nie zawsze. Jak podaje w jednej ze swoich analiz demograf i gerontolog Uniwersytetu Łódzkiego prof. Piotr Szukalski, około 8-10 proc. Polaków w przedziale wiekowym 60-70 lat nie miało własnych dzieci, zaś dodatkowe 10-15 proc. potomstwa się co prawda doczekało, ale nie może tego samego powiedzieć o swoich dzieciach. Efekt? Setki tysięcy seniorów, osób samotnych w sensie ścisłym oraz osamotnionych, czyli nieczujących więzi z bliskimi.

– W tej drugiej grupie warto wyodrębnić zbiór, którego przedstawicielem jest opisywany przez media pan Jerzy – mówi prof. Szukalski. – To nieznana dokładnie co do skali grupa, głównie mężczyzn, którzy ze względu na swoją trudną ścieżkę życiową, czyli głównie uzależnienia lub odstręczające cechy charakteru, nie mogą liczyć na rodzinę, pomimo że ją mają. W ostatnich dekadach mieliśmy rocznie po kilkadziesiąt tysięcy rozwodów, więc jeśli nawet wspomniane zjawisko dotyczy tylko kilku procent przypadków, możemy mieć liczoną w dziesiątki tysięcy grupę starszych mężczyzn z rodziną, ale bez jej pomocy.

PRZEMEK ŚWIDERSKI / REPORTER

Budynek, w którym znajduje się mieszkanie Jerzego Ż. zakupione przez Karola Nawrockiego. Gdańsk Siedlce, 2025 r.

Historia pewnej afery

„SPRAWA KAWALERKI" kandydata PiS na prezydenta stała się głośna za sprawą wypowiedzi samego zainteresowanego podczas jednej z debat. Proszony o ustosunkowanie się do pomysłu wprowadzenia podatku katastralnego, Nawrocki powiedział, że ma jedno mieszkanie. Jak ustalili dziennikarze Onetu, to nieprawda.

POSIADA TEŻ LOKUM przejęte od byłego sąsiada, Jerzego Ż. Nawrocki najpierw wyłożył ok. 12 tys. zł na wykupienie przez starszego gdańszczanina lokalu komunalnego, który pan Jerzy zajmował od lat. Następnie odkupił od niego mieszkanie, gdy ten przebywał w areszcie skazany, jak ujawniły media, za przestępstwo na tle seksualnym. Jeśli wierzyć umowie notarialnej upublicznionej przez polityków PiS, Nawrocki po prostu przekazał Jerzemu Ż. kwotę będącą równowartością rynkowej ceny mieszkania. Jeśli z kolei dać wiarę samemu Nawrockiemu, na zapłatę składały się opłacane przez polityka rachunki za czynsz, a także – bliżej nieokreślona – pomoc świadczona emerytowi, któremu pozwolił mieszkać w nabytej kawalerce.

DWIE SPRAWY nie budzą wątpliwości. Pierwsza: że wersje losów byłego lokum Jerzego Ż. nijak się ze sobą nie zgadzają. Druga: że gdański emeryt – pozbawiony już balastu w postaci mieszkania – w 2024 r. wylądował w DPS. Przyciśnięty do muru Nawrocki tuż przed pierwszą turą wyborów ogłosił, że feralny lokal przekaże „na cele charytatywne".

©℗ MR, PW

Logika DPS-u

Co wchodzi w pustkę po rodzinie? – Relacje quasi-familijne, najczęściej wieloletnie przyjaźnie, a także czasami te sąsiedzkie – mówi prof. Szukalski. – Te drugie jednak głównie na wsiach i w małych miejscowościach, bo w dużych miastach częsta jest sytuacja, której sam doświadczam, mieszkając w centrum Łodzi. Na osiem znajdujących się w mojej klatce mieszkań tylko cztery zajmują stali lokatorzy. Jak budować więzi z kimś, kto tylko wynajmuje mieszkanie, w dodatku rzadko dłużej niż przez rok? – pyta retorycznie łódzki demograf.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że pomimo odmienianej przez wszystkie przypadki deinstytucjonalizacji, czyli odchodzenia państwa z całodobowych placówek na rzecz innych form wsparcia, liczba DPS-ów i podobnych instytucji w Polsce rośnie, zamiast maleć. Zgodnie ze statystykami za rok 2024, pan Jerzy był jednym z ponad 124 tys. polskich pensjonariuszy różnych placówek pomocy społecznej (o 2 proc. więcej niż w roku poprzednim). A to nie wszystko, bo seniorzy trafiają też przecież masowo do całodobowych instytucji systemu ochrony zdrowia: choć w 2022 r. działało w Polsce aż 611 zakładów leczniczo-pielęgnacyjnych i 222 placówki hospicyjno-paliatywne, na miejsca tylko w popularnych ZOL-ach czekały tysiące potrzebujących.

Bo los polskiego seniora, który traci nagle bądź stopniowo siły, pozostaje niemal zero-jedynkowy, wzięty jeszcze ze starego, przywiązanego do rodziny wielopokoleniowej świata. Jak długo się da, odpowiedzialność zań bierze rodzina. Choćby i na odległość, opłacając np. z Anglii albo odległego zakątka Polski prywatną opiekunkę. A gdy i to staje się już niewystarczające, jedyny możliwy wyrok brzmi: całodobowa placówka. Spomiędzy tych dwóch filarów polskiej opieki zionie społeczną próżnią, opornie wypełnianą przez krajowych i samorządowych decydentów, za to ochoczo przez prywatny rynek.

Problem w tym, że na prywatne opiekunki nie wszystkich stać – zresztą wiele z nich nie ma wystarczających kwalifikacji, by zajmować się ciężko chorym seniorem. Z kolei opieka środowiskowa w miejscu zamieszkania jest w Polsce niewydolna – w niektórych gminach jej nie ma, w innych istnieje w ograniczonym zakresie i jest częściowo płatna. – Okres rządów PiS to przekierowanie środków na świadczenie 800 plus, co tymczasowo ograniczyło skalę ubóstwa rodzin wielodzietnych, za to osłabiło jeszcze bardziej sferę publicznych usług – diagnozuje prof. Piotr Błędowski, ekonomista SGH i gerontolog. – Starzenie się ludności sprawia, że musimy szukać alternatywnych wobec DPS-ów form wsparcia dla niesamodzielnych seniorów. Ale nie zrobimy tego bez inwestycji, choćby w pensje pracowników pomocy społecznej, będących obecnie na samym dole hierarchii płac.

> W ciągu najbliższych kilkunastu lat liczba Polek i Polaków powyżej 80. roku życia wzrośnie w Polsce o nawet 80 procent.

Gdyby ktoś ten postulat chciał odruchowo unieważnić rytualnym okrzykiem „Polski na to nie stać!", musiałby się najpierw skonfrontować z prostymi wyliczeniami. Jak podawał gdański magistrat, roczny koszt pobytu pana Jerzego w domu pomocy to 92 tys. złotych – bliski polskiemu placówkowemu standardowi, czyli 6-8 tys. miesięcznie na jednego mieszkańca. To bardzo dużo, zwłaszcza że jakość pobytu nawet w relatywnie nowoczesnym DPS-ie odbiega od tego we własnym miejscu zamieszkania (duże skupisko ludzi, często narzucony odgórnie harmonogram dnia, zwykle co najmniej jeden współmieszkaniec w pokoju itd.). Mimo to dla wielu samorządów to właśnie DPS-y, a nie np. mieszkania wspomagane (akurat w Gdańsku dość częste) stanowią nadal filar pomocy podupadającym na zdrowiu seniorom.

Senior w pułapce

I wreszcie trzecia część układanki: polscy seniorzy, w większości emeryci, nie tylko relatywnie szybko zapadają na choroby i częściej niż się nam wydaje żyją samotnie. Są również w stosunku do innych grup ubodzy. Przynajmniej w sensie dochodowym – bo równocześnie dysponują często zasobem, o którym przedstawiciele innych kohort wiekowych mogą tylko pomarzyć.

Przeciętny dochód rozporządzalny (czyli po odliczeniu podatków i składek) na osobę w gospodarstwie, w którym mieszkają seniorzy, to dziś ok. 2,9 tys. zł miesięcznie. Jednocześnie – jak pokazują badania na zlecenie ministry ds. polityki senioralnej – aż 42,1 proc. Polaków w wieku powyżej 60 lat ocenia swoją sytuację materialną jako co najmniej dobrą.

Być może jest tak dlatego, że nawet przy relatywnie niskich dochodach gospodarstwa bez kredytów hipotecznych, nieponoszące już kosztów edukacji dzieci mogą sobie radzić niezgorzej. Blisko 80 proc. Polaków w wieku 60 plus mieszka dziś we własnym mieszkaniu, nierzadko wartym (zwłaszcza w dużych miastach) kwotę, za którą można by dobrze żyć przez nawet kilkanaście lat. Narodziny nowej podkategorii na polskim rynku nieruchomości były w tej sytuacji tylko kwestią czasu.

Z danych Ministerstwa Sprawiedliwości wynika, że co roku ok. 16 tys. Polaków zawiera cywilne umowy, przekazując innej osobie prawo do swojego mieszkania w zamian za comiesięczną rentę. W 2022 r. resort szykował się nawet do wprowadzenia przepisów, które umożliwiałyby wypłacanie renty hipotecznej w zamian za mieszkanie tylko osobom spokrewnionym z właścicielem nieruchomości. Nie wiadomo, czy urzędnicy zapomnieli o pomyśle w chaosie przedwyborczych miesięcy, czy raczej resort przychylił się do podszeptów lobbystów. Przepisy nie weszły w życie.

W 2014 r. uchwalono za to ustawę o odwróconym kredycie hipotecznym, która miała stworzyć nowy produkt w ofercie polskich banków. Ustawodawcy zakładali, że krajowy rynek mieszkaniowy i polska demografia podążą zgodnie śladem zachodnioeuropejskich: ceny mieszkań będą szybko rosnąć, podobnie jak liczba samotnych Polaków w wieku emerytalnym, dysponujących cennym, ale niezbywalnym zasobem, jakim jest zamieszkiwana przez nich nieruchomość. Odwrócona hipoteka miała pozwolić tym, którzy nie mają komu zostawić jej w spadku, czerpać korzyści z tego majątku za życia.

Banki wolały jednak oferować spragnionym mieszkań Polakom klasyczne kredyty hipoteczne. W tę rynkową pustkę weszły tzw. fundusze hipoteczne, ↦

choć ich oferta z ustawą z 2014 r. nie ma nic wspólnego. Podpisując umowę, klient po prostu sprzedaje mieszkanie za bliżej nieokreśloną kwotę, którą odbiera potem w wypłacanych co miesiąc ratach zwanych rentą. Umowa nie zawiera minimalnej kwoty, którą firma musi udostępnić sprzedającemu, zwykle wymienia jedynie wysokość cyklicznej wypłaty plus ewentualny jednorazowy bonus.

W odróżnieniu od banku fundusze hipoteczne nie są też objęte rządowymi gwarancjami na wypadek niewypłacalności, a wymogi finansowe na wejściu w ten biznes są bardzo niskie. Właściciele mogą w każdej chwili zamknąć interes lub sprzedać aktywa funduszu innemu podmiotowi, na przykład zarejestrowanemu w raju podatkowym. W takim scenariuszu poszkodowanemu seniorowi pozostaje ścieżka cywilnoprawna, czyli kosztowna i czasochłonna procedura sądowa, która przerośnie większość starszych Polaków.

Pisząc dwa miesiące temu o pułapkach tzw. rent hipotecznych, sugerowaliśmy na tych łamach, by o mieszkania seniorów zawalczył z takimi funduszami Skarb Państwa. W ten sposób państwo nie tylko wsparłoby seniorów, ale też zaczęłoby rozwiązywać problem chronicznego braku mieszkań komunalnych na wynajem. Mieliśmy cichą nadzieję, że na finiszu kampanii prezydenckiej pomysł podchwyci i rozwinie któryś z kandydatów. Jak się okazało, bezpodstawnie.

Czy polska klasa polityczna, w której na postać pierwszorzędną wyrasta właśnie – pomimo aferalnego uwikłania – Karol Nawrocki, będzie kiedykolwiek mieć coś nowego do zaproponowania seniorom?

Przebudzenie kandydatów

Na razie nic na to nie wskazuje. Polską polityką od dekad rządzi prymat młodości. Właściwie każdy obóz rządzący i niemal każda opozycja snuje wizje wielkiej Polski dla przyszłych pokoleń, o co oczywiście trudno mieć pretensje – gdyby tym planom towarzyszył choć cień namysłu nad bieżącą sytuacją demograficzną.

> Czy polska klasa polityczna będzie miała wreszcie coś do zaproponowania seniorom? Na razie nic na to nie wskazuje. Polską polityką od dekad rządzi prymat młodości.

Oto bowiem liczebność roczników dzisiejszych czterdziestolatków, oscylująca w przedziale 600-660 tys., o ponad sto tysięcy przewyższa liczebność Polaków w wielu 15-20 lat. A rodaków najmłodszych, tych urodzonych w trakcie roku 2024 – mamy już jedynie... ćwierć miliona. Mediana wieku to z kolei 43 lata, choć jeszcze dziewięć lat temu wynosiła 39,9. Gdyby to ona miała władać priorytetami polskiej polityki, w miejsce 2604 „Orlików" należałoby stawiać przychodnie geriatryczne. Zwłaszcza że – jak podaje prof. Szukalski – w ciągu najbliższych kilkunastu lat liczba Polaków powyżej 80. roku życia wzrośnie w Polsce o nawet 80 proc.!

Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno się dziwić krótkiemu przebudzeniu kandydatów na prezydenta, którzy – ożywieni aferą z Karolem Nawrockim w roli głównej – próbowali przed pierwszą turą słać ciepłe komunikaty do najstarszych Polaków. Rafał Trzaskowski wygłosił kilka ogólnie słusznych tez na temat polityki senioralnej jako fundamencie nowoczesnego państwa. Karol Nawrocki odwiedził jeden z DPS-ów i również obdarzył słuchaczy garścią komunałów. Żaden nie wypadł w tej roli przekonująco, bo polska klasa polityczna jest w tego rodzaju przekazie po prostu niewiarygodna.

Owszem, rząd PiS wprowadził trzynastą i czternastą emeryturę, która poprawiła sytuację materialną najuboższych seniorów. Owszem – ich następcy nie tylko tych trzynastek i czternastek nie zlikwidowali, ale jeszcze dołożyli do tego rozwiązanie w postaci łączenia emerytury z rentą rodzinną, co wydatnie pomogło emerytkom, które przeżyły małżonków. Wszystkie te działania wpisują się jednak w dobrze znany z polskiego poletka socjalnego *modus operandi* państwa, które woli dać obywatelom pieniądze do zakupu świadczeń socjalnych, miast taką pomoc organizować i oferować.

– Dam panom na to jeszcze jeden przykład – mówi prof. Szukalski. – Chodzi o uchwaloną niemal dwa lata temu ustawę o szczególnej opiece geriatrycznej, która do dzisiaj nie doczekała się aktów wykonawczych. Mimo że po drodze były dwa rządy i dwie rządzące koalicje. To jest ustawa, która wprowadza na poziomie powiatów i grup powiatów centra zdrowia przeznaczone dla osób 75 plus. Nie muszę dodawać, że to ustawa bardzo ważna.

A to tylko jeden z przykładów dowodzących, że państwo polskie odwraca się plecami do grupy, która – przynajmniej arytmetycznie – będzie wkrótce przesądzać o wyniku każdych wyborów. To o tyle dziwne, że dwaj główni aktorzy dzisiejszej sceny politycznej to mężczyźni w wieku emerytalnym. Gdy wyłonieni przez nich dwaj kandydaci na prezydenta osiągną ten wiek, po sześćdziesiątce będzie już ponad 40 proc. Polek i Polaków.

©℗ MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: PIOTR MUCHARSKI
Zastępcy red. naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Redakcja: www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

STANISŁAW

Mancewicz: *Samolot w bibliotece*

Chcemy napisać to i owo o samolocie, który prezydent USA dostał w prezencie od władcy Kataru. W doniesieniach na ten temat wszystko jest fajne, od szczegółów technicznych, poprzez wypowiedzi obdarowanego, tłumaczenia prawników i etyków, po głosy aprobaty i kompletnie nieliczącej się dziś dezaprobaty.

Wszystko to jest dla nas nowe, ciekawe i zabawne, zważywszy że przeżyliśmy szmat czasu w aurze amerykańskiego, wyższościowego moralizowania na temat zasad, etosu i tym podobnych, zupełnie już nieaktualnych zalet ichniego ustroju. Nie jesteśmy tu od nadętego wykładania o tym, co powinien, a czego nie powinien robić amerykański prezydent, co jest etyczne, a co nie, bowiem żyjemy na terenach prakultury bakszyszu. Choćbyśmy więc tu i teraz pękli, to nie zrozumiemy, cóż może być złego w przyjmowaniu kosztownych prezentów. Sami, jak tu ponuro siedzimy, przyjęlibyśmy dowolny samolot i to z pocałowaniem ręki. Nie musiałby mieć kryształowych pisuarów, byleby latał w tę i we w tę. Zresztą w tej sprawie kwestie etyczne nas kompletnie nie ciekawią, naszą uwagę przykuwa raczej ogłoszenie, że po zakończeniu urzędowania przez D. Trumpa – jeżeli to się w ogóle wydarzy – samolot trafi na wyposażenie biblioteki, którą – jak słyszymy – człowiek ten zbuduje.

Jest to zapewne pierwsza w historii i jedyna na świecie biblioteka, która nie ma jeszcze książek, ale ma już samolot, i to urządzony w stylu orientalnym. Czy będą nim latać panie bibliotekarki i panowie bibliotekarze? Czy samolot biblioteczny zwiększy czytelnictwo? Jest to – każdy przyzna – ciekawostka nie tylko dla bibliotekoznawców. Być może jest to początek jakichś nowych standardów i za jakiś czas usłyszymy, że nasza Biblioteka Narodowa kupiła sobie bardzo solidny odrzutowiec, którym bynajmniej nie będzie latał dyrektor T. Makowski, lecz *in corpore* dział rękopisów bądź ów dokumentujący życie społeczne. Byłby to dość osobliwy wkład D. Trumpa w uleżałą od wieków praktykę gromadzenia i udostępniania zbiorów.

Kto teraz wybrzydza na nasze tu fantazyjne szybowanie, temu wypada rzec, że oto na serio Katar wyznaczył manual traktowania przywódcy USA. Prezydent RPA podczas swej wizyty w Białym Domu wykazał się refleksem i znajomością tych wytycznych. Było to kapitalne widowisko, Afrykanin zarzucił D. Trumpa pochlebstwami, nie reagował na prowokacyjne zagrywki, opowiadał mu o niezmierzonych bogactwach naturalnych RPA i o dolarach, powiedział, że jego żona uwielbia pisarstwo wiceprezydenta USA, a prezydentowi wręczył książkę o golfie, ważącą czternaście kilogramów. Prezydent Ameryki co prawda chciał odeń samolot, ale przywódcy RPA udało się jakoś to obrócić w żart. A więc, jeżeli chcemy, by prezydent USA odwiedził Polskę, już dziś powinniśmy się rozglądać za prezentem. Nie musi być gustowny, ale na pewno nie może być tani. Na pewno szczerozłoty, bo złota akurat mamy mnóstwo, o czym D. Trump wie świetnie. Bez tego nie ma żadnej szansy na wpisanie Polski na listę destynacji prezydenta USA.

Świat zaiste znalazł się w przeciekawym momencie. Przytoczone fakty są faktami właśnie, a nie głupkowatym zmyśleniem dla pieniędzy. Powinniśmy się więc przemóc i przeskoczyć granice pojmowania, wymazać utarte schematy i przełamać stereotypowe widzenia. Nie tylko te dotyczące Ameryki, ale i nas. Powinien to zrobić każdy, z dbałości o własne zdrowie, by z godnością doczekać wyników wyborów prezydenta RP. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

POWIEDZ NAM, CO SĄDZISZ!
ZAPRASZAMY DO UDZIAŁU W KRÓTKIEJ ANKIECIE

Odpowiedź zajmie Ci dosłownie chwilę, a Twoje zdanie jest dla nas bardzo ważne.
Żeby wziąć udział w ankiecie, **zeskanuj** zamieszczony obok kod
lub wejdź na adres **powszech.net/ankieta4**

Od czasu do czasu chcemy prosić Czytelników o opinię na wybrane tematy dotyczące drukowanego wydania. Twoje odpowiedzi pomogą nam w pracy nad tym, żeby „Tygodnik" był jeszcze lepszy.

DZIĘKUJEMY, ŻE NAS CZYTASZ!

KRAJ

SUMA DROBIAZGÓW

O wyniku wyborów prezydenckich może zdecydować kilkaset tysięcy głosów, więc znaczenie może mieć nawet mały błąd. Jeśli popełni go Trzaskowski i przegra, Karol Nawrocki po zwycięstwie może zrealizować tajny plan Jarosława Kaczyńskiego.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

20 maja, Sejm. Rafał Trzaskowski spotyka się z Szymonem Hołownią, by uzyskać oficjalne poparcie w drugiej turze. Tego samego dnia analogiczną decyzję ma zakomunikować wicemarszałek Senatu Magdalena Biejat. Gdy to następuje, Trzaskowskiego przy niej nie ma. Kandydat KO zdążył w międzyczasie ruszyć w kampanijną trasę. Sytuacja ta ilustruje rosnący chaos organizacyjny w sztabie Trzaskowskiego, pogłębiony szokiem, nieco przypominającym ten, w jakim znaleźli się sztabowcy Bronisława Komorowskiego po jego porażce z Andrzejem Dudą w pierwszej turze w 2015 r.

To, że sytuacja kandydata KO jest poważna, dowodzi też spotkanie ze sztabowcami, jakie następnego dnia po wyborach zwołał u siebie Donald Tusk, a także nagłe wywiady premiera i Trzaskowskiego w TVN24 (choć tam trudno o łowienie nowych wyborców) po opublikowaniu niekorzystnych sondaży, w których obaj podkreślali chuligańską przeszłość kandydata PiS. Już wcześniej – podczas spotkania z szefami regionów PO 6 maja – Tusk miał narzekać na współpracę ze sztabem Trzaskowskiego. Efekt był taki, że w jego prace został mocniej zaangażowany główny spec premiera od wizerunku Igor Ostachowicz.

Sam Tusk też miał się bardziej zaangażować, ale w taki sposób, który nie będzie potwierdzał tezy, że jest „szefem" Trzaskowskiego. Wykluczone są wspólne spotkania wyborcze.

Elektorat impregnowany

Czy sam Tusk jest bez winy, że Nawrocki osiągnął tak dobry wynik? Przegrany marszałek Sejmu Szymon Hołownia jeszcze podczas wieczoru wyborczego oświadczył, że wyborcy dali rządzącym żółtą kartkę, a jedną z win tej ekipy było zbyt częste wchodzenie w niektórych sprawach – takich jak obsada spółek Skarbu Państwa czy media publiczne – w buty PiS.

Sam Tusk potwierdził częściowo te zarzuty, tłumacząc w TVP, że przy ostrej grze nie można się dziwić żółtym kartkom. Ta „ostra gra" to właśnie piętnowane przez Hołownię – ale także przez Konfederację czy Razem – przyjęcie przez rządzących logiki działania w ramach skrajnego antagonizmu politycznego, wzmacniającego duopol i gwarantującego utrzymanie obu elektoratów w stanie maksymalnej mobilizacji. Czego jednym ze skutków jest wysokie poparcie dla Nawrockiego i impregnowanie jego elektoratu na wszelkie zarzuty.

Politolog dr hab. Olgierd Annusewicz przyznaje, że zjawisko to można było zaobserwować choćby w związku ze sprawą kawalerki kandydata PiS. Krytyka Nawrockiego w tej sprawie była tak intensywna, iż jego wyborcy uznali ją za spisek i prowokację. – Ta historia z kawalerką została przegrzana, nawet nie przez sztabowców Trzaskowskiego, tylko przez media i pozostałych kandydatów – mówi Annusewicz.

Politologowi sprawa ta przypomniała historię z tzw. taśmami kaliskimi z 2000 r. (współpracownik prezydenta Marek Siwiec naśladował gesty Jana Pawła II na lotnisku w Kaliszu). Sztab Mariana Krzaklewskiego eksploatował ten film do przesady, w efekcie Kwaśniewski wygrał w pierwszej turze, a Krzaklewski był dopiero trzeci.

– Gdyby Nawrocki przejechał teraz przysłowiową zakonnicę na pasach, nie zaszkodziłoby mu to. Jego sztabowcy wyjaśniliby, że była podstawiona czy coś w tym rodzaju, a ich wyborcy by uwierzyli – uważa polityk KO.

Politolożka z UW, prof. Anna Wojciuk jest zdania, że w pierwszej turze wokół Nawrockiego zmobilizował się ostatecznie cały obecny elektorat PiS, co przez znaczną część kampanii nie miało miejsca. Choć zarazem było to o 1 mln 800 tys. głosów mniej niż w 2023 r.

Wnioski z wpadek

Wysoki poziom antagonizmu umożliwił ukrycie niejednej wpadki sztabów, których zarówno w przypadku Nawrockiego, jak i Trzaskowskiego było co naj-

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Rafał Trzaskowski po spotkaniu z mieszkańcami Sosnowca. 20 maja 2025 r.

mniej kilka. Ludzie związani z kandydatem PiS przyznają, że o sprawie Tadeusza Batyra nie wiedzieli, sprawa słynnej kawalerki była jednak znana, ale została zlekceważona. Dodają, że Nawrocki okazał się wyjątkowo trudnym kandydatem do kontrolowania, bo kilkakrotnie mówił rzeczy niekonsultowane. Jednocześnie przyznają, że szybko się uczy technik wystąpień publicznych.

Sztabowcy Trzaskowskiego mają przede wszystkim na koncie wpadkę z debatą w Końskich, która nie tylko obniżyła notowania, wywołując napięcia między sztabem i politykami PO, ale jeszcze była kosztowna, bo trzeba było zapłacić ogromne pieniądze TVP. Sztabowcy kandydata KO zapewniają też, że zostali zaskoczeni akcją z nielegalnymi reklamami w sieci, wykupywanymi przez firmę z zagranicznymi powiązaniami, co wykryła NASK.

Generalnie przed drugą turą oba sztaby starają się wyciągać wnioski z wpadek i przygotować najlepszą strategię. Jednym z pomysłów jest szukanie wyborców tam, gdzie była niższa frekwencja, zwłaszcza w woj. opolskim. Poseł KO z tego regionu Tomasz Kostuś przyznaje, że zaktywizować trzeba zwłaszcza mieszkańców trzech powiatów – Głubczyc, Brzegu i Nysy. Najlepiej, aby pojawił się tam sam Trzaskowski.

Inni politycy KO zwracają uwagę, że 18 maja wielu wyborców tego ugrupowania nie poszło głosować (zwłaszcza na Pomorzu Zachodnim), uspokojonych dobrymi sondażami. – W wyborach parlamentarnych po stronie koalicji było 11 mln 600 tys. głosów, 18 maja nasi kandydaci uzyskali ich 8 mln 900 tys., zatem ubyło ponad 2 mln 600 tys. To dużo, ale pozytyw jest taki, że mamy potencjał – uważa poseł Konrad Frysztak z KO.

Prof. Anna Wojciuk potwierdza, że elektorat całej koalicji rządowej nie był zmobilizowany w stosunku do tego, co było w 2023 r. – Rezerwy mobilizacyjne są zdecydowanie większe po stronie czterech partii, które tworzą rząd. Istota polega na tym, by ludzie poszli do wyborów i poparli Trzaskowskiego. Mogą dać się przekonać tym, że w 2023 r. zainwestowali w ten rząd. Nawet jeśli nie są z niego zadowoleni, pytanie czy nie powinni dać mu jeszcze jednej szansy i umożliwić wybór swojego prezydenta – mówi politolożka.

Analizując obecne wybory prezydenckie nasuwają się porównania do elekcji sprzed 10 i 20 lat. Zarówno w 2005, jak i w 2015 r. o ostatecznym wyniku zdecydowały głosy oddane na kandydata, który w pierwszej turze zdobył... trzecie miejsce. W 2005 r. to Lech Kaczyński postanowił pochylić się w stronę wyborców Andrzeja Leppera, doprowadzając do tego, ↦

↦ że lider Samoobrony go poparł. To zaś przesądziło o zwycięstwie kandydata PiS, choć pierwszą turę wygrał Donald Tusk. W 2015 r. Bronisław Komorowski postanowił przed drugą turą nieudolnie zawalczyć o elektorat Pawła Kukiza, wnioskując o referendum w sprawie okręgów jednomandatowych. Zostało to potraktowane jak akcja spóźniona i interesowna, więc urzędującemu prezydentowi nie przysporzyła głosów w rywalizacji z wygranym w pierwszej turze Andrzejem Dudą. Sam Kukiz też nie palił się do popierania ówczesnego prezydenta i głosy jego wyborców zgarnął Duda.

Gambit Mentzena

Tym razem ze swoją ofertą dla obu finalistów wystąpił Sławomir Mentzen (zdobył prawie 15 proc. głosów), zapraszając ich na debatę jeden na jeden i dając do podpisania ośmiopunktową deklarację.

Olgierd Annusewicz przyznaje, że Mentzen miał dobry pomysł z punktu widzenia interesu politycznego swojego i Konfederacji. Jako superarbiter będzie zapewne do ostatniej chwili celebrował decyzję, kogo poprze. Nawrocki jest tu w lepszej sytuacji, bo podpisał całą deklarację (włącznie z odmową zgody na wstąpienie Ukrainy do NATO i zapowiedzią niepodnoszenia podatków), Trzaskowski zaś tego nie zrobi.

Generalnie debaty kandydatów z Mentzenem, w opinii Annusewicza, mogą mieć wpływ na wynik wyborów, a jego ewentualna decyzja w sprawie poparcia jednego z nich ma szansę przechylić szalę. Wypowiedzi innych polityków Konfederacji, uważa politolog, nie będą miały aż takiego znaczenia, choć Nawrockiego poparł np. bardzo popularny Krzysztof Bosak.

Paradoksalnie Trzaskowski nie jest na straconej pozycji, jeśli chodzi o możliwość pozyskania części wyborców Mentzena. – W politologii istnieje nurt badań porównujących wyborców do tzw. fandomów. Zakłada on, że główną przyczyną, dla której popiera się ugrupowanie i jego lidera, nie jest program wyborczy, tylko osobowość, zachowanie, różne elementy bazujące na formie. To się przekłada na wysoką emocjonalność, ale jest też niestabilne. Taki fan jest wierny, ale jeśli jego idol zrobi coś niefajnego, może się od niego odwrócić – mówi Annusewicz. – Jeżeli w drugiej turze idol takiego wyborcy znika, to fan albo zostaje w domu, albo wybiera sobie kogoś, kto najbardziej mu idola przypomina. Czynnik programowy nie odgrywa wtedy istotnej roli – dodaje.

Nie można wykluczyć, że pojawi się coś w rodzaju „dziadka z Wehrmachtu”.

Oba sztaby mają jednak świadomość, że sprawa kawalerki pokazała nieskuteczność „haków”.

Z tego punktu widzenia obaj kandydaci nie powinni odpuszczać wyborców Mentzena i Zandberga. Z tym ostatnim w ubiegłym tygodniu usiłował umówić się kandydat KO, ale Maciej Konieczny z Razem był sceptyczny, czy Adrian Zandberg zdecyduje się kogokolwiek poprzeć. Nawrocki reprezentuje zupełnie inny system wartości, zaś rząd Tuska – a zatem ekipa Trzaskowskiego – właśnie podtrzymał krytykowaną przez Razem ustawę o zawieszeniu prawa do azylu, nie zrobił też nic w sprawach mieszkaniowych.

PiS idzie po wschód

Wszystkich obserwatorów kampanii łączy jedno – przekonanie, że różnica między oboma kandydatami będzie 1 czerwca minimalna. Zdaniem Anny Wojciuk, może to być nawet 200-300 tys. głosów. W opinii Annusewicza będzie ona mniejsza niż w 2020 r. miedzy Dudą a Trzaskowskim (400 tys. głosów), a o wyniku przesądzi suma drobiazgów.

Oba sztaby zaczęły więc grać sprawami, które mogą sprzyjać ich kandydatowi. Sztab Trzaskowskiego pochwalił się poparciem ze strony niedawnego człowieka Dudy, szefa BBN Jacka Siewiery. Sztab Nawrockiego zaczął epatować wypowiedzią posła KO Przemysława Witka, który w Polsacie na pytanie, czy Trzaskowski może podpisać się pod ośmioma postulatami Mentzena, odpowiedział: „cóż szkodzi obiecać”.

Nie można też wykluczyć, że pojawią się kolejne informacje mające kompromitować jednego lub drugiego, w rodzaju „dziadka z Wehrmachtu”. Choć oba sztaby mają świadomość, że sprawa kawalerki pokazała ograniczoną skuteczność „haków”.

Otoczenie Trzaskowskiego wierzy w zwycięstwo swojego kandydata, argumentując, że w drugiej turze decydować będą przede wszystkim elektoraty negatywne, a ten ma większy Nawrocki. Jednak politycy PO spoza sztabu są ostrożni. – Wygramy, jeśli frekwencja przekroczy 70 proc., a Trzaskowski nie popełni już błędu – mówi polityk PO. Przyznaje, że Nawrocki ma tu łatwiejszą sytuację, bo nawykł do ataków na siebie.

Politycy PiS są oczywiście pełni wiary z uwagi na wynik w pierwszej turze, lepszy niż oczekiwali. Przyznają zarazem, że do pozyskania są zwłaszcza dawni wyborcy ze ściany wschodniej, którzy kiedyś popierali PiS, a dziś albo nie poszli do urn, albo przerzucili głosy na Mentzena czy Brauna. Teraz atutem może okazać się to, że Nawrocki jest spoza PiS – gdyby był politykiem partyjnym, byłoby mu trudniej.

Marcin Przydacz przekonuje, że druga tura to będzie kolejne głosowanie „przeciw Tuskowi”. Jego zdaniem, mimo poparcia udzielonego przez Władysława Kosiniaka-Kamysza pod pomnikiem Wincentego Witosa, „doły PSL” zagłosują raczej na Nawrockiego. Dopuszcza to inny polityk PSL, dodając, że tych bardziej konserwatywnych wyborców, którzy negatywnie zareagowali na aborcyjną historię z Oleśnicy, może zniechęcić to, że Trzaskowski już w swoim wystąpieniu na wieczorze wyborczym poruszył sprawę aborcji.

Krajobraz po bitwie

Wszystkich najbardziej jednak zajmuje pytanie, jakie będą skutki zwycięstwa jednego lub drugiego. Politycy KO przekonują, że jeśli wygra Trzaskowski, należy oczekiwać dokończenia na początek reformy sądownictwa i zmian w mediach

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

publicznych. To wcale nie musi być jednak przesądzone, bo prawdopodobna jest erupcja sporów wewnątrz koalicji. Ich sygnałem jest reakcja Hołowni na wypowiedzi Tuska o rekonstrukcji rządu po wyborach – marszałek Sejmu zwrócił uwagę na potrzebę zmiany umowy koalicyjnej i wyboru „trzech, czterech spraw", które obóz rządowy zobowiąże się zrealizować do końca kadencji. Negocjacje w sprawie zmiany umowy uważa za otwarcie politycznej puszki Pandory.

Jeśli wygra Karol Nawrocki, Polskę czeka, przyznają to wszyscy nasi rozmówcy, zaostrzenie politycznej wojny i być może przyspieszone wybory. Jeden z posłów KO obawia się, że zacznie się pojedyncze pozyskiwanie posłów z ugrupowań tworzących koalicję, by uniemożliwić uchwalenie budżetu na 2026 r. i w ten sposób doprowadzić do rozwiązania Sejmu przez prezydenta Nawrockiego.

W PiS są jednak i głosy, że Nawrocki może pokazać niezależność od partii, tak jak w kampanii prezentował niezależność od sztabu, a nawet z czasem zakwestionować przywództwo w obozie Kaczyńskiego. I że wcale jego prezydentura nie musi pomóc w zwycięstwie PiS w roku 2027. Raczej nie dojdzie też do powstania w tej kadencji koalicji PiS–Konfederacja–PSL, bo w tym ostatnim ugrupowaniu musiałoby dojść do buntu przeciwko Kosiniakowi-Kamyszowi. Konfederacja też nie będzie zainteresowana taką koalicją, mając dziś mniej posłów niż poparcia.

Potwierdzają to politolodzy. Zdaniem prof. Wojciuk dla PSL to PiS jest największym zagrożeniem. Wejście w taką koalicję byłoby dla tej partii końcem. Tym niemniej, dodaje politolożka, rządowi będzie bardzo trudno rządzić, bo Nawrocki może działać dużo brutalniej niż Andrzej Duda i tam, gdzie prezydent ma kompetencje, czyli w zakresie polityki zagranicznej i zwierzchnictwa nad armią, będzie na kursie kolizyjnym względem rządu.

Także w opinii Annusewicza wygrana Nawrockiego będzie wojną na górze na skalę, jakiej jeszcze nie widzieliśmy, i oznaczałaby zyski dla tych, którzy będą się tej wojnie przyglądali, czyli np. Konfederacji. – Nie wierzę w przedterminowe wybory. Wojna będzie integrowała środowisko koalicji, więc budżet zostanie przyjęty, a nie ma poparcia dla samorozwiązania Sejmu. Wcześniejsze wybory to dla koalicji zbyt duże ryzyko – mówi.

Tajny scenariusz

W PiS można usłyszeć o tajnym scenariuszu wymyślonym przez Kaczyńskiego, na którego realizację Nawrocki miał się zgodzić. Ma polegać na „egzekwowaniu konstytucyjnych uprawnień prezydenta". Jego podstawą będzie zawarty w ustawie zasadniczej zapis: „prezydent jest strażnikiem konstytucji".

Kaczyński znany jest z nadużywania prawa lub interpretowania go niezgodnie z jego duchem. Tak było w 2006 r., gdy chciał namówić brata do rozwiązania Sejmu, a także w roku 2015, podczas wyboru przez poprzedni Sejm pięciu członków TK.

Nie można wreszcie wykluczyć scenariusza z unieważnieniem wyborów przez Izbę Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego. Zwłaszcza jeśli różnica w głosach będzie minimalna, a pojawią się liczne protesty wyborcze ze strony przegranych. W związku z tym wzrośnie znaczenie marszałka Hołowni, bo to w jego rękach będzie decyzja, czy werdykt zignorować – w związku z podnoszonymi przez rządzącą koalicję wątpliwościami co do legalności Izby – i zwołać mimo wszystko Zgromadzenie Narodowe na 6 sierpnia, w celu odebrania przysięgi od zwycięzcy. Czy też werdykt uznać i samemu po tej dacie – gdy skończy się kadencja Dudy – przejąć obowiązki prezydenta, by rozpisać nowe wybory. Jeśli marszałek Sejmu stanie przed takim wyborem, będzie to sytuacja nie do pozazdroszczenia. © PIOTR ŚMIŁOWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

Piknik zdrowotny w ramach programu „Profilaktyka 40+". Ciechocinek, 7 sierpnia 2021 r.

Zbadaj się

MAŁGORZATA SOLECKA

Bilans zdrowia osób dorosłych to rozwiązanie, o które eksperci zabiegali od lat. Jednak ilu Polaków zechce zatroszczyć się o swoje zdrowie?

Program „Moje zdrowie – bilans zdrowia osoby dorosłej" ruszył 5 maja. To jedna z najważniejszych zmian w systemie w ostatnich dekadach – zapewnia Ministerstwo Zdrowia.

Na razie rozruch

W połowie maja ministra Izabela Leszczyna informowała, że do programu zapisało się już ponad 80 tysięcy osób. Głównie z młodszych grup wiekowych (20-40 lat). To zrozumiałe: po pierwsze, najłatwiej do programu zgłosić się wypełniając ankietę dostępną w IKP, po drugie, ta grupa nie mogła badać się w ramach zakończonego programu Profilaktyka 40 Plus.

Na razie trwa rozruch, poradnie POZ (program będą realizować wszystkie, które mają kontrakt z NFZ) poznają jego szczegóły. Pełną parą, można się spodziewać, „Moje zdrowie" wystartuje w czerwcu.

Urzędowy pesymizm

Z podsumowania wprowadzonego w czasie pandemii programu Profilaktyka 40 Plus, z którego – jak sama nazwa wskazuje – mogły korzystać osoby, które ukończyły 40 lat, wynika, że w ciągu niespełna czterech lat zgłosiło się ok. czterech milionów osób. Rachunek wydaje się prosty – milion osób rocznie, choć – jak to często bywa – średnia nie oddaje rzeczywistości: liczba uczestników narastała z czasem.

A na rok 2025 w NFZ są pieniądze, które pozwolą sfinansować udział w programie około 600 tysięcy osób. Oczywiście, w pół roku, więc w skali roku byłoby to 1,2 miliona – ale jednak przy populacji liczącej niemal 9 milionów osób więcej. Zresztą prof. Agnieszka Mastalerz-Migas, konsultant krajowa w dziedzinie medycyny rodzinnej, wprost stwierdziła, że przynajmniej w tym roku będzie można uznać za sukces, jeśli NFZ będzie musiał wydać wszystkie przewidziane środki. Urzędowy pesymizm czy – po prostu – realizm?

Bilans sześciolatka

Bilanse zdrowia kojarzą się nam z książeczką zdrowia dziecka i pediatrią. Ostatni pediatryczny bilans powinien być zrealizowany w 19. roku życia, ale w praktyce tego obowiązku nie ma jak egzekwować. Zresztą kontrole NIK wykazały, że choć niemal wszystkie dzieci mają wykonywane bilanse w pierwszym roku, dwóch latach życia, potem mobilizacja rodziców wyraźnie zniżkuje.

Między innymi dlatego badanie poziomu cholesterolu wprowadzono do bilansu sześciolatka. To ważne badanie przesiewowe w kierunku hipercholesterolemii rodzinnej, uwarunkowanej genetycznie; badanie, które ratuje zdrowie dziecka, ale może też uratować zdrowie i życie jego trzydziesto-, czterdziestoletnich rodziców, żyjących bez świadomości obciążenia zdrowotnego, skutkującego np. udarem czy zawałem serca. Badanie mogłoby być realizowane dwa lata wcześniej, jednak bilans sześciolatka „przydaje się"

przy zapisywaniu dziecka do szkoły, więc jego realizacja jest wyraźnie lepsza.

Ks. Boniecki prawdę powie

Nie pilnujemy bilansów zdrowia dzieci (są obowiązkowe, choć jak widać, tylko w teorii), mało prawdopodobne więc, że chętnych do sprawdzenia swoich podstawowych parametrów zdrowotnych będą miliony. Ale ministra zdrowia nie traci wiary.

„Ksiądz Adam Boniecki powiedział kiedyś, że starość zaczyna się dziś" – przypominała podczas oficjalnej prezentacji programu, podkreślając, że nie tylko o długie życie, ale przede wszystkim o zdrowe i zapewniające sprawność starzenie się dbać powinni także ci, którzy stawiają pierwsze kroki w dorosłości.

Mówiąc jeszcze bardziej wprost: nie tylko długość życia, ale i jego jakość w okresie senioralnym, stopień sprawności, niezależności – zależy od tego, czy zadbamy o swoje zdrowie odpowiednio wcześnie. Najważniejsze są zdrowe nawyki, których częścią są również badania profilaktyczne.

Szkodliwy list biskupów

Nie po drodze nam z badaniami. Polska na tle innych krajów Unii Europejskiej wygląda wprost fatalnie, jeśli chodzi o zgłaszalność w programach przesiewowych w kierunku chorób nowotworowych. To ma swoją cenę, bo choroby te, wykrywane na późniejszym etapie, trudniej wyleczyć (dużej części wyleczyć się w ogóle nie da, można tylko wydłużać życie chorego o kolejne miesiące lub wręcz tygodnie), leczenie jest też o wiele droższe.

Eksperci są jednomyślni: nie będzie przełomu, jeśli nie wzrośnie świadomość zdrowotna obywateli. Świadomość zdrowotna nie wzrośnie, jeśli nie będziemy edukować od najmłodszych lat. A powiedzieć, że edukacja zdrowotna ma w Polsce trudny start, to nic nie powiedzieć. Niby wejdzie od września do szkół, ale opublikowany w maju list Prezydium KEP, w którymi biskupi piszą do rodziców-katolików: „Nie wolno wam!", snując wizję przedmiotu nakierowanego na deprawację młodego pokolenia, to zaledwie wstęp do tego, co będzie się dziać w okolicach początku roku szkolnego 2025/2026.

Ale słabość profilaktyki to nie tylko niska świadomość społeczeństwa. W systemie publicznym była przez dekady niezauważalna, co łatwo zmierzyć poziomem wydatków, które oscylują wokół 2 procent ogólnego budżetu na świadczenia zdrowotne. Średni odsetek w UE jest ponad dwukrotnie wyższy (nie sposób pominąć faktu, że nasz budżet na zdrowie jest o blisko połowę niższy niż unijna średnia). Pytanie: czy wydajemy tak mało, bo Polacy nie korzystają z profilaktyki, czy też może raczej Polacy nie korzystają z profilaktyki, bo wydajemy mało, a niedoinwestowany segment nie ma się jak rozwinąć?

Wizyta końcowa

Być może dlatego Ministerstwo Zdrowia i NFZ postanowiły na „Moim zdrowiu" nie oszczędzać: wycena świadczenia dla POZ jest bardzo atrakcyjna, co może skłonić poradnie do aktywnej akwizycji chętnych. Minister zdrowia chciałaby, żeby program pomógł budować relacje między pacjentami a podstawową opieką zdrowotną, która powinna być (na razie to tylko hasło) fundamentem systemu opieki zdrowotnej.

Dlatego kluczowym elementem „Mojego zdrowia" jest wizyta końcowa, w trakcie której uczestnik programu dowie się nie tylko, co oznaczają wyniki badań (poprzedni program profilaktyczny zostawiał pacjenta „sam na sam" z wynikami, które laikowi niewiele mówią), ale również będzie miał szansę porozmawiać z lekarzem lub pielęgniarką o swoim zdrowiu. Ono jest bezcenne, ale w programie koszty są dokładnie policzone: na jedną osobę NFZ wyda trochę więcej niż 300 złotych. W tym roku 193 mln zł, w przyszłym – 400 mln zł. ©

„Moje zdrowie" w trzech krokach

PO PIERWSZE, WYPEŁNIJ ANKIETĘ:

- przez aplikację „Moje IKP"
- przez stronę Internetowe Konto Pacjenta (IKP)
- w poradni podstawowej opieki zdrowotnej (tam, w razie wątpliwości, możesz liczyć na pomoc personelu).

Wypełnione ankiety trafiają do wybranej przez pacjenta poradni POZ, która przeanalizuje wyniki i wyda skierowanie na odpowiedni pakiet badań.

PO DRUGIE, IDŹ NA BADANIA:
Zakres podstawowych badań diagnostycznych, na które zostaną skierowani wszyscy:

- morfologia krwi,
- glukoza,
- kreatynina (z eGFR),
- lipidogram (cholesterol całkowity, LDL, HDL, triglicerydy),
- TSH (hormon tyreotropowy)
- badanie ogólne moczu.

Gdy wyniki ankiety (czynniki ryzyka, również wiek) wskażą na podwyższone zagrożenie stanu zdrowia, POZ może wystawić skierowanie na dodatkowe badania.

PO TRZECIE, ZGŁOŚ SIĘ NA WIZYTĘ PODSUMOWUJĄCĄ:

Zakres wizyty zależy od wyników badań oraz twojego wieku. Na pewno zostanie wykonany pomiar masy ciała, ustalony wskaźnik BMI oraz zmierzone ciśnienie. Te pomiary razem z wynikami ankiety i wynikami badań będą podstawą indywidualnego planu zdrowotnego.

UWAGA!
Osoby do 49. roku życia z programu „Moje zdrowie – bilans zdrowia osoby dorosłej" mogą korzystać raz na pięć lat, starsi – raz na trzy lata.

Jednak w ramach Indywidualnego Planu Zdrowotnego (IPZ) lekarz może zalecić wykonywanie określonych badań częściej. W zależności od wieku mogą być, w ramach tej wizyty, wykonane dodatkowe badania (np. test w kierunku demencji u osób powyżej 60. roku życia) oraz zarekomendowane odpowiednie do wieku szczepienia ochronne.

Dzieci dzwonią w nocy

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Na jedno samobójstwo dziecka przypada w Polsce do 200 prób targnięcia się na życie. Na tle Europy jesteśmy w niechlubnej czołówce, bo zbyt późno rozpoznajemy kryzysy emocjonalne u najmłodszych. Dlaczego tak się dzieje?

Piotrek gra koncert fortepianowy f-moll Fryderyka Chopina w wypełnionej po brzegi sali Filharmonii Lubelskiej. Robi to bardzo dojrzale, aż trudno uwierzyć, że ma dopiero jedenaście lat. Drobna sylwetka chłopca ginie pod czarnym wiekiem instrumentu, ale muzyka wybrzmiewa intensywnie – nic dziwnego, Piotr jest laureatem głównych nagród niejednego międzynarodowego konkursu. W Zamościu, gdzie zaczynał swą muzyczną edukację, mówią o nim: cudowne dziecko, wielki talent, mały Mozart.

Żeby talent chłopca mógł się rozwinąć, rodzice przenieśli go do szkoły muzycznej w Warszawie. Po roku nauki w stolicy, 3 września 2023 r. znaleźli w mieszkaniu jego martwe ciało. Kilka tygodni wcześniej grał mazurki Chopina w Żelazowej Woli.

– Potęga talentu muzycznego tego dziecka była niezwykła, a do tego miał wielką wrażliwość. Może nie mógł poradzić sobie z traumą po śmierci siostry, która zabiła się niespełna rok wcześniej? – zastanawia się jeden z muzyków Orkiestry Symfonicznej w Zamościu.

Hania, siostra Piotrka, uczyła się w I LO w Zamościu. Koleżanki podkreślają, że była ładną blondynką i ubierała się na czarno. Nosiła bluzki z długimi rękawami, pod którymi ukrywała cięcia na nadgarstkach. Po szkole chodziły słuchy, że próbowała targnąć się na swoje życie już wcześniej. Nie miała zbyt wielu przyjaciół, ale była lubiana, a jak ktoś miał problem, pomagała w lekcjach. W nocy 8 października 2022 r. napisała „na grupie", że chce ze sobą skończyć, znajomi z klasy zadzwonili do wychowawczyni, a ona skontaktowała się z ojcem Hani. Kiedy wszedł do jej pokoju, dziewczynka już nie żyła.

– Hania była nieprzeciętnie inteligentną dziewczyną, chodziła na kółko fizyczne, brała udział w konkursach. Można było z nią porozmawiać o literaturze, filozofii, a jej obserwacje na temat świata nieraz mnie zadziwiały. Ogromnie przeżyłem jej śmierć, właściwie do dzisiaj nie mogę o tym mówić spokojnie. W dniu samobójstwa wysłała mi wiadomość, że nie będzie już chodzić na nasze zajęcia. Nie przeczytałem tej wiadomości od razu i długo miałem poczucie winy, że mogłem temu zapobiec – wspomina Andrzej Mazurkiewicz, nauczyciel fizyki w I LO w Zamościu.

Samobójstwo dotyka otoczenie człowieka, który odszedł. To kilka, a czasem kilkanaście osób narażonych na silną traumę i trudne emocje. Jeśli człowiek nie przepracuje tego doświadczenia, może dojść do efektu Wertera, czyli samobójczego naśladownictwa. I w chwili emocjonalnego kryzysu nie pomyśli o konstruktywnym rozwiązaniu problemów, zamiast tego wybierze śmierć.

– Zarówno w pierwszym, jak i drugim przypadku ustalenia śledztwa, w związku z brakiem pozostawienia listu pożegnalnego, nie wykazały w sposób jednoznaczny przyczyn podjęcia prób samobójczych. Nie ustalono również, aby relacje rodzinne miały bezpośredni związek z powyższymi zdarzeniami – poinformował Rafał Kawalec z Prokuratury Okręgowej w Zamościu.

Z relacji otoczenia wynika jednak, że w domu nie działo się najlepiej. Dzieci miały być poddawane silnej presji.

Mniej samobójstw

Raport Komendy Głównej Policji podaje, że w 2024 r. odebrało sobie życie 4845 osób, czyli 7,4 proc. mniej niż rok wcześniej. W grupie tej przeważają mężczyźni – 4088, kobiety dużo rzadziej popełniają w Polsce samobójstwo (757 przypadków). Tylko w grupie nastolatków te proporcje są zbliżone – na 127 śmierci 72 samobójstwa popełnili chłopcy, a 55 dziewczyny.

– Dane przedstawione w raporcie dają wiele powodów do optymizmu, bo obserwujemy największy spadek w liczbie samobójstw od 10 lat. Zwiększyła się co prawda liczba prób samobójczych, ale może mieć to związek z tym, że takie zachowania są częściej raportowane na policję, bo rośnie społeczna świadomość. Wciąż jednak dokładna liczba nie jest możliwa do określenia, ponieważ nie wszystkie próby zgłaszane są na policję. Według badań szacuje się, że na jedno samobójstwo dziecka przypada od stu do dwustu prób – wyjaśnia dr Halszka Witkowska, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego.

Próba samobójcza nie musi być wynikiem decyzji, że dziecko nie chce żyć, częściej chce przestać cierpieć i w ten sposób woła o pomoc. Liczba takich prób może być istotnym dowodem na to, że nie widzimy problemów, z jakimi zmagają się dzieci, lub nie potrafimy ich w porę rozpoznać. Mimo że spadła liczba samobójstw, śmiertelność nastolatków odbie-

rających sobie życie w Polsce, na tle Europy, jest wciąż bardzo wysoka.

– Jesteśmy pod tym względem w niechlubnej czołówce. Kryzys dziecka pozostaje niezauważony i nie ma to związku z tym, w jakim domu się wychowuje młody człowiek. Zarówno w domach zamożnych, wykształconych rodziców, jak i w tych gorzej uposażonych rodzice są zabiegani, nie mają czasu dla swoich dzieci i nie dają im emocjonalnego wsparcia – podkreśla dr Halszka Witkowska

Szacuje się, że w ostatnim roku w Polsce ok. 12,7 tys. młodych ludzi podjęło próby samobójcze. Po tym wydarzeniu wielu z nich wróciło do szkoły i do grona znajomych. O ich rozpaczy i samotności nie dowiedział się najczęściej nikt poza najbliższą rodziną.

Dziecięca rozpacz w słuchawce

Ważnym punktem na polskiej mapie niesienia pomocy najmłodszym jest telefon zaufania dla dzieci i młodzieży prowadzony przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę, który działa od 2008 r. Pod numer 116 111 można dzwonić przez całą dobę, siedem dni w tygodniu. Oprócz bezpośredniej rozmowy możliwe jest także nawiązanie kontaktu ze specjalistą przez wysłanie SMS. To ważne rozwiązanie, ponieważ pozwala na kontakt dzieciom z niepełnosprawnością słuchową, które do tej pory nie miały szans opowiedzieć o swojej sytuacji.

– Istnieje mit, że z telefonu zaufania można skorzystać tylko w sytuacji bardzo trudnej. Wiele dzieci dzwoni będąc w głębokim kryzysie i w trakcie rozmowy okazuje się, że chciały skontaktować się z nami wcześniej, ale miały opory, by nie zajmować nam linii. Zdarzało mi się odbierać połączenia także o trzeciej w nocy i piątej nad ranem. Często okazywało się, że wysłuchanie dziecka i wspólne omówienie z nim możliwości wyjścia z problemowej sytuacji sprawiało, że poczuło się lepiej – podkreśla Katarzyna Talacha, psycholożka i psychoterapeutka z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę.

Każdego dnia konsultanci telefonu zaufania odbierają około 300 połączeń, aż 130 z nich dotyczy problemów ze zdrowiem psychicznym: z depresją, niską samooceną, stresem, niepokojem, lękiem. Dzwonią dzieci, które okaleczają się i mają myśli samobójcze. 50 proc. połączeń pochodzi od nastolatków (13-17 lat), ale zdarzają się też wiadomości od ośmio- i dziewięciolatków. Często specjaliści dyżurujący przy telefonie muszą podejmować szybkie decyzje w obronie życia i zdrowia dzieci. W 2024 r. pracownicy fundacji przeprowadzili 1010 interwencji w całej Polsce. Średnio 14 rozmów dziennie dotyczy przemocy i krzywdzenia, ze słuchawki dobiega dziecięcy smutek, bezradność, samotność. Czasami pojawia się poczucie rozczarowania światem dorosłych bądź niepokój, że dzieląc się swoimi problemami, dokładają kłopotów bliskim.

Przemoc rówieśnicza

Samobójstwo może być wywołane przez impuls, jednak proces dochodzenia do takiej decyzji kształtuje się w człowieku przez miesiące, nawet lata. Jest wynikiem ogromnego cierpienia, z którym dziecko nie jest w stanie sobie poradzić.

– Samobójstwo mogą wywołać różne czynniki, wiele z nich wynika z indywidualnych uwarunkowań, takich jak choroby czy zaburzenia, ale należy także wziąć pod uwagę doświadczenie przemocy fizycznej czy seksualnej albo nieprzepracowaną żałobę. Ważne są też czynniki środowiskowe, czyli szkoła, dom, ale również internet. Badania pokazują, że dziecko spędza w sieci średnio 5 godzin i 36 minut; to już nie jest narzędzie do pracy czy nauki, ale środowisko, w którym młody człowiek codziennie funkcjonuje – podkreśla dr Halszka Witkowska.

Przemoc rówieśnicza, której dzieci doświadczają w zamkniętych grupach i na portalach społecznościowych, stała się przyczyną wielu tragicznych zdarzeń. 16-letnia Julia z Lubina targnęła się na życie po kilku latach dręczenia przez znajomych. Jej problemy zaczęły się podczas pandemii, kiedy szkoły przeszły w tryb nauki zdalnej. Lekcje szły swoim torem, a na komunikatorach dzieci naśmiewały się z Julii i obrażały ją. Z czasem wyrzucono ją z grupy na Messengerze, stała się kozłem ofiarnym, a w sieci krążyły jej zdjęcia z imieniem i nazwiskiem z wulgarnymi opisami.

Nastolatka miała oddanych i kochających rodziców, którzy nie zostawili jej samej. Zgłaszali sprawę szkole, policji, interweniowali u wychowawcy i wszędzie odbijali się od ściany niezrozumienia, byli traktowani jak ludzie przewrażliwieni. ↦

ARKADIUSZ ZIÓŁEK / EAST NEWS

Na wszystkich warszawskich mostach umieszczono tabliczki z napisem „Nie rezygnuj z życia". Most Siekierkowski, Warszawa, 1 października 2024 r.

↦ Nawet kiedy Julia została podczas zajęć wychowania fizycznego publicznie ośmieszona i uderzona, żadna z koleżanek nie poniosła konsekwencji, mimo że jej rodzice natychmiast zjawili się w szkole. Obraźliwe komentarze pod adresem nastolatki pojawiły się także w dniu jej pogrzebu. Jedna z dziewczyn nagrała film, w którym słychać jej śmiech i słowa, że „może trochę przesadziła".

Po śmierci nastolatki w Lubinie odbył się marsz przeciwko przemocy. Wzięły w nim udział także osoby, które przez lata dręczyły Julię.

– Dzieci tak często doświadczają przemocy rówieśniczej, że zaczynają to traktować jak coś oczywistego. Czasem dowiadujemy się o tym przez przypadek, po kilkunastu minutach rozmowy – opisuje Katarzyna Talacha z telefonu zaufania. – Według raportu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę „Diagnoza przemocy wobec dzieci w Polsce 2023" z problemem tym mierzy się 66 proc. nieletnich. Najtrudniejszy jest hejt w internecie, bo ten nigdy się nie kończy. Kiedyś dziecko po lekcjach mogło próbować zapomnieć o tym, co działo się w szkole, bo na podwórku miało innych znajomych, a w domu szansę na reset. Teraz dzieci kładą się spać i budzą z przemocą. Bywają wykluczane z grupy nawet za swoje walory, próbują je więc ukryć, żeby się nie wyróżniać. Nie przyznają się, że są dwujęzyczne, grają na instrumentach, potrafią malować. Każdy pretekst jest dobry, by zostać wykluczonym.

Nie rezygnuj z życia

Pamiętam, że szeptaliśmy o tym w szkole przez kilka tygodni. Dwie dziewczyny ze starszej klasy popełniły samobójstwo. Razem. Podobno ubrały się jak do ślubu i łóżko udekorowały kwiatami. Podobno zostawiły list, w którym pisały o tym, że kochają się i w takim świecie nie chcą dalej żyć. Plotka rosła i rozprzestrzeniała się po klasach. Jedną z tych dziewczyn uratowano, chodziła potem po korytarzach liceum ubrana na czarno. Nikt z nią nie rozmawiał. Ale nikt nie rozmawiał też z nami, nauczyciele prowadzili lekcje, jak gdyby nic się nie stało. Był początek lat 90.; samobójców ciągle jeszcze chowali w moim mieście w oddzielnych miejscach, a o miłości między dziewczynami wspominano z nerwowym chichotem.

– Rodzice zawsze powinni informować wychowawcę klasy lub pedagoga o próbie samobójczej dziecka. Dzięki temu szkoła ma szansę przygotować się na jego powrót lub w przypadku śmierci porozmawiać z klasą – tłumaczy Lucyna Kicińska, pedagożka w XLI LO im. J. Lelewela w Warszawie, ekspertka Biura ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym oraz wieloletnia współpracowniczka Forum Przeciw Depresji. – Młodzież musi poznać fakty w bezpiecznej narracji. Jeśli pedagodzy zrobią to adekwatnie, z szacunkiem do dziecka, uczniowie będą mogli poradzić sobie z emocjami, które przeżywają. Niestety, zdarzyła mi się sytuacja, że rodzice mimo wcześniejszej umowy, że przygotujemy dziecko po próbie samobójczej do powrotu do szkoły, wysłali je od razu na lekcję, zamiast do mnie do gabinetu.

Obserwujemy największy spadek liczby samobójstw od 10 lat.
Więcej jest prób samobójczych, ale powodem może być fakt, że takie zachowania są częściej raportowane.

W 2024 r. do wszystkich szkół trafiły „Standardy postępowania w kontakcie z uczniem z myślami samobójczymi, po próbie samobójczej i w żałobie po śmierci samobójczej". Lucyna Kicińska i Małgorzata Łuba stworzyły je na podstawie badań, wieloletniej praktyki w gabinecie i rozmów z ludźmi stykającymi się w pracy z osobami w kryzysie i po próbach samobójczych. Rozmawiamy tuż przed szkoleniem, podczas którego przedstawi nauczycielom, jak ważna jest tzw. postwencja, czyli zapobieganie negatywnym skutkom tragicznego zdarzenia.

– Przez wiele lat samobójstwo było tematem tabu, rodzice bali się napiętnowania i nie informowali szkoły, że ich dziecko przeżywa kryzys, czy też próbowało targnąć się na własne życie. Myśleli, że w ten sposób chronią swoje dzieci i ich rówieśników. Ale młodzi ludzie nie są głupi, dowiedzą się choćby z plotek, zaczną snuć domysły, doświadczać ambiwalentnych stanów emocjonalnych. Samobójstwo nieprzepracowane czy zamiecione pod dywan może stać się dla nich punktem odniesienia w dalszym życiu, dlatego to bardzo ważne, by pedagodzy wiedzieli, jak kryzysy rozpoznawać i jak wspierać uczniów, a także jak współpracować z rodzicami – uważa Kicińska.

W ramach Krajowego Programu Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym od 2024 r. przeszkolono ponad 5 tys. nauczycieli. Specjaliści zrzeszeni w Polskim Towarzystwie Suicydologicznym pracują z kolei nad tym, by zmiany społeczne dokonywały się na wielu polach. Ważne jest zabezpieczenie infrastruktury: mostów i budynków, tak by były niedostępne dla osób chcących targnąć się na własne życie. Warszawskie mosty objęte zostały dodatkowym monitoringiem i przymocowano do nich tablice: „Nie rezygnuj z życia".

Nagle sami

W niektórych domach bakcyl samobójstwa nigdy nie znika, może przez wiele lat pozostać uśpiony w meblach i bieliźnie, czeka cierpliwie w pokojach i w piwnicach, w szafach i w papierach, aż pewnego dnia na nieszczęście ludzi budzi się z letargu. W moich rozmowach z prokuratorami i psychologami powracał wątek rodzin, w których taki sposób radzenia sobie z kłopotami stał się metodą. Pamiętam historię rodzinną z powiatu tomaszowskiego, gdzie w 2013 r. na skutek zawiedzionej miłości nastolatek odebrał sobie życie. Po ośmiu latach powiesił się jego ojciec, rok później matka.

– Żałoba po śmierci samobójczej dziecka jest najtrudniejszym doświadczeniem w życiu rodzica. Znacznie gorszym niż sytuacja, kiedy dziecko umiera na skutek choroby. Samobójstwo generuje ogromne poczucie winy, przynosi wiele przytłaczających emocji: rozpaczy, wyrzutów sumienia, niezgody na to, co się stało, ale też złości na zmarłego, że nas nie wtajemniczył w swe problemy. Rodzice opowiadają też o poczuciu wstydu wobec rodziny i znajomych, mówią, że zawiedli, że „coś w ich życiu poszło nie tak" – relacjonuje Lucyna Kicińska, a na koniec apeluje: – Bardzo trudno żyć po czymś takim bez wsparcia, dlatego w najtrudniejszych etapach żałoby warto sięgnąć po pomoc, np. konsultacje, które oferuje portal „Życie warte jest rozmowy". Można też dzwonić na telefon Fundacji „Nagle Sami".

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

OLGA

Drenda:
Apetyty na destrukcję

To się czasami daje wyczuć: suma małych rozczarowań, irytacji i nie do końca zdefiniowanych frustracji, połączonych z monotonią i może nawet płytkością codzienności. Niby nic konkretnego, nie ma jednoznacznej przyczyny, ale powszechne niezadowolenie się w końcu skrapla i nie sposób mu zaprzeczyć.

Atmosfera jest, najogólniej mówiąc, na anty. Prezydentem zostanie jeden z dwójki kandydatów, którzy nawet wśród własnego zasadniczego elektoratu budzą uczucia mieszane. Motywacja do głosowania to przede wszystkim to, żeby przegrał ten drugi.

Nawet krótki rajd po rozmaitych przestrzeniach wypowiedzi ludzkiej pozwala dojść do wniosku, że duża część wyborców oddała głosy po to, żeby po prostu wyrazić swoje niezadowolenie. Wcale niemało wahało się między kandydatami o programach radykalnie różnych, ale jakoś identyfikujących bolączki, subiektywne czy nie, spadające na jedną i tę samą głowę, np. prowadzisz swoją firmę i narzekasz na ZUS i podatki, ale też spodziewasz się, że władze zagwarantują regularny i niedrogi pociąg w twojej miejscowości.

Przeciętny człowiek miewa bowiem często, i jest do tego absolutnie uprawniony, przekonania wycinkowe, niespójne i łączące ogień z wodą, za to rzadko kiedy poczuwa się do pełnej lojalności wobec jakiejś frakcji. Po pierwszej turze wyborów prezydenckich ekspresowo zareagował raper Słoń, wypuszczając utwór, którym trafił w to uczucie niesprecyzowanego, ale wyraźnego rozgoryczenia, a tych, którzy „mają monopol na prawdę", łagodnie mówiąc, wyprosił ze swojego otoczenia.

Nie ma przejść i nie ma wyjść

OLGA DRENDA

Najbardziej znamienny sondaż wskazuje nie na konkretnego kandydata, a na fakt, że większość głosujących nie wierzy w realizację wyborczych obietnic i liczy się z tym, że bierze udział w mało wiarygodnym przedstawieniu. Nasze społeczeństwo ma tendencję do umiarkowanego zaufania wobec klasy politycznej i nie przejawia wobec niej entuzjazmu – zawsze uważałam tę rezerwę za wyraz zbiorowego rozsądku. Ale też coś, co dało się wyczuć ponad całą pierwszą turą, to niechęć do bycia na tak, do budowania, do dostrzeżenia zmiany na lepsze.

Teraz, i było to słychać w programach, chodzi o to, żeby skończyć, powstrzymać, zdemontować, zablokować, zabronić, uniemożliwić, rozpędzić na cztery wiatry, ukrócić, przestać, zlikwidować, nie dopuścić, wycofać się, zgłosić weto. Kandydat typu budowniczy, czy nawołujący do chłodnego rozsądku, w takiej atmosferze wydaje się niewiarygodnym marzycielem.

To czasami zdarza się w każdym społeczeństwie, nie jest żadnym polskim losem: ludzie podejmują decyzje „na nie", jakby ciągnęła ich do tego jakaś niepowstrzymana siła, do tego czują się tak, jakby podjęli już decyzję nie do odwołania i nieważne, co się może stać później, najważniejsze, żeby coś się po prostu wydarzyło. Gdzieś mignęło mi zdanie, że „spokój nie jest obecnie pożądaną emocją", a jeśli dzieje się tak w społeczeństwie tak miłującym święty spokój jak nasze, to naprawdę warto nadstawić uszu.

To zjawisko, takie marzenie o rozwałce, o tym, żeby zdarzyło się jakieś łubu-du i cokolwiek zmieniło, nie jest wystarczająco doceniane czy dostrzegane. To pragnienie, które rozpoznają twórcy filmów sensacyjnych. Często opowiadają o czymś, czego w realu nie wolno, o zemście dokonanej z pominięciem aparatu sądowniczego, o aktach wykraczających poza granicę obrony koniecznej, o pościgach przez miasto na złamanie karku i przy akompaniamencie kolejnych kraks, o gonitwie za kimś bez względu na pandemonium wywołane po drodze, najogólniej służą do zaocznego spełniania marzeń, na które w rzeczywistości nie pozwala nam prawo.

To zjawisko nie mieści się w statystyce ani nie da się go pojąć przy użyciu standardowych kryteriów w rodzaju „zarobki i bezpieczeństwo". Często idzie też statystyce wbrew: gdy jedno dzieje się na piśmie, a subiektywnie życie odbiera się inaczej. Czasami nastroje te wykrywają zupełnie nienaukowe instrumenty. Powiedzenia, memy, dowcipy, piosenki. Coś, co przeczy mierzalnym faktom, ale prędzej czy później daje się zmierzyć, np. w formie deklaracji wyborczych. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

ROZMOWA

CZEGO PRAGNĄ WYBORCY

MARCIN DUMA, PREZES IBRIS:

Podział wykreowany przez Kaczyńskiego i Tuska dobrze sprawdza się u ludzi, którzy jeśli nawet nie są ich rówieśnikami, to dojrzewali w PRL lub w czasach transformacji. Dla młodych to nużące, to już historia.

MAREK KĘSKRAWIEC: Czy kampania któregoś z kandydatów na prezydenta się Panu spodobała?

MARCIN DUMA: Wolałbym powiedzieć, która z kampanii była lub jest według mnie dobra, a która zła. Profesjonalną kampanię ma Karol Nawrocki. Jego siłą jest profesjonalnie działający sztab, który wiele się nauczył, oglądając wybory w USA. Największą ich słabością jest sam kandydat.

Na pewno ciekawą kampanię miał też Adrian Zandberg, który z jednej strony dobrze wykorzystał trendy społeczne i narzucił własne, ważne tematy, a z drugiej – bardzo umiejętnie odnalazł się w sferze platform społecznościowych.

Kampanii Rafała Trzaskowskiego nie umiem pochwalić. Tu jest odwrotna sytuacja niż w PiS, gdyż kandydatowi KO sztab raczej szkodzi, niż pomaga. Musimy jednak pamiętać, że Trzaskowski jako nominat koalicji rządzącej ma z założenia pod górę.

Czego się Pan spodziewa po tych wyborach? Mam wrażenie, że sytuacja w Polsce jest tak napięta, że konieczne jest jakieś przesilenie. Jeśli wygra Trzaskowski, to Donald Tusk, biorąc pod uwagę niknące poparcie dla jego rządu, będzie grał na rozliczenia i rozbicie PiS. A jeśli zwycięży Nawrocki, obawiam się paraliżu decyzyjnego państwa i gry na wcześniejsze wybory.

Nie sięgałbym tak daleko w ponurych przewidywaniach. Wystarczająco przełomową zmianą okazałby się już sam wybór Trzaskowskiego. To byłaby ogromna zmiana i prawdziwy egzamin dla obozu rządzącego, który już nie miałby na kogo zrzucać odpowiedzialności za brak realizacji wielu zapowiedzi wyborczych koalicji 15 października. Natomiast wygrana Nawrockiego tylko przedłuży obecną sytuację. To jednak też byłoby duże przesilenie, gdyż PiS wyszedłby z głębokiego kryzysu. Na razie wcale nie jest do tego tak blisko. Jeśli chodzi o liczbę wyborców, to w porównaniu do jesieni 2023 r. pierwsza tura też jest dla nich niesatysfakcjonująca. Uwzględniając frekwencję, ubyło temu obozowi prawie 2 miliony głosów.

Mieszkańcy Nowej Huty głosują w pierwszej turze wyborów prezydenckich. Kraków, 18 maja 2025 r.

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Co się z nimi stało?

Poszli do konkurencji, która po prawej stronie jest dziś dużo silniejsza niż kiedyś. Ona się zresztą stale zaostrza, a to z punktu widzenia Prawa i Sprawiedliwości – mimo że cała prawica tryumfuje, bo w pierwszej turze zgarnęła aż 52 proc. – nie jest optymalną sytuacją. W dodatku atmosfera w partii jest bardzo napięta, bo pamiętajmy, że PiS walczy trochę o życie. Te wszystkie elementy, które partia Jarosława Kaczyńskiego zbudowała jako systemowe bezpieczniki na wypadek przegranych wyborów w 2023 r., w przypadku wygranej Trzaskowskiego przestaną działać. Czy to w kwestiach nominacji ambasadorskich, problemów wokół kierownictwa Prokuratury Krajowej, a zwłaszcza w najważniejszych instytucjach wymiaru sprawiedliwości. Padnie wówczas ostatni szaniec obrony systemu, który tworzyła przez osiem lat Zjednoczona Prawica.

Czy to oznacza, że koalicja podejmie próby zniszczenia PiS w sądach, w ramach rozliczeń?

To zbyt daleko idący wniosek. PiS został przystrzyżony finansowo, ale ostatecznie trafiają do nich większe pieniądze, niżby się mogło wcześniej wydawać. Mam też wrażenie, że mimo wszystko koalicja rządząca nie jest zainteresowana tym, żeby PiS unicestwić, tylko go osłabić. Dewastacja PiS przyniosłaby tylko krótki moment próżni, natomiast to, co by się wyłoniło z tego chaosu, wcale nie musiałoby być słabsze. Sławomir Mentzen zdobył niemal 15 proc., Grzegorz Braun ponad 6. Jeśli PiS popadnie w głęboki kryzys, wyborcy prawicy nie znikną – wzmocnią wspomniane dwie radykalne siły.

Nie wiem, czy rządzący są gotowi na nowy kształt prawej strony sceny politycznej. Dziś PiS w pewnym sensie jest barierą dla bardzo skrajnych tendencji i środowisk wciąż marginalnych.

Czy w scenariuszu wygranej Nawrockiego można się spodziewać większego kryzysu politycznego i społecznego, próby rozbicia koalicji, szybszych wyborów?

W warstwie narracyjnej na pewno taki argument się pojawi. Pamiętajmy jednak, że do Andrzeja Dudy skierowano 190 ustaw, z czego zawetował 5, a 4 skierował do Trybunału Konstytucyjnego. Nie jest tak, że doznaliśmy jakiegoś paraliżu, choć w przypadku Karola Nawrockiego te proporcje zapewne się zmienią.

Ale czy nie ma znaczenia, że Nawrocki jest jednak inny niż Duda? Obecny prezydent w 2015 r. kierował swój przekaz również do centrum. Nawrocki nawet nie podejmuje takich prób, prowadzi kampanię pod twardy elektorat PiS.

Tyle że Nawrocki nie musi apelować do żadnego centrum, skoro prawica w pierwszej turze zgarnęła ponad połowę całego tortu. Jeśli zacząłby to robić, odseparowałby od siebie wyborców Brauna i Mentzena, a jemu zależy, by stawili się oni w jak największej liczbie, bo w tym elektoracie Nawrocki ma obezwładniającą przewagę. Kierowanie się w stronę liberalną może mu się po prostu nie opłacać. Musiałby udawać kogoś innego. Ten błąd popełnił kandydat KO i jego sztab.

Fakt, w porównaniu z sytuacją sprzed 10 lat społeczeństwo przesunęło się na prawo. Nawet politycy KO gdzie indziej widzą dziś centrum polityczne, co widać w ich przekazie, z którego niemal znikła progresywna agenda.

Wyniki pierwszej tury pokazują, że dwie główne siły polityczne, w miarę równe, zagospodarowują 61 proc. To najsłabszy wynik duopolu PO-PiS od jego powstania w 2005 r. Nawet jeśli odliczymy od tego Szymona Hołownię i Magdalenę Biejat jako twarze związane z koalicją, więc niezbyt wiarygodne w demontowaniu duopolu, to mamy prawie 30 proc. wyborców, którzy w otwarty sposób kontestują obecny system. A odpowiedzi na wyzwania, którym nie podołał ani PiS, ani obecna koalicja – szukają trochę w partii Razem, ale dużo częściej w Konfederacji, a jeśli są bardziej zradykalizowani, to u Brauna.

Wyborcy generalnie potrzebują jednak nie tyle ideologii, co rozwiązania swoich problemów. Chcą odwrócić skutki pandemii, żyć zasobniej, mniej martwić się wojną w Ukrainie. A ponieważ recepty PiS się nie sprawdziły, obietnice koalicji 15 października pozostały zaś w większości w sferze haseł – wypatrują kogoś innego, kto jeszcze nie rządził. Wyborcy nie ↦

mają dowodu, że ten ktoś jest skuteczny, ale też nie mają dowodu, że nie jest.

Spora część elektoratu, który w rekordowej liczbie udał się jesienią 2023 r. do urn i przesądził o wygranej obecnej koalicji, nie oddała swojego głosu na obecną władzę, bo tak bardzo była przerażona rządami PiS – ci ludzie wybrali ją warunkowo, skuszeni stoma konkretami. Teraz są rozczarowani?

Nawet gdyby żaden z tych konkretów nie został zrealizowany, ale optymizm konsumencki rósł wraz z zarobkami, a przede wszystkim z siłą nabywczą, czyli wrócilibyśmy na ścieżkę wzrostu zarysowaną przed pandemią – nie byłoby kryzysu notowań rządu. Pamiętajmy, że Polacy wedle obietnic Tuska mieli mieć więcej w portfelach, a ich rodzinom miało się żyć lepiej. To się nie wydarzyło i dlatego mówimy dziś o braku „konkretów".

Dlaczego sprawa słynnej kawalerki niczego nie zmieniła?

Tarczę Nawrockiemu zrobiły telewizje prawicowe, którym udało się przekonać wyborców PiS, że ta sprawa jest spiskiem służb specjalnych. Oczywiście jest jeszcze druga tura, więc znaczenie będzie miało też i to, że Mentzen nie dał się przekonać Nawrockiemu i nadal surowo ocenia tę sprawę. Pamiętajmy jednak, że wyborca Mentzena czy Brauna ma do wyboru z jednej strony Nawrockiego z obciążeniami wizerunkowymi, a z drugiej strony przedstawiciela władzy, „tęczowego" Rafała. Czy kawalerka będzie dla niego ważna na tyle, że zrezygnuje z udziału w wyborach? Czy też zatka nos i jednak zagłosuje na Nawrockiego?

Z perspektywy sztabu Trzaskowskiego to także ważna sprawa, ale bardziej chodzi w niej o demobilizację i zniechęcenie tych ludzi. Ich pozyskanie jest raczej niemożliwe.

Czym Trzaskowski może ich zachęcić do pozostania w domu? Przekonując, że nie jest aż tak lewicowy?

Od początku tej kampanii próbuje tworzyć wrażenie, że jego zwycięstwo nie spowoduje zmian w polityce migracyjnej, że nie zacznie promować agendy progresywnej i będzie asertywny w kwestiach ukraińskich. Wyborcy Konfederacji, zwłaszcza ci młodsi, mogą więc uznać, że między dwójką kandydatów nie ma większych różnic i że to nie jest „ich" walka.

> Nawet gdyby żaden ze stu konkretów nie został zrealizowany, ale rosły zarobki, ceny zaś względnie stały – nie byłoby kryzysu notowań rządu, **który obciąża rykoszetem Trzaskowskiego.**

Młodzież wyjątkowo tłumnie poszła na wybory. Procentowo było ich nawet więcej niż seniorów.

W grupie wiekowej 60 plus spór Nawrockiego z Trzaskowskim zagospodarował ponad 84 proc. głosów. Tymczasem w grupie 18-29 na obu panów zagłosowało ledwie 23 proc. wyborców. Sam Zandberg zdobył u nich niemal 20 proc., a Mentzen aż 36 proc. głosów.

Czy młodzi są zmęczeni tym, że spór toczy się od 20 lat wokół dwóch starzejących się liderów?

Wydaje się, że podział wykreowany przez Kaczyńskiego i Tuska dobrze sprawdza się u ludzi, którzy jeśli nawet nie są ich równolatkami, to dojrzewali w PRL lub w czasach transformacji. Dla młodych to jest nużące, to jest już historia.

Starsze pokolenia miały określone cele: interesem narodowym ponad podziałami było wejście do NATO i do UE. Młodzi zaś generalnie nie pamiętają czasów bez NATO i Unii, oni myślą o tym, jak to członkostwo ma dziś wyglądać. Chcą przeprowadzić audyt i sprawdzić, czy nam się to wciąż opłaca. I jeżeli dzisiaj Mentzen mówi o tym, że powinniśmy przemyśleć nasze członkostwo, wydaje się to herezją z punktu widzenia tych, dla których to było gigantyczne osiągnięcie, marzenie, za które potulnie dziękowali latami Zachodowi. Dla młodych to już nie jest tabu. Członkostwo w Unii to punkt wyjścia, dziś żądają oni uznania, większej wagi naszego głosu. Wielu z nich jeździ na zachód Europy i widzi, że polskie miasta wyglądają często lepiej. Bezpieczniej jest, czyściej.

Ważne jest też chyba to, że ludzie dziś, nie tylko młodzi, są mniej cierpliwi, żądają szybszej realizacji obietnic.

Dlatego też niezwykle rozbudowane oczekiwania wyborców szybko przerodziły się w rozczarowanie wobec koalicji 15 października. Polacy oczekiwali szybkiej poprawy życia, którą obiecywał Tusk, jeśli tylko naród odsunie od władzy tych nieudaczników z PiS. Sądzę wręcz, że nawet gdyby udało się skutecznie uchwalić ustawę poszerzającą prawo do aborcji, zalegalizować związki partnerskie i zreformować sądownictwo, to nadal – bez poprawy sytuacji ekonomicznej obywateli – koalicja miałaby duży kłopot z utrzymaniem poparcia.

To jednak wcale nie musi wzmacniać PiS-u. Pamięć o ich rządach jest wciąż żywa, a oni nie są wciąż gotowi, by obsłużyć obecne rozczarowanie. Śmiem twierdzić, że PiS przegrał wybory parlamentarne niespecjalnie dlatego, że ograniczył prawo do aborcji i że zmiany w sądownictwie doprowadziły do chaosu. Przegrał głównie dlatego, że nie był w stanie wrócić na ścieżkę wzrostu, na której byliśmy przed covidem. Polacy wciąż to pamiętają.

Jeszcze lepiej pamiętają obietnice Tuska.

Który poleci dzień po wyborach do Brukseli i natychmiast odblokuje pieniądze z KPO. W rzeczywistości zajęło to parę miesięcy. To, że ludzie nie widzą tych pieniędzy, to już odrębna sprawa.

Faktem jest, że pojawiają się informacje, iż nastroje konsumenckie uległy poprawie, ale jeśli coś się poprawia, to wcale nie znaczy, że jest dobrze. Nastroje wciąż są raczej złe, bo tempo zmian jest wolne. Mamy dziś wyższe ambicje, którym władza nie umie sprostać, więc część z nas szuka gdzie indziej. Stąd kryzys duopolu.

Skąd fenomen Brauna?

On gromadzi wyborców, którzy uważają, że Żydzi, Ukraińcy i „kolorowi" zabierają nam pracę albo wpływają na to, że nasze zarobki nie rosną, bo obcy

godzą się na niższe stawki. Korzystają z naszych zasobów, ale nic nie dają w zamian. Braun mówi na to wprost: „stop ukrainizacji Polski". Na dodatek ma duże umiejętności w zakresie autoprezentacji. Radykalne sądy wygłasza spokojnym, obniżonym głosem, nie ulega emocjom, jest pełen powagi, używa wyszukanego języka. Pomogło mu to bardzo w trakcie debat, choć szczerze mówiąc, byłem przekonany, że po swoim antysemickim występie raczej straci impet, a on go tylko zyskał. Cóż, antysemickim narodem nie jesteśmy, ale pewien niewielki odsetek nas przejawia takie poglądy.

Mówiliśmy już o różnicach w poglądach między młodymi i starymi, ale zaskoczyła mnie też frekwencja. Wyborców do 29. roku życia poszło do urn aż 73 proc., a ludzi powyżej 60-tki tylko 59 proc. Jak to tłumaczyć?

Rozczarowani starsi ludzie wyrazili swoje nastroje w sposób pasywny, nie idąc na wybory, młodzież zaś swoją niezgodę zaakcentowała w sposób aktywny, głosując. Być może jednak wykazali chęć walki dlatego, że mieli swoich kandydatów. W zredukowanym do PiS-u i Platformy świecie najstarszych wyborców niespecjalnie jest przestrzeń na to, żeby szukać jakiejś alternatywy. Wybierają więc ciepły koc i fotel.

Sądziłem, że w jakimś stopniu ten elektorat, jak i część młodzieży oraz wsi pójdzie za Hołownią.

W raporcie z naszych badań z września wychodziło jasno, że Szymon Hołownia jest na naszej scenie nikomu do niczego niepotrzebnym komponentem. To jest bardzo utalentowany polityk, jego jedyny problem polega na tym, że działa w przestrzeni między Tuskiem a Kaczyńskim, a tam miejsca nie ma. Trzeba go szukać obok. Tymczasem Hołownia będąc członkiem koalicji uważał, że jako marszałek Sejmu będzie mógł zbudować sobie nieco autonomiczny wizerunek. Nie udało się. Dla społeczeństwa pozostał częścią obozu Tuska.

Dlaczego wieś, która stała się tak dużym beneficjentem wejścia do Unii, tak mocno postawiła na Nawrockiego? Zdobył w pierwszej turze 38 proc., niemal dwa razy więcej niż Trzaskowski.

BARTEK SYTA / MATERIAŁY PRASOWE IBRIS

MARCIN DUMA jest badaczem opinii i rynku oraz prezesem Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS.

Wieś jest tradycyjnym zapleczem PiS, bo za czasów jego rządów najwięcej zyskała, tam też polityki socjalne i wyrównywanie różnic zadziałały najmocniej. To nie jest zaskoczenie, od 20 lat obserwujemy to samo. Średnie i duże miasta są bardziej liberalne, wieś bardziej konserwatywna.

Ale i to się zmienia. Robiliśmy badanie dotyczące młodych kobiet i wzorców obyczajowych czy modowych, które do niedawna później docierały na wieś i dłużej się tam adaptowały. Dziś to nie ma znaczenia, nowe trendy docierają tam bardzo szybko. Ludzie żyjący na wsi mogą kierować się bardziej tradycyjnymi wartościami, ale żyją w tym samym, nowoczesnym społeczeństwie. Internet i media społecznościowe doprowadziły do egalitarności i mocno zakwestionowały przywództwo elit.

No właśnie. Wyrównywanie szans i egalitarność kojarzyły się kiedyś z lewicą. Na dodatek czasy są takie, że bezrobocia niby nie ma, ale miliony Polek i Polaków pracują za pieniądze, za które da się przeżyć, ale nie można pomarzyć o czymś więcej, np. o własnym mieszkaniu. To idealne pole dla lewicy, która nie wykorzystuje szansy. Czy to problem przywództwa? Włodzimierz Czarzasty to polityk rodem z PRL.

W pierwszej turze kandydaci lewicy zdobyli 10 proc., a to więcej, niż się spodziewałem. Niemniej rzeczywiście, kondycja lewicy jest w Polsce rozczarowująca. Czy to kwestia przywództwa, nie wiem. Na pewno jednak faktem jest, że po załamaniu się lewicy po jej rządach w latach 2001-05 w jej miejsce najpierw częściowo weszła Samoobrona, a potem PiS. I ten rodzaj wyborcy socjalnego pozostał przy tej partii, ulegając jej ideowemu wpływowi. Zresztą w pewnym stopniu zjawisko to widzimy też w miastach, gdzie robotnicy są z jednej strony skupieni na postulatach socjalnych, ale obca jest im progresywna agenda. PiS trafia lepiej w tę mentalność. Jest socjalny w treści, a narodowy w formie. Na taką lewicę, która jest silnie prosocjalna, ale też mocno postępowa, pozostało mało miejsca.

Czy w przypadku wygranej Nawrockiego oraz zwycięstwa PiS w kolejnych wyborach parlamentarnych nie boi się Pan, że nowa władza doprowadzi do erozji demokracji i wsadzania do więzień przeciwników?

Mieliśmy przez dwie kadencje PiS u władzy, z jego pełną kontrolą nad mediami i ważnymi instytucjami. Słyszeliśmy masę histerycznych komunikatów, że już za chwilę stworzą nam rządy autorytarne – i jakoś po ośmiu latach Kaczyński oddał władzę. Dlatego jestem optymistą, zwłaszcza teraz, gdy duopol słabnie.

Co Pan sądzi o umocowaniu prezydenta w Konstytucji.

W obliczu wrogości, jaką darzą się strony duopolu, coraz więcej z nas ma problem z tym, jak określiliśmy kompetencje głowy państwa, który z jednej strony posiada ogromny mandat społeczny, a z drugiej nie ma władzy twórczej, tylko destrukcyjną. Jego rola jest znikoma, jeśli pochodzi z tego samego obozu politycznego co większość parlamentarna, a gdy jest odwrotnie – sprowadza się do niszczenia planów rządu. Musimy się zdecydować: albo prezydenta wzmocnić, albo przestać udawać, że jego silny mandat do czegokolwiek jest nam potrzebny.

©℗ Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

ŚWIAT

KURDOWIE NA ZAKRĘCIE HISTORII

Samorozwiązanie Partii Pracujących Kurdystanu kończy trwającą prawie pół wieku epokę w dziejach tego narodu i Bliskiego Wschodu. Ale historia Kurdów toczy się nadal. Dokąd ich zaprowadzi?

KRZYSZTOF STRACHOTA

Uznali, że swoją misję dziejową wypełnili. 12 maja XII Kongres Partii Pracujących Kurdystanu (PKK) – najbardziej wpływowego kurdyjskiego ugrupowania, poważnego gracza na Bliskim Wschodzie i jednocześnie organizacji terrorystycznej – ogłosił samorozwiązanie partii i złożenie broni. PKK uznała, że dalsza walka o prawa Kurdów, prawa robotników i chłopów, młodych i kobiet, ma toczyć się na drodze politycznej, z nadzieją na demokratyczną Turcję oraz na braterstwo Turków i Kurdów.

Decyzja ta zapowiada koniec trwającej blisko pół wieku wojny między Republiką Turcji a PKK. Zapowiada też potężne przewartościowania w świecie kurdyjskim, w samej Turcji, a także w Syrii i Iraku. Nadzieje są ogromne – ogromna jest również niepewność.

ILYAS AKENGIN / AFP / EAST NEWS

Obchody święta Nowruz – perskiego Nowego Roku i pierwszego dnia wiosny w Diyarbakir, nieformalnym centrum kurdyjskim w Turcji. Mężczyzna trzyma portret uwięzionego założyciela PKK Abdullaha Öcalana. Turcja, marzec 2025 r.

PKK: permanentna rewolucja

Partia Pracujących Kurdystanu powstała w 1978 r. – w apogeum burzliwego kryzysu politycznego trawiącego Turcję, który zakończył się w 1980 r. przewrotem wojskowym. Powstała jako jedna z licznych wtedy w świecie radykalnych organizacji marksistowskich, z silnym rysem kurdyjskim. Na czele stanął charyzmatyczny, 30-letni wtedy Abdullah Öcalan, zwany „Apo". Wprawdzie od 1999 r. przebywa on w tureckim więzieniu o zaostrzonym reżimie, ale nadal jest traktowany jako lider partii i ruchu.

Przez kolejne dekady swojego istnienia PKK występowała – i występuje – w różnych rolach, ale zawsze wyrazistych, skrajnie polaryzujących i kontrowersyjnych. Mieniła się więc rzeczniką praw ludności kurdyjskiej, poddanej brutalnej polityce wynaradawiania przez Republikę Turcji. Była samozwańczą przedstawicielką i obrończynią kurdyjskich chłopów, poddanych wszechwładzy urzędników i wojska. A także patronką zagubionych Kurdów migrujących za pracą do miast tureckich czy do Niemiec.

Była zarazem radykalną organizacją zbrojną i rewolucyjną, która od 1984 r. prowadziła otwartą wojnę z Republiką Turcji. Ale nie tylko: prowadziła też brutalną rewolucję społeczną, wymierzoną w „feudalne" elity kurdyjskie czy lojalistów, zbrojnie broniących dobytku i życia.

Gorąca faza konfliktu w Turcji (lata 80. i 90. XX w.) kosztowała życie 40 tys. ludzi – głównie cywilów, ofiar represji zarówno rządowych, jak i wojny rewolucyjnej.

Pod patronatem Moskwy

PKK była typową dla tamtego czasu organizacją terrorystyczną. W początku lat 80. XX w. jej główną bazą był Liban, z czasem Syria, od co najmniej ćwierćwiecza Irak (góry Kandil na granicy z Iranem). W tym okresie PKK współpracowała z Palestyńczykami, Ormianami z organizacji ASALA (w latach 70. i 80. walczyła ona z Turcją), baskijską ETA czy irlandzką IRA. A wszystko to pod patronatem Związku Sowieckiego i jego klientów (zwłaszcza Syrii).

Zamachy przeprowadzano zarówno na terenie Turcji, jak też w miastach europejskich, gdzie celem byli np. tureccy dyplomaci.

Upadek Związku Sowieckiego i koniec zimnej wojny, z czasem skuteczna presja militarna Turcji na Syrię (efektem było aresztowanie „Apo" w Kenii, gdzie się schronił), spowodowały relatywne wyciszenie działalności, kryzys ideowy i reorganizację. PKK dwukrotnie *de iure* samorozwiązywała się (zmieniała nazwę) i wielokrotnie wyrzekała się walki zbrojnej. Pozostawała jednak na zachodnich listach terrorystycznych, oskarżana przy tym o zaangażowanie w przestępczość zorganizowaną (narkotyki, handel, przemyt ludzi).

Do otwartej aktywności terrorystycznej i zbrojnej w Turcji PKK wróciła w 2015 r. – po tym, jak załamała się próba politycznego rozwiązania sporu turecko-kurdyjskiego. Jej ostatni duży zamach miał miejsce w październiku 2024 r. – był to atak na siedzibę tureckiego koncernu zbrojeniowego.

Państwa równoległe

PKK – tj. ona sama lub organizacje z nią związane, programowo i personalnie – była też w stanie tworzyć instytucje parapaństwowe. W samej Turcji to rozbudowana sieć państwa podziemnego z własnym aparatem rewolucyjnej sprawiedliwości czy podatkowym, a także z silnymi powiązaniami z legalnymi partiami politycznymi (zdaniem służb tureckich – powiązaniami organicznymi). Podobny system funkcjonuje w diasporze kurdyjskiej. Z kolei w irackim Kurdystanie PKK zbudowała niezależne parapaństwo z centrum w górach Kandilu.

Jednak największym sukcesem tego środowiska – a dokładnie: Partii Unii Demokratycznej (PYD), powołanej jako syryjskie odgałęzienie PKK – było przejęcie w czasie wojny domowej w Syrii kontroli nad prawie jedną trzecią terytorium kraju i stworzenie tam w 2014 r. Autonomicznej Administracji Północnej i Wschodniej Syrii, z własnymi urzędami, armią, szkołami, gospodarką. Zarządzanymi twardą ręką według wojenno-rewolucyjnych standardów, pod szyldem Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF).

Syryjscy Kurdowie stali się najważniejszym sojusznikiem USA w walce z Państwem Islamskim, kurdyjskie bojowniczki ikoną tej wojny i – na Zachodzie – nadzieją na postępowy Bliski Wschód. Wszelako, kontynuując poniekąd tradycję swego ruchu, tę przyjaźń z USA Kurdowie z Syrii zabezpieczali sojuszem z Rosją, a także współpracą z Iranem i Izraelem.

Sieć szeroko zarzucona

Ale to nie wszystko. Niebagatelnym skutkiem aktywności PKK było stworzenie swego rodzaju platformy instytucjonalnej i programowej, organizującej „sprawę kurdyjską". Platformy rozbudowanej i elastycznej.

Gdy idzie o ideologię, PKK i osobiście sam „Apo" wychodzili od marksizmu o maoistowskiej charakterystyce, przechodząc następnie do konglomeratu demokratycznego konfederalizmu, wolnościowego socjalizmu, progresywizmu ↦

↦ i feminizmu, z silnym rysem laickim i modernizacyjnym. Postępowość była zresztą jedną z podstaw sympatii, jaką Kurdowie cieszą się na Zachodzie.

Jednocześnie PKK była w stanie zbudować nieprzejrzystą sieć organizacji-córek, sympatyków ideowych, sponsorów i klientów, z rozwiniętym arsenałem narzędzi oddziaływania na Kurdów w Turcji i za granicą. Ankarę długo oskarżano o obsesję na tym punkcie – ostatecznie nawet pryncypialnie liberalne Finlandia i Szwecja przyznały, że problem ten lekceważyły (co prawda uczyniły to pod presją, wchodząc do NATO – co zależało też od decyzji Turcji – ale jednak).

Naród bez państwa

Dzieje PKK dają doskonałą perspektywę spojrzenia na szerszy problem kurdyjski.

Liczebność Kurdów na Bliskim Wschodzie zwykło się szacować (wiarygodnych badań nie prowadzi się z powodów politycznych) na 30-40 mln, z czego połowa ma mieszkać w Turcji (stanowiliby więc jedną czwartą jej ludności). Dziś Kurdystan – jak zwykło się nazywać tereny przez nich zamieszkane – jest podzielony przez Turcję, Iran, Irak i Syrię.

Ich historia sięga głęboko w starożytność, ale nigdy nie stworzyli w pełni suwerennego państwa. Najwięcej, na co mogli liczyć, to faktyczna autonomia pogranicza imperiów osmańskiego i perskiego. Wprawdzie po I wojnie światowej Anglia i Francja miały plan utworzenia państwa kurdyjskiego na „trupie" imperium Osmanów, ale on upadł. Powstania kurdyjskich plemion i „królestw" były brutalnie tłumione – przez Turków czy Brytyjczyków.

Sami Kurdowie – uznając się za Kurdów, ale mówiąc różnymi kurdyjskimi dialektami/językami, wyznając różne religie, żyjąc przez wieki w różnych kontekstach politycznych i państwowych – w XX w. zostali poddani szczególnej presji powstających organizmów państwowych i nacjonalizmów (szczególnie efektywnych w przypadku Turcji).

Próby budowy państwa podejmowali Kurdowie iraccy i irańscy: w 1946 r. przy wsparciu Związku Sowieckiego, a kilka dekad później przez poszerzanie faktycznej autonomii w Iraku (dzięki obecności USA). Z tego nurtu wyrasta obecna autonomia kurdyjska w północnym Iraku, rządzona przez „dynastię" Barzanich. Próba ogłoszenia przez nią niepodległości w 2017 r. została zduszona w zarodku przez Irak i Iran, ale ograniczona lokalna autonomia funkcjonuje tam do tej pory.

Lewicowy nacjonalizm

Dla większości (prawdopodobnie dla większości) Kurdów tożsamość etniczna nie stała w konflikcie z przynależnością państwową i równoważona była tożsamością islamską. W przypadku Turcji państwo, będąc w konflikcie z PKK, mogło skutecznie odwoływać się do konserwatyzmu kurdyjskiego, w który wymierzona była rewolucja PKK, do islamu oraz – już w czasach rządów Erdoğana i jego AKP – do ponadnarodowych idei neoosmańskich.

Dopełnieniem tych procesów były migracje do miast oraz procesy asymilacyjne i modernizacyjne – nawet dziś, przy wysokim stopniu autoidentyfikacji kurdyjskiej, większość Kurdów identyfikuje się z państwem tureckim albo samookreśla w kategoriach innych niż etniczna.

I tu zasadza się znaczenie PKK i Öcalana: zbudowali wyrazistą bazę ideową dla nacjonalizmu pankurdyjskiego i atrakcyjną dla wielu wizję nowoczesności (z silnym rysem lewicowym), która to wizja pomagała w promowaniu „sprawy kurdyjskiej" na Zachodzie. Choć PKK zdecydowanie nie reprezentuje większości Kurdów, wypracowała najbardziej zaawansowany model kurdyjskości, czytelny dla Zachodu – twarzą Kurdystanu są tu dziś syryjscy Kurdowie (i Kurdyjki!) oraz lewicowo-liberalna opozycja kurdyjska w Turcji.

Egzystencjalny problem Turcji

Od momentu powołania Republiki Turcji (1924 r.), Kurdowie byli dla niej problemem.

Postimperialna Republika miała być państwem scentralizowanym i spójnym, z silnym rysem nacjonalistycznym, nowoczesnym i odpornym. Powracające powstania kurdyjskie były problemem tyleż narodowościowym, co paroksyzmem archaicznego, feudalnego, religianckiego świata, z którym Republika walczyła, a także były postrzegane jako „dywersja" europejskich imperializmów.

Natomiast PKK, powstała w półwiecze istnienia Republiki Turcji, niosła ze sobą nowy poziom zagrożeń: nowoczesny nacjonalizm kurdyjski, rewolucyjny program (w społeczeństwie targanym konfliktami) i ciężki zimnowojenny oddech Moskwy. Dla rządzonej *de facto* przez armię oblężonej twierdzy, jaką była Turcja, reakcja mogła być tylko jedna.

Fundamentalną – obok końca zimnej wojny – zmianą w relacjach turecko-kurdyjskich było dojście do władzy Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) na początku XXI stulecia. AKP była budowana w opozycji do nacjonalistycznych elit i armii, a konserwatywni i religijni Kurdowie byli potencjalnym sojusznikiem.

W tym kontekście państwo rządzone przez AKP mogło przywracać Kurdom podstawowe prawa, a proces pokojowy z osłabioną PKK był możliwy – i taką próbę podjęto.

Brutalna strategia

O fiasku tego procesu pokojowego zadecydowały – obok obopólnej nieufności i tryumfalizmu – umocnienie się PYD w Syrii na fali powstrzymania Państwa Islamskiego (a z czasem także poszerzanie tam stanu posiadania), logika wewnątrzpolityczna (dobry wynik wyborczy partii kurdyjskiej, który „wepchnął" AKP w sojusz z partią nacjonalistyczną), wreszcie seria ataków terrorystycznych, rewolt w miastach na południowym wschodzie i brutalnej pacyfikacji przez władze Turcji.

Dopełnieniem tureckich frustracji były szkolenie, dozbrajanie i ochrona syryjskich Kurdów przez USA i Rosję. Do Ankary wróciły najczarniejsze koszmary i odżyły sprawdzone schematy. Turcja przyjęła więc długofalową strategię rozbijana syryjskiego parapaństwa w Syrii (przeprowadziła cztery większe ofensywy) oraz PKK w Iraku (naloty i operacje specjalne).

Elementem tej strategii stało się też brutalne dyscyplinowanie opozycji – uwięzienie działaczy oskarżanych o związki z PKK (według szerokiej tu interpretacji). W tym uwięzienie Selahatinna Demirtaşa, charyzmatycznego szefa kurdyjskiej Demokratycznej Partii Ludów HDP, zasiadającej w parlamencie.

Sygnały o testowaniu możliwości dialogu z Kurdami pojawiły się latem 2024 r. Przy czym, rzecz charakterystyczna, PKK nie miała tu być partnerem w procesie – PKK miała złożyć broń.

Dlaczego teraz?

Jak doszło do decyzji o samorozwiązaniu PKK, można tylko spekulować. Wezwanie do takiego kroku ze strony Öcalana,

GUENAY ULUTUNCOK / AKG IMAGES / FORUM

Bojowniczki PKK w irackiej części Kurdystanu, 1991 r.

przebywającego od 26 lat w więzieniu, jest ważne – jego status w PKK jest niemal sakralny – ale na pewno niewystarczające.

Dużo ważniejsza jest niewątpliwie zła koniunktura międzynarodowa: w grudniu 2024 r. opozycja, wspierana przez Turcję, przejęła władzę w Syrii. Syryjscy Kurdowie i SDF są pod silną presją militarną i polityczną Turcji i jej klientów. Eroduje zaplecze (m.in. buntują się arabskie oddziały w SDF i ludność cywilna na terenach kontrolowanych przez PYD).

Dalej: Donald Trump wydaje się dziś bardziej potrzebować Turcji niż Kurdów w swoich bliskowschodnich rozgrywkach, a Rosja wyparowała jako sojusznik. W Iraku skutki zdają się przynosić wieloletnie operacje wojskowe Turcji i zaangażowanie Bagdadu w likwidację PKK. Gwałtowne pogorszenie sytuacji militarnej i politycznej zdaje się podpowiadać irackim Kurdom konieczność rewizji dotychczasowego sposobu działania.

Kurdyjskie przesilenie

Można spekulować, że kolejnym kluczowym momentem są nastroje wśród Kurdów w Turcji. Choć Öcalanowi i PKK udało się sformatować „kurdyjskość", jeśli nie dla większości, to na pewno dla najbardziej świadomej i aktywnej części społeczności tureckich Kurdów, to nic nie wskazuje, żeby poparciem i zrozumieniem cieszyła się dziś tam walka zbrojna.

Istnieją ponadto poważne przesłanki, że do przesilenia dochodzi także w najważniejszej partii kurdyjskiej w Turcji, tj. Partii Równości i Demokracji Ludów (DEM; to sukcesorka HDP). Zdobyła ona blisko 9 proc. w wyborach w 2023 r., ale już tylko 5,8 proc. w wyborach lokalnych w 2024 r. Podobnie jak niegdyś HDP, znajduje się dziś w klinczu między starymi bojowcami z PKK a obozem AKP.

Ostry kryzys i polaryzacja, wywołane aresztowaniem prezydenta Stambułu Ekrema İmamoğlu, faktycznego lidera opozycji, grożą jej dalszym uprzedmiotowieniem lub odpływem elektoratu. Tymczasem przestrzeń, jaką dla Partii Równości i Demokracji Ludów stworzył obóz rządzący – bo to z nią, a nie z PKK prowadzone były bezpośrednie rozmowy – oraz kryzys w PKK są szansą na jej upodmiotowienie.

Z perspektywy Erdoğana

Z kolei ze strony władz Turcji obecna sytuacja wydaje się być ukoronowaniem wieloletnich operacji militarnych, w tym sukcesu, jakim było przejęcie władzy w Syrii przez swoich podopiecznych. A szerzej: konsumpcją konsekwentnego wzrostu pozycji międzynarodowej Turcji – zarówno wobec Damaszku, Bagdadu i osaczonego Teheranu, jak też wobec USA. Dążenie do rozładowania „kwestii kurdyjskiej" na poziomie społeczno-politycznym wydaje się być stałym celem Erdoğana i AKP. Prezydent Turcji może dziś realizować ten cel z pozycji siły.

Wreszcie dochodzi czynnik bieżący: doprowadzając po pół wieku do pokonania PKK, obóz Erdoğana dostaje potężny argument w polityce wewnętrznej; inicjując nowe otwarcie z Kurdami i DEM, ma szansę odciągnąć Kurdów od swojej opozycji (ta skądinąd jest tradycyjnie antykurdyjska) – i to w chwili, gdy w Turcji trwają protesty po aresztowaniu İmamoğlu i możliwe są przyspieszone wybory. W dalszej perspektywie Erdoğan liczy też zapewne na poparcie Kurdów przy uchwalaniu nowej konstytucji.

Ostrożne nadzieje

Otwartą kwestią pozostaje, jak będą wyglądać samorozwiązanie i dalsza postawa Turcji. Teoretycznie broń powinna być zdawana władzom irackim i syryjskim, co nadzorować ma turecki wywiad. Dyskusyjna pozostaje kwestia SDF/PYD w Syrii, które nie uznają się za część PKK (możliwe są pozorowane samorozwiązanie lub „bunt" lokalnych oddziałów). Z kolei Kurdowie w Iraku traktują uwolnienie Öcalana jako warunek wstępny.

Trwa gra. Turcja jest przekonana, że może dyktować warunki PKK (w jej odsłonie militarnej i politycznej poza granicami Turcji) z pozycji siły, a czas gra na jej korzyść. Wciąż wszystkie opcje są na stole.

W samej Turcji fundamentalne znaczenie ma teraz pytanie, w jakim zakresie nastąpi rewizja polityki państwa wobec Kurdów i DEM. Intencje władz będą oceniane na podstawie gotowości do amnestii lub łagodzenia wyroków (dla „Apo", Demirtaşa i innych). W szerszym planie konieczne byłoby wsparcie dla kulturalnej infrastruktury kurdyjskiej (szkoły, media).

Z kolei po stronie Partii Równości i Demokracji Ludów (albo jej części, albo elektoratu) należałoby oczekiwać twardego odcięcia się od związków z PKK (i z tym, co po niej zostanie) i zaniechania udziału w obecnym sporze władz z nacjonalistyczną opozycją. A szerzej – zaangażowania w przebudowę Turcji według wizji Erdoğana. Wyzwanie jest karkołomne, różnice ideowe i brak zaufania ogromne, ale ostrożne nadzieje i gotowość do podjęcia ryzyka są po obu stronach.

Zarówno dla Kurdów, jak i dla Turcji oraz jej sąsiadów pewna epoka się kończy. Nowe nie jest jasne. Ale przecież zwykle tak jest w momentach zwrotnych.

© KRZYSZTOF STRACHOTA

Autor jest koordynatorem projektu „Środkowy Wschód" w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie i wykładowcą w Studium Europy Wschodniej UW. Stale współpracuje z „TP".

Sposób na Trumpa

JOHN BOLTON, B. DORADCA DS. BEZPIECZEŃSTWA USA:

Rozumiem, że Europejczycy są nim sfrustrowani, ale Trump nie będzie rządzić wiecznie. Powinniście zagryźć zęby i minimalizować szkody, jakich on dokonuje.

MARTA ZDZIEBORSKA: Po tym, jak 10 maja europejscy liderzy postawili Rosji ultimatum „zawieszenie broni albo sankcje", Putin zaproponował rozmowy pokojowe z Ukrainą w Stambule. Zrobił to, by przypodobać się Trumpowi?

JOHN BOLTON: Właśnie tym się kierował, proponując to spotkanie. Jest jasne, że Putin nie chce zawieszenia broni. Myślę, że jest wręcz święcie przekonany, że obecne ruchy na froncie działają na korzyść Rosji. Jednocześnie rozumie, że nie może nadwyrężyć przychylności Trumpa, bo już i tak wiele ugrał.

Co mianowicie?

Trump i wiceprezydent J.D. Vance dawali już sygnały, że nie widzą szans na powrót Ukrainy do jej wcześniejszych granic i wykluczają jej członkostwo w NATO. Proponując bezpośrednie rozmowy z Ukrainą, Putin chciał przerzucić odpowiedzialność na Zełenskiego. On chce, by rozmowy pokojowe utknęły w martwym punkcie, ale bez obwiniania za to Rosji, co mogłoby dać Ameryce powód do nałożenia sankcji. Putin być może wyczuł, że cierpliwość Trumpa się kończy.

Gdy Putin nie zjawił się w Turcji na rozmowach, tylko wysłał swoich ludzi, Trump wypalił: „Dlaczego on miałby tam jechać, skoro ja nie jadę?". Co musiałby zrobić Kreml, by prezydent USA uznał, że miara się przebrała i nałożył nowe sankcje?

To musiałoby być coś naprawdę poważnego. Proszę pamiętać, że Trump postrzega stosunki międzynarodowe przez pryzmat osobistych relacji. On myśli, że Putin jest jego przyjacielem. To z Zełenskim ma problemy.

Spójrzmy na przeprowadzoną 19 maja dwugodzinną rozmowę Trumpa z Putinem. Choć nic nie dała i Putin dalej obstaje przy swoich maksymalnych żądaniach, Trump nie zamierza naciskać na niego mocniej. Przynajmniej tak twierdzą europejscy politycy, którzy rozmawiali z prezydentem USA.

Myślę, że Trump zaczyna tracić zainteresowanie rozmowami pokojowymi. Skoro w jego oczach ani Zełenski, ani Putin nie chcą współpracować, to on woli skupić się na innych sprawach. Trump chciałby, żeby kwestia wojny w Ukrainie zniknęła i nie musiał się nią martwić. Często powtarzał, że to wojna Bidena, i że nigdy by do niej nie doszło, gdyby to on, Trump, wygrał wybory prezydenckie w 2020 r.

Mówimy o słabości Trumpa do Putina, a być może chodzi tu o pieniądze. Według oficjela w Białym Domu – anonimowego rozmówcy „New York Timesa" – prezydent nie chce nałożyć sankcji, bo to mogłoby kiedyś utrudnić robienie interesów z Rosją.

Być może o to chodzi, choć moim zdaniem Trump po prostu traci zainteresowanie rozmowami pokojowymi, przynajmniej na ten moment. Pozostaje teraz podstawowe pytanie, czy jeśli Trump odpuści sobie rolę mediatora w negocjacjach, to czy podtrzyma pomoc wojskową dla Ukrainy? Z drugiej strony, Putin jako były oficer KGB ma świadomość, że nie może być niczego pewien. Trump jest nieprzewidywalny. Nigdy nie wiesz, kiedy uzna, że ktoś przeholował.

Czy sygnałem, że jego cierpliwość się kończy, mogą być doniesienia, że USA dały Niemcom zielone światło na przekazanie Ukrainie rakiet do systemów Patriot i pocisków artyleryjskich dalekiego zasięgu? Potrzeba było na to zgody, bo to sprzęt produkcji amerykańskiej.

Nie sądzę, aby ta zgoda oznaczała, iż właśnie zmienia się strategia Waszyngtonu. Po awanturze w Białym Domu między Trumpem w Zełenskim Amerykanie mogli zwlekać z autoryzacją tego transferu, by mieć dodatkową kartę przetargową w negocjacjach z Ukrainą dotyczących umowy o surowcach. Inna sprawa, że Putin pewnie obawia się, iż Trump nagle mógłby zmienić strategię i zgodzić się na to, by pomoc dla Ukrainy została utrzymana na tym samym poziomie co w 2024 r. To byłby dla Rosji duży problem.

Czy ta umowa, mająca ułatwić firmom z USA wydobycie surowców na Ukrainie, sprawi, że Trumpowi zwyczajnie będzie się jednak opłacało dozbrajać Kijów?

Umowa przemawia na korzyść Ukraińców, ale to nie jest gwarancja podtrzymania przez Trumpa pomocy wojskowej. Wydobycie surowców to długotrwała inwestycja, mocno obarczona ryzykiem, zwłaszcza jeśli złoża są blisko terenów kontrolowanych przez Rosjan. Ciekawe, czy znajdą się zagraniczni inwestorzy gotowi do podjęcia działań w takich warunkach. To długa droga, zanim umowa zacznie przynosić korzyści ekonomiczne dla USA.

Ponoć gdy europejscy przywódcy postawili Putinowi ultimatum „zawieszenie broni albo sankcje", Trump obiecał, że Ameryka włączy się w monitorowanie rozejmu, jeśli do niego dojdzie. Pan w to wierzy?

To kolejna mglista obietnica. Nie jest dla mnie jasne, na ile Trump zezwoliłby np. na przekazywanie danych wywiadowczych służących monitorowaniu rozejmu. Łatwo coś obiecać, trudniej z realizacją.

Może Trump dokona kolejnego zwrotu w sprawie Ukrainy, gdy poczuje, że politycznie traci na łagodnym kursie wobec Kremla?

Być może. We wczesnych latach 50. XX w. Amerykanie dyskutowali, jak to się stało, że doszło do przejęcia władzy w Chinach przez komunistów i jak Stany mogły do tego dopuścić. Trump z pewnością nie chce być kiedyś oskarżany o to, że za

CHIP SOMODEVILLA / GETTY IMAGES

Donald Trump prezentuje plany budowy systemu obronnego „Złota kopuła". Waszyngton, 20 maja 2025 r.

jego sprawą Ukraina trafiła w ręce Rosji. Co też, mam nadzieję, nigdy nie nastąpi.

Ponadto problemem nie są tu tylko obecne działania Kremla, ale to, co Rosjanie zrobią np. pięć lat po zawieszeniu broni z Ukrainą, gdy odbudują swoją armię. Jeśli w porozumieniu pokojowym między Kijowem a Rosją zabraknie skutecznych gwarancji bezpieczeństwa, Rosja ponowi atak na Ukrainę.

Spytam o coś, co mocno niepokoi Polaków: najpierw były nieoficjalne doniesienia, że Pentagon rozważa wycofanie 10 tys. amerykańskich żołnierzy z Europy Wschodniej, a teraz ambasador USA przy NATO przebąkuje, że co prawda decyzji nie podjęto, ale rozmowy z sojusznikami na temat redukcji mogą ruszyć w najbliższych miesiącach. Co Pan słyszy od ludzi w Pentagonie? To realny scenariusz?

W myśleniu Trumpa i jego doradców jakiekolwiek przetasowania amerykańskich wojsk w Europie byłyby pierwszym krokiem do zmniejszenia zaangażowania USA w NATO. To byłby duży błąd Trumpa, ukłon w stronę Putina, który przekonuje, że redukcja wojsk NATO zwiększyłaby bezpieczeństwo w Europie Wschodniej. Być może Trump rozumie, dlaczego taka rosyjska narracja jest nie do zaakceptowania. Za wcześnie jednak, by ocenić, jakie mogą być tu posunięcia jego administracji.

John R. Deni, profesor z US Army War College, na łamach „Foreign Policy" stawia tezę, że wycofanie części wojsk USA z Europy jest nieuniknione.

Nie zgadzam się. Trump oczywiście może mieć to w założeniach, ale pamiętajmy, że za pierwszej kadencji chciał całkowicie wycofać amerykańskie wojska z Syrii, jednak ostatecznie zrewidował swoje plany, gdy mu uświadomiono, że to zły pomysł. Do końca prezydentury zostały jeszcze niecałe 44 miesiące. Jeśli zdołamy odpowiednio długo odwracać jego uwagę od sprawy wycofania wojsk USA z Europy, być może uda się tego uniknąć.

Tyle że ważną funkcję podsekretarza ds. polityki pełni dziś w Pentagonie Elbridge Colby. Od lat powtarza on, że najważniejsza jest rywalizacja USA z Chinami i dlatego trzeba zredukować amerykańskie wojska w Europie.

Owszem, Colby buduje swoje wpływy w Pentagonie. Z jego argumentami mogą się zgadzać wiceprezydent Vance i szefowa Wywiadu Narodowego Tulsi Gabbard, ale wielu Republikanów jest innego zdania. Założenie, że możemy sobie odpuścić Europę i Bliski Wschód, bo najważniejsza dla nas jest Azja Wschodnia, jest szkodliwe dla bezpieczeństwa Stanów.

Przypomina o tym właśnie wojna w Ukrainie i pomoc Pekinu dla Rosji. Chiny kupują rosyjski gaz i ropę, a także pomagają Kremlowi obchodzić sankcje za pośrednictwem chińskiego systemu finansowego. Założenie, że najważniejszym problemem na świecie jest potencjalny atak Chin na Tajwan albo sytuacja na Morzu Południowochińskim, otwiera Pekinowi furtkę do wzmacniania wpływów w innych częściach globu. Nie trzeba kochać Europy Wschodniej, by wiedzieć, że w interesie Amerykanów jest jej bezpieczeństwo. ↦

Czyli chce Pan powiedzieć, że Elbridge Colby nie jest tak bardzo wpływowy w otoczeniu Trumpa?

Tego nie wiem. Ale wiem, że trudno dostrzec kogoś innego wpływowego w otoczeniu Trumpa niż sam Trump. On rzadko pyta innych o radę, a jeśli już, to po to, by utwierdzili go w przekonaniu, że ma rację, i że się z nim zgadzają.

Pan zgadza się z Trumpem w jednej kwestii: pomyśle wykupienia Grenlandii od Danii. Dlaczego?

Bo Grenlandia jest dziś dla Amerykanów ważna strategicznie jeszcze bardziej niż za czasów zimnej wojny. Z niepokojem obserwujemy, jak Rosja i Chiny rozwijają swoją obecność w rejonie Oceanu Arktycznego. Ponadto, wraz z zanikiem lodu na Grenlandii, zwiększyły się możliwości wydobycia surowców.

Trump nie jest pierwszym w wysuwaniu pomysłu kupienia tej wyspy.

Taką próbę podjął już w 1868 r. sekretarz stanu William Seward – ten sam, który zabiegał o odkupienie Alaski od Rosji. Po raz kolejny Dania odmówiła nam sprzedaży Grenlandii przed I wojną światową. Udało się tylko odkupić duńskie Indie Zachodnie, czyli dzisiejsze Wyspy Dziewicze, mające strategiczne położenie na trasie do Kanału Panamskiego. W 1946 r. kolejną próbę podjął prezydent Harry Truman, oferując Danii 100 mln dolarów.

Jeśli spojrzeć na mapę świata, to z Nuuk, stolicy Grenlandii, bliżej jest do Waszyngtonu niż do Kopenhagi. Gdy pod koniec 2018 r. Trump poruszył ze mną temat zakupu Grenlandii, zleciłem mojemu zespołowi w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, by zrobił ostrożny rekonesans.

Słucham z ciekawością.

Latem 2019 r. miałem w planach podróż do Kopenhagi, by spotkać się z premier Danii Mette Frederiksen i wybadać sprawę. Wszystko przekreślił przeciek do mediów. Gdy napisano, że Trump jest zainteresowany kupnem Grenlandii, grenlandzki dziennik zapytał Frederiksen, co o tym myśli. Odpowiedziała, że to absurd. Zapytany wtedy o komentarz przez jednego z reporterów w Waszyngtonie, Trump nazwał duńską premier „wstrętną". Potem była tylko równia pochyła. Do Kopenhagi już nie pojechałem.

ARCHIWUM PRYWATNE

JOHN BOLTON (ur. 1948), z wykształcenia prawnik, był doradcą ds. bezpieczeństwa za pierwszej prezydentury Donalda Trumpa w latach 2018-19. Wcześniej pracował w administracji innych republikańskich prezydentów: Ronalda Reagana, George'a H.W. Busha i jego syna George'a W. Busha. W latach 2005-06 był ambasadorem przy ONZ, a w latach 2001-05 podsekretarzem stanu ds. kontroli zbrojeń i bezpieczeństwa międzynarodowego.

Wróćmy na europejski kontynent. Czy Trump byłby gotowy zerwać z tradycją, zgodnie z którą głównodowodzącym połączonych sił zbrojnych NATO w Europie jest amerykański generał? Latem kończy się służba pełniącego tę funkcję gen. Christophera Cavoliego, a jeszcze w marcu, według ustaleń NBC News, Pentagon rozważał rezygnację z dowodzenia siłami NATO. Mamy koniec maja i wciąż nie ma oficjalnych informacji o potencjalnym następcy Cavoliego.

Myślę, że doradcy odradzaliby Trumpowi zrezygnowanie z wiodącej roli Stanów przy dowodzeniu siłami NATO. To byłby niewybaczalny błąd, w zasadzie pośredni ruch do wycofania Stanów z Sojuszu. A wciąż martwi mnie, że Trump mógłby potencjalnie być do tego zdolny. Zrezygnowanie przez USA z dowodzenia siłami NATO w Europie mogłoby doprowadzić do chaosu. Europejczycy zaczęliby debatować, kto miałby objąć tę funkcję, co niosłoby ryzyko waśni na podobieństwo tych w Unii Europejskiej.

Dlaczego według Pana błędem jest mówienie przez przywódców Francji i Niemiec o potrzebie strategicznego uniezależnienia się od Stanów?

Bo takie wypowiedzi mogą tylko zachęcić Trumpa do wycofania Ameryki z NATO. To fatalne, gdy szefowa unijnej dyplomacji Kaja Kallas twierdzi, że „wolny świat potrzebuje nowego lidera" (Kallas napisała to na platformie X po starciu Trumpa i Vance'a z Zełenskim – red.). Słysząc takie głosy, Trump może powiedzieć: „Chcecie sami się bronić? Proszę bardzo, w takim razie wycofuję wojska z Europy, nie będziemy wam nic narzucać".

Rozumiem, że europejscy liderzy są sfrustrowani Trumpem, ale on nie będzie prezydentem przez całą wieczność. Europejczycy powinni zagryźć zęby i robić wszystko, by zminimalizować szkody dokonywane przez Trumpa. Tak, aby po jego odejściu można było dość szybko naprawić straty.

Co konkretnie doradzałby Pan europejskim przywódcom?

Kraje NATO powinny skupić się na zwiększaniu wydatków na obronność. Polska wybija się na tle innych, podczas gdy niektóre kraje nie dobijają nawet do poziomu 2 proc. PKB. Tymczasem Trump mówi już o 5 proc., choć moim zdaniem zadowalającym pułapem byłoby 3-4 proc. Wzmacnianie strategiczne Europy nie powinno wieść przez Unię Europejską, ale przez decyzje poszczególnych krajów o zwiększeniu ich budżetów na obronność.

Uważam, że podejmowanie zbyt pochopnych decyzji w Europie na podstawie aberracji, jaką jest prezydentura Trumpa, może naruszyć relacje transatlantyckie w równym stopniu, co same działania Białego Domu. Jeszcze raz przypomnę: Trumpowi zostały niecałe 44 miesiące rządów. W skali historii to mrugnięcie okiem.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

VADIM GHIRDA / AP PHOTO / EAST NEWS

Ceremonia zaprzysiężenia Nicușora Dana na prezydenta Rumunii. Bukareszt, 22 maja 2025 r.

Cienie Rzymian i Daków

PIOTR OLEKSY

W wyborach prezydenta Rumunii nie chodziło o osobowości kandydatów, tylko o godność, wartości i mitologię.

Rumuńscy nacjonaliści mają co najmniej dwóch charyzmatycznych liderów: ekscentrycznego i eleganckiego tiktokera Călina Georgescu oraz wyrywnego trybuna ludowego George Simiona. W pochodzie po władzę zatrzymał ich jednak 55-letni matematyk, któremu przez lata przypisywano wszystkie cechy poza charyzmą.

Zwycięstwo Nicușora Dana zostało odebrane w Europie przede wszystkim jako zwycięstwo liberalnej demokracji nad podsycanym przez Rosję suwerenizmem. Tej interpretacji sprzyjały obrazki z wieczoru wyborczego: flagi UE na ulicach Bukaresztu, skandowane hasła o europejskim wyborze. Sami Rumuni widzą w rezultacie wyborów jednak coś więcej: szansę na odnowę państwa i odsunięcie starej elity od władzy.

Interesy elit

W wieczór wyborczy wśród rumuńskich użytkowników sieci społecznościowych popularność zdobył jeszcze inny obrazek – zaciemniona siedziba Partii Socjaldemokratycznej (PSD). To postkomunistyczne ugrupowanie miało swego kandydata w drugiej rundzie wszystkich wyborów prezydenckich po 1989 r. Tym razem ich człowiek nie wystartował w wyścigu, a po ogłoszeniu wyników pierwszej tury ustąpił z funkcji premiera.

Po obaleniu dyktatury Nicolae Ceaușescu dynamikę na rumuńskiej scenie politycznej określała rywalizacja między postkomunistami, którzy szybko przybrali szyld socjaldemokracji, oraz centroprawicową Partią Narodowo-Liberalną (PNL). Swoistym wyłomem w tym duopolu była na przykład prezydentura prawicowego solisty Traiana Băsescu, jednak na dłuższą metę to te dwie partie, obrotowo wspierane przez Demokratyczny Związek Węgrów w Rumunii (UDMR), wymieniały się władzą.

Formalna rywalizacja, która jednocześnie miała charakter współdziałania w obronie interesów elity, zakończyła się w 2021 r., gdy pod naciskiem ugrupowań antysystemowych partie te zawarły koalicję.

Anulowane wybory

W pierwszej turze wyborów prezydenta w listopadzie 2024 r. kandydaci PSD i PNL znaleźli się jednak odpowiednio na trzecim i piątym miejscu. Wybory anulowano, gdyż Najwyższa Rada Bezpieczeństwa Krajowego dopatrzyła się nieprawidłowości i ingerencji siły zewnętrznej w trakcie kampanii wyborczej. Następnie Centralna Komisja Wyborcza i Sąd Konstytucyjny uniemożliwiły start zwycięzcy – Călinowi Georgescu – w powtórzonych wyborach.

Tym razem koalicja wystawiła wspólnego kandydata, który w pierwszej turze zajął dopiero trzecie miejsce. Jak widać, kontrowersyjne decyzje ostatnich miesięcy tylko wzmogły przeświadczenie większości społeczeństwa, że państwo zostało zawłaszczone przez największe ↦

partie, służby i elitę wymiaru sprawiedliwości.

Trzecia część duszy

Po wejściu do UE w 2007 r. Rumunia mogła pochwalić się imponującymi wskaźnikami rozwoju. Jednocześnie jego nierównomierny charakter oraz monopolizowanie dostępu do władzy i prestiżu przez wąską elitę zaczęło uwierać kolejne grupy obywateli. Gospodarka rosła, rozwijała się infrastruktura, jednakże równolegle instytucje państwa oraz splot polityki i biznesu były kojarzone przede wszystkim z korupcją, nepotyzmem i klientelizmem.

Zarówno Nicușor Dan, jak i George Simion, którzy zmierzyli się w drugiej turze majowych wyborów, zdobyli popularność na fali rosnącej od lat frustracji społecznej. Tłumacząc jej charakter, warto przywołać myśl Francisa Fukuyamy, który opisując współczesne emocje polityczne, przywołał Platońskie pojęcie *thymos* – trzeciej części duszy, która jest siedliskiem zarówno gniewu, jak i dumy. Amerykański politolog zwraca uwagę, że ludzie pragną dla siebie nie tylko dóbr, takich jak luksusowe auta lub kolejne działki narkotyków, ale łakną także pozytywnych ocen swojej wartości lub godności.

Dostęp do dóbr luksusowych był w Rumunii coraz mniejszym problemem, lecz właśnie godność – nieustannie naruszana przez tradycyjne elity – stała się centralnym punktem emocji społecznych. Dan i Simion postawili się w pozycji obrońców rumuńskiego *thymos*. Przy czym radykalnie różnili się w określaniu podmiotów, których godność została naruszona i w obronie których występują.

Korupcja zabija

Dla nowego prezydenta Rumunii momentem przełomowym w karierze politycznej i życiu osobistym była tragedia w trakcie koncertu w bukaresztańskim klubie Colectiv w 2015 r., gdy w efekcie pożaru zginęły 64 osoby, a ponad 170 zostało rannych [okazało się potem, że wewnątrz klubu brakowało odpowiednich zabezpieczeń, pokaz pirotechniczny wykonano bez zezwolenia, a lokalne władze zaniedbywały prowadzenia kontroli – red.]. Mieszkańcy dużych miast wyszli na ulice pod hasłem „Korupcja zabija!". Pojawiło się powszechne przekonanie, że przyczyną tragedii były wady systemu społeczno-politycznego, opartego na korupcji.

Ostrze krytyki wymierzone było wtedy przede wszystkim w rządzącą Partię Socjaldemokratyczną (PSD), co doprowadziło do dymisji rządu. Na fali tego ruchu społecznego powstała partia Związek Zbawienia Rumunii (USR), na której czele stanął właśnie Nicușor Dan – znany już działacz miejski w Bukareszcie, walczący z korupcją i patologicznymi praktykami deweloperskimi.

Praworządność

W 2016 r. USR wszedł do parlamentu, uzyskując 16 proc. poparcia w wyborach. Rok później Dan ustąpił z funkcji przewodniczącego partii, jednak w oczach większości społeczeństwa pozostał jednym z liderów ruchu politycznego o charakterze antykorupcyjnym, antyelitarnym, a zarazem proeuropejskim. W 2020 r. z poparciem USR wygrał wybory na burmistrza Bukaresztu.

Przez lata zarzucano mu nazbyt inteligencki ton i swoistą apatyczność, twierdząc przy tym, że nigdy nie będzie w stanie wyjść poza wielkomiejski elektorat. Niemniej Dan pozostał wierny swemu pryncypialnemu stylowi uprawiania polityki, w której centrum stawiał przede wszystkim wspólnotę obywateli. Sposób na obronę obywatelskiego *thymos* widział zaś w trosce o praworządność i prawa człowieka oraz w przywróceniu mechanizmów kontroli społecznej nad instytucjami państwowymi.

Skąd się wziął George Simion

Działalność polityczna George Simiona od początku wyrastała natomiast z tradycji rumuńskiego nacjonalizmu. Początkowo skupiał się na idei zjednoczenia Rumunii i Mołdawii oraz walce o prawa Rumunów mieszkających w Ukrainie. Przyniosło mu to zresztą zakazy wjazdu na terytoria obu sąsiednich państw.

Odwoływał się – zwłaszcza w wymiarze symbolicznym i wizualnym – do dziedzictwa ruchów nacjonalistycznych i faszystowskich z lat 30. i 40. XX w., czyli Legionów Michała Anioła i Żelaznej Gwardii. Z czasem zawarł sojusz ze środowiskiem konserwatywno-chrześcijańskim, blisko związanym z Rumuńską Cerkwią Prawosławną, które występowało przeciw legalizacji małżeństw jednopłciowych. Wspólnie, w 2019 r., stworzyli partię Związek Jedności Rumunów (AUR).

Wydawało się, że ugrupowanie będzie funkcjonować na marginesie życia politycznego. AUR wykorzystał jednak szansę, którą przyniosła pandemia koronawirusa. Jako jedyni podnieśli otwarty sprzeciw wobec pandemicznych obostrzeń, co przyniosło im ogólnokrajową rozpoznawalność. W 2020 r. AUR wszedł do parlamentu, zdobywając 9 proc. głosów.

Przywiązanie do etniczności

Simion i jego partia przywołały narrację, według której działalność elit uderza w godność i wartości narodu rumuńskiego. Przyczyny frustracji Rumunów powiązano z relacjami międzynarodowymi,

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 648/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Mioduszewskim, zmarłym w dniu 22 listopada 2017 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy Pragi-Północ w Warszawie pod sygn. akt VII Ns 469/22 toczy się postępowanie z wniosku BEST III Niestandaryzowany Fundusz Inwestycyjny Zamknięty Wierzytelności w likwidacji z siedzibą w Gdyni o stwierdzenie nabycia spadku po Joannie Kaczyńskiej, zmarłej 7 lutego 2022 roku w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ul. Odkrytej 44B/6.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do ww. Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

wskazując współwinnych sytuacji również wśród liberalnych elit europejskich.

Broniąc *thymos* narodu, AUR domagał się przywrócenia nadrzędnej roli tradycyjnych wartości w życiu publicznym oraz ograniczenia międzynarodowych współzależności, przede wszystkim ekonomicznych i kulturowych. Przywiązanie do etniczności pobudziło zaś wrogość wobec mniejszości narodowych: Romów, Węgrów oraz Żydów.

Mityczni starożytni antenaci

Podobny spór – między obrońcami godności obywatelskiej i narodowej – można znaleźć w wielu innych państwach Europy. Przypadek Rumunii jest jednak wyjątkowy, gdyż oba nurty były reprezentowane przez siły opozycyjne wobec obozu władzy. A co ciekawe, w tym przypadku spór ten wpisuje się zarówno w politykę międzynarodową, jak i krajową mitologię polityczną.

Ruch narodowy, który w XIX w. zjednoczył mieszkańców księstw dunajskich, rozwinął się wokół idei rzymskiego pochodzenia Rumunów. Następnie, w kontrze do niego, rozwinęła się koncepcja wywodząca ich od Daków, czyli miejscowego ludu podbitego przez Rzymian. Z czasem oba nurty łączono, w różnym stopniu podkreślając znaczenie dwóch żywiołów kulturowych.

W okresie międzywojennym, w oparciu o te dwa mity o pochodzeniu narodu, zbudowano odrębne wizje dotyczące modelu rozwojowego państwa oraz jego miejsca w Europie. Mit rzymski zaowocował ideą „bastionu zachodniej cywilizacji" czy też „łacińskiej wyspy w morzu Słowian i Madziarów". Nakazywała ona czerpać wzorce z Europy Zachodniej.

Z mitu dackiego zrodziła się natomiast idea autochtoniczna, podkreślająca unikatowość narodu rumuńskiego. Wzorce dla modelu rozwojowego widziano przede wszystkim w kulturze ludowej i prawosławiu, nawołując również do politycznego i gospodarczego izolacjonizmu.

Łacińska wyspa

Komuniści, rządzący Rumunią po 1945 r., czerpali przede wszystkim z idei autochtonicznej, jednak Nicolae Ceaușescu, w miarę jak poluźniały się jego relacje z ZSRR, umiejętnie włączał również mit rzymski. W latach 90. XX w. w elicie politycznej pojawił się nowy konsensus. Mit „łacińskiej wyspy" przez następne dekady określał politykę zagraniczną, której celem było umacnianie pozycji w świecie zachodnim, oraz tworzył ramy modelu rozwojowego.

Obaj kandydaci, którzy zmierzyli się w drugiej turze wyborów, zdobyli **popularność na fali rosnącej od lat frustracji społecznej.**

Jak pokazuje popularność współczesnych nacjonalistów, którzy garściami czerpią z idei autochtonicznej, klasa polityczna zdążyła zdyskredytować mit „łacińskiej wyspy" w oczach wielu Rumunów. Na tym polegało zasadnicze wyzwanie, przed którym stanął Nicușor Dan – krytykując tradycyjną elitę, odwoływał się do wartości i idei, które te elita skompromitowała. Musiał więc przekonać wyborców, by dali tej opowieści jeszcze jedną szansę.

Pułapka systemowa

Udało się, przede wszystkim dlatego, że głosować poszły rzesze ludzi, którzy w ostatnich latach wzięli całkowity rozwód z polityką. Frekwencja wyniosła prawie 65 proc. Był to najlepszy rezultat od 2000 r. Okazało się, że większość obywateli postrzega narodowo-autochtoniczną politykę Simiona jako poważne zagrożenie dla ładu społecznego, a jego wizja relacji z europejskim sąsiedztwem jest daleka od ich wartości i ambicji.

Trudno jednak stwierdzić, że to ostateczne zwycięstwo *thymos* obywatelskiego z narodowym, czy też Rzymian nad Dakami. Simion znacznie umocnił swoją pozycję polityczną, co pozwala mu podważać legalność wyborów i instytucji państwa. Jako silny lider opozycji znalazł się w dogodnym położeniu. Zwłaszcza że nowy prezydent będzie musiał zmierzyć się z pułapką wpisaną w rumuński system polityczny.

Oczekiwania

Prerogatywy rumuńskiej głowy państwa dotyczą przede wszystkim polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Zwycięstwo Dana ucieszyło więc europejskich sojuszników. Nowy prezydent będzie orędownikiem unijnej jedności i wspierania Ukrainy. Wyzwaniem stanie się dla niego zapewne rosnący rozdźwięk między Europą a USA, które są najważniejszym sojusznikiem Bukaresztu w sferze bezpieczeństwa. W tym dylemacie nie będzie jednak odosobniony.

Oczekiwania wyborców Dana dotyczą wszakże w równym stopniu walki z korupcją i przebudowy systemu politycznego. Możliwości działania prezydenta w tej sferze są o wiele mniejsze. Jego głównym narzędziem będzie tu silny mandat społeczny i nacisk moralny. Jest przy tym skazany na współpracę z siłami, przeciw którym występował.

Tragizm polityki

Po pierwszej turze wyborów prezydenckich rozpadła się koalicja. Rozwiązania parlamentu nie chce nikt poza AUR. Tymczasem Związek Zbawienia Rumunii, który stanowi naturalne zaplecze polityczne Dana, zdobył w ostatnich wyborach jedynie 12,5 proc. głosów. Prezydent elekt już zapowiedział, że chciałby widzieć na czele rządu Ilie Bolojana – tymczasowego przewodniczącego centroprawicowej PNL, który w ostatnich miesiącach pełni obowiązki głowy państwa. Do koalicji dołączy się zapewne reprezentujący rumuńskich Węgrów UDMR, poprą ją również reprezentanci innych mniejszości narodowych.

Tej większości nie da się jednak zbudować bez poparcia największej frakcji, czyli Partii Socjaldemokratycznej. W PSD trwają obecnie dyskusje, czy ugrupowanie powinno wejść do koalicji, czy też poprzeć ewentualny rząd mniejszościowy. Tragizm sytuacji polega na tym, że o powstaniu i kształcie nowego rządu zadecyduje formacja, która będzie dla niego największym obciążeniem wizerunkowym oraz – prawdopodobnie – hamulcowym koniecznych zmian.

Nicușor Dan i jego zwolennicy nie mogą zmniejszać presji na tradycyjne partie polityczne. W przeciwnym wypadku jego prezydentura okaże się tylko przystankiem w pochodzie charyzmatycznych nacjonalistów po władzę.

© PIOTR OLEKSY

Autor pracuje na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie; jest stałym współpracownikiem „TP".

WIARA

KOD PANA BRAUNA

Katolicyzm w Polsce to dla wielu osób religia polityczna. Emanacją tego zjawiska jest Grzegorz Braun.

MARCIN KĘDZIERSKI

Wynik Brauna to najwyższa porażka polskiego Kościoła" – napisał o. Jacek Prusak, jezuita, w najbardziej chyba emocjonalnym komentarzu powyborczym, jaki pojawił się w katolickiej infosferze. Było ich wiele. Ogromne poparcie (ponad 1,2 mln głosów), jakie zdobył kandydat jawnie antysemicki i powielający przekazy rosyjskiej propagandy, a jednocześnie odwołujący się do wiary i powszechnie kojarzony z tubalnym „Szczęść Boże", jakim zaczyna swe wystąpienia, uprawnia do zadawania pytań o rolę Kościoła w jego wyborczym sukcesie.

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Grzegorz Braun podczas premiery filmu „Gietrzwałd 1877. Wojna światów". Warszawa, 13 sierpnia 2024 r.

Czy Kościół wspiera Brauna

Bezpośrednich dowodów na to nie mamy. Motywy wyborców, którzy zakreślili krzyżyk przy nazwisku lidera Korony Polskiej, są nieznane. Choćby dlatego, że tak duża grupa osób nie może być jednorodna. Z analizy wyników głosowania oraz *exit polls* widzimy natomiast, że Braun zebrał więcej głosów na prowincji, zwłaszcza na wsi (ponad połowa jego elektoratu) oraz w miastach do 50 tys. mieszkańców. Największe poparcie zyskał w województwach lubelskim i podkarpackim (ponad 9 proc.), a także świętokrzyskim (prawie 8 proc.). Statystycznie częściej głosowali na niego mężczyźni (57,4 proc.), największe poparcie uzyskał wśród osób w grupie wiekowej 30-39 lat (10 proc.) oraz 40-49 lat (8,6 proc.). Najmniejsze natomiast – co może zaskakiwać – wśród najstarszej części elektoratu. Relatywnie najwięcej głosów zebrał wśród robotników i rolników (ponad 10 proc.), a najmniej – wśród emerytów i rencistów (niecałe 3proc.). Jeśli natomiast spojrzymy na preferencje partyjne – w porównaniu do wyborów z 2023 r. – przechwycił 20proc. wyborców Konfederacji i ok. 5 proc. wyborców PiS. Te statystyki tłumaczą jednak decyzję połowy wyborców Brauna – o politycznych preferencjach drugiej połowy nie za wiele wiemy.

Niestety, informacji o wyznaniu i uczestnictwie w praktykach religijnych wyborców nie podano do publicznej wiadomości (choć Ogólnopolska Grupa Badawcza w swoim *exit poll* o nie pytała). Trudno więc wprost wskazać, jaki odsetek wyborców Brauna stanowią osoby wierzące i praktykujące. A wbrew pozorom wcale nie jest oczywiste, że był on duży. Dlaczego? Po pierwsze, z dostępnych badań wynika, że osoby poniżej 40. roku życia są znacznie mniej aktywne religijne, a to wśród nich mamy *gros* wyborców Brauna. Po drugie, choć diecezje znajdujące się na terenie województwa podkarpackiego (przemyska i rzeszowska) faktycznie cechują się relatywnie wysokim udziałem tzw. *dominicantes*, to już diecezja lubelska ma ten wskaźnik na podobnym poziomie jak archidiecezje katowicka czy poznańska. Pozostałe diecezje z regionów największego poparcia Brauna – kielecka, sandomierska i radomska – również nie charakteryzują się nadzwyczajnym poziomem uczestnictwa w praktykach religijnych. Co oczywiście nie znaczy, że wyborcy Grzegorza Brauna nie są mocno związani z Kościołem. A jedynie, że w świetle dostępnych danych nie można tego uznać za pewnik.

Piątka Brauna

Można jednak wytypować pięć innych czynników, które mogły stać za wyborczym sukcesem radykalnego polityka. Pierwszym jest covid-19 (o czym pisałem na łamach „Tygodnika" z okazji 5. rocznicy wprowadzenia stanu epidemii). Grupa osób, które jawnie kwestionowały nie tylko wprowadzane restrykcje, ale też sam fakt wystąpienia pandemii (*vide* hasło „plandemia"), a co za tym idzie także masowe szczepienia przeciw covid-19, była w Polsce stosunkowo duża, a Grzegorz Braun stał się ich najbardziej wyrazistym rzecznikiem (dużo bardziej od liderów Konfederacji). Powód ten zwykle umyka uwadze większości komentatorów.

Drugą przyczyna oddania głosu na Grzegorza Brauna były emocje antyukraińskie. Niechęć do Ukraińców prezentuje dziś już duża część polskiego społeczeństwa, niemała jest wśród nich grupa, która naszych wschodnich sąsiadów najchętniej odesłałaby z powrotem za Bug – mówiąc krótko: ich nienawidzi. Przed samymi wyborami emocję podgrzał dodatkowo konkurs Eurowizji, podczas którego publiczność ukraińska nie przyznała polskiej reprezentantce ani jednego punktu. To można, oczywiście, bagatelizować, ale w mediach sprawa ta odbiła się szerokim echem, zwłaszcza w pokoleniu młodszych wyborców. Nie można wykluczyć, że dla części z nich mógł to być impuls, by przenieść głos ze Sławomira Mentzena na Brauna, który był najbardziej antyukraińskim kandydatem w tegorocznej kampanii wyborczej.

Trzecim czynnikiem, którym można wyjaśnić wyborczy sukces Grzegorza Brauna, był polityczny spektakl wokół Gizeli Jagielskiej, lekarki z Oleśnicy, która dokonała terminacji dziecka w dziewiątym miesiącu ciąży. Ta historia pozwoliła Braunowi wysunąć się na pozycję największego obrońcy życia. Nie chodzi tu jednak o kwestie ściśle religijne, bo choć faktycznie Kościół w debacie publicznej ↦

↦ pełni rolę głównego przeciwnika aborcji, to doświadczenia innych państw, zwłaszcza USA, pokazują, że w ruchy *pro-life* angażują się także osoby niewierzące. Sprzeciw wobec aborcji stał się symbolem łączącym wiele nurtów alt-prawicy.

Czwartym powodem głosowania na lidera Korony Polskiej mogła być także jego antysystemowość i „wiarygodność". Cudzysłów jest tu użyty celowo, pojęcie to ma inne znaczenie dla osób starszych, inne dla młodych wyborców. Ci pierwsi nie oczekują od polityka niezmienności poglądów, bo zdają sobie sprawę, że im samym również nieraz przyszło zmienić zdanie. Dla młodszych spójność poglądów ma dużo większe znaczenie, zwłaszcza w dobie mediów społecznościowych, gdy łatwo wyciągać wypowiedzi z przeszłości i porównywać je z dzisiejszymi. To idealne narzędzie, by „toczyć z polityków bekę", bo przecież kampania wyborcza jest doskonałą formą rozrywki.

W tym kontekście warto wymienić piąty czynnik – w Polsce zawsze istniał kilkusettysięczny elektorat, który głosuje właśnie dla „beki". W poprzednich wyborach gromadził go Janusz Palikot, potem Ryszard Petru, teraz najwyraźniej zgarnął go Grzegorz Braun. Wiele haseł, którymi epatował w kampanii, stało się elementem jego „bekowego" wizerunku. W tym hasła antysemickie czy antyizraelskie, bo trudno uwierzyć, że 35-letni robotnik z podlubelskiej wsi, który w swym życiu Żydów nigdy nie spotkał, jest do żywego przejęty ich rolą czy działaniami Izraela w Strefie Gazy.

Katolicyzm równoległy

Czy zatem polski Kościół nie ma absolutnie nic wspólnego z wynikiem wyborczym Brauna, a komentarz o. Prusaka jest kompletnie bezpodstawny? Myślę, że nie.

Od dłuższego już czasu przyglądam się fenomenowi filmu „Gietrzwałd 1877. Wojna światów", z którym Grzegorz Braun, jako reżyser, objeżdża Polskę. Z informacji podanych na oficjalnej stronie filmu wynika, że od 7 września 2024 r. do 11 maja 2025 r. odbyły się 632 pokazy w 402 miejscowościach. Film nie jest emitowany w kinach – projekcje odbywają się w innych salach, często parafialnych. Bo jeśli istnieje w naszym kraju przestrzeń, w której obecność Brauna jest fetowana, są nią właśnie parafie. Nie o sam film przecież tu chodzi – popularność dzieła związana jest w dużym stopniu z osobą reżysera. To on elektryzuje uwagę zarówno wiernych, jak i części polskiego duchowieństwa.

Biskupi nie chcą interweniować, bo w obliczu pędzącej sekularyzacji rozwój narodowego katolicyzmu mogą sprzedawać jako sukces Kościoła.

Często w rozmowach ze znajomymi śmiejemy się (przez łzy), że w Polsce nie ma Kościoła katolickiego, a „Polski Kościół Narodowy". To hiperbola, trudno jednak nie odnieść wrażenia, że także część polskiej hierarchii po cichu sprzyja katolickiemu nacjonalizmowi, nawet jeśli oficjalne komunikaty episkopatu temu próbują zaprzeczać. Oddolne, społeczne akcje modlitewne, jak „Różaniec do granic" czy „Wielka Pokuta", które uderzały mocno w narodowe, a wręcz nacjonalistyczne nuty, spotykały się przecież z akceptacją – choćby tylko delikatną – polskich biskupów. Podobnie jak działalność ks. Dominika Chmielewskiego SDB i jego Wojowników Maryi – choć oficjalnie duchowny został odsunięty od prowadzenia swojej wspólnoty, episkopat nie podejmuje wobec niego żadnych bardziej zdecydowanych działań. Sam Chmielewski sprzedaje swoje książki w nakładzie 200 tys. egzemplarzy, o którym większość autorów, i to nie tylko katolickich, może w Polsce jedynie pomarzyć.

Nurt katolicyzmu narodowego bardzo szybko rozwija się w internecie, skutecznie przesuwając ramy debaty religijnej nad Wisłą. Doświadczamy – w pewnym sensie – podobnego procesu, jaki w USA określa się mianem „katolickiego MAGA". Co skłania mnie do postawienia hipotezy, że istnieje w Polsce wspólnota wierzących, tętniąca życiem i dynamicznie się rozwijająca, ale równoległa do oficjalnych struktur kościelnych. Wspólnota ta ma poczucie własnej siły – wie, że hierarchia boi się i nie ma ochoty interweniować, bo w obliczu pędzącej sekularyzacji może rozwój narodowego katolicyzmu sprzedawać jako sukces Kościoła. Także w sensie ekonomicznym, co nie jest bez znaczenia dla bardzo wielu polskich biskupów.

Nie można też zapominać, że biskupi niekoniecznie chcą iść na wojnę ze swymi księżmi, wśród których bez trudu znajdziemy wielu fanów katolicyzmu narodowego. Zjawisko to, co istotne, nie dotyczy wyłącznie starszych duchownych. Z badań prof. Konrada Pędziwiatra, przeprowadzonych przed paroma laty w seminariach diecezjalnych, wiemy, że spora część kleryków sympatyzuje z poglądami konserwatywno-narodowymi (w ankiecie deklarowali poparcie dla Konfederacji).

Schizma watykańska czy polska?

Wspólnota katolicyzmu narodowego coraz mocniej „odpływa" od linii prezentowanej przez Watykan, także w dość ezoteryczne i antynaukowe klimaty (*vide* choćby bardzo rozpowszechniona wiara w prywatne objawienia). Nie przypadkiem papież Franciszek – jak mówiło się kolokwialnie – w Polsce „niespecjalnie się przyjął". Dziś w środowisku tym widać spore nadzieje, że pontyfikat Leona XIV przebiegnie zgodnie z oczekiwaniami „Polskiego Kościoła Narodowego". Myślę jednak, że dość szybko te nadzieje okażą się płonne. Co jednak będzie znaczyć, że Kościół powszechny i Kościół w Polsce nadal coraz mocniej będą się od siebie oddalać. I tak jak część bardziej tradycyjnych katolików (niekoniecznie związanych z nurtem katolicyzmu narodowego) obawia się „watykańskiej schizmy", polski Kościół może jej doświadczyć dużo wcześniej i to na zupełnie innej płaszczyźnie.

Grzegorz Braun jest w pewnym sensie emanacją opisanych tu procesów, które dotykają Kościoła w Polsce. Nawet jeśli nie one stoją bezpośrednio za jego wyborczym sukcesem, powinniśmy mieć świadomość, że katolicyzm w Polsce doświadcza obecnie bardzo poważnych zmian, stając się coraz bardziej religią *stricte* polityczną. To przyniesie wiele różnych konsekwencji, z których większość powinna martwić osoby odpowiedzialne za sytuację Kościoła w Polsce. Niestety, mam wrażenie, że episkopat przespał ostatnie kilkanaście lat, jak również, że i dziś niespecjalnie chce coś z tym problemem zrobić. Możliwe zresztą, że na jego działania jest już zwyczajnie za późno.

© MARCIN KĘDZIERSKI

Świętość obroni się sama

STANISŁAW ZASADA

O wykorzystanych seksualnie przez Sowietów zakonnicach mówiło się, że „broniły czystości". Słowa „gwałt" unikano. Katarzynki to zmieniły.

PIOTRBUTOWSKI / CC-BY-SA-4.0

Siostra Maria Krzysztofa Klomfass i XIV towarzyszek

Wiele razy były gwałcone – mówi zakonnica do wiernych, zgromadzonych w gdańskim kościele dominikanów. Siostra Angela Krupińska opowiada o kilkunastu warmińskich katarzynkach, które Rosjanie zamordowali w 1945 r., a wcześniej brutalnie wykorzystywali seksualnie. 31 maja w Braniewie odbędzie się ich beatyfikacja.

Jedną z błogosławionych będzie Leonis Müller, gdańszczanka, ochrzczona w dominikańskiej bazylice św. Mikołaja. Siostra Angela opowiadała, że była wrażliwa, że lubiła poezję. I że nim zmarła w drodze do sowieckiego łagru, czerwonoarmiści gwałcili ją zbiorowo.

– To były słowa dojrzałej osoby do dojrzałych ludzi – chwali wystąpienie siostry Krupińskiej o. Michał Osek, przeor gdańskich dominikanów. – Przyznam, że czułbym pewnie kulturowe zawstydzenie, gdybym sam miał tak opowiadać.

Angela Krupińska: – Nie nam się wstydzić tego, co się wydarzyło. Dlatego mówimy tak, jak było.

Chciały zostać

Klasztor Sióstr Świętej Katarzyny Dziewicy i Męczennicy znajduje się w centrum Braniewa. Za zabudowaniami z czerwonej cegły rozciąga się łąka, gdzie od wiosny do późnej jesieni pasą się krowy. Oprócz bydła, zakonnice hodują też kury, mają ogród.

– Utrzymujemy się z pracy własnych rąk – mówi s. Krupińska, która napisała książkę o męczeństwie warmińskich katarzynek. „Pod prąd, pod wiatr i pod fale" – dała tytuł.

W Sali Pamięci z portretów patrzą kobiety w zakonnych welonach. To przyszłe błogosławione: Krzysztofa Klomfass i jej czternaście towarzyszek. Pomiędzy nimi pogodna twarz siostry Leonis. Zginęły 80 lat temu, gdy Armia Czerwona zajmowała Warmię, Mazury i Powiśle.

Podczas II wojny światowej katarzynek zginęło dużo więcej – 105. Zmarły z wycieńczenia, pobicia, gwałtów, w czasie nalotów, z powodu chorób i w transportach w głąb Rosji – tłumaczy siostra Angela. – Ale o tych piętnastu udało się zebrać świadectwa męczeństwa.

Pracowały w szpitalach, przy parafiach, zajmowały się opuszczonymi dziećmi. Gdy zbliżał się front, mogły ewakuować się z cywilną ludnością. Zostały.

Zabij Niemca

Jesienią 1944 r. niemieckie gazety pokazują przerażające zdjęcia ze wsi Nemmersdorf koło dzisiejszego Kaliningradu. Miejscowość zajęła Armia Czerwona, po dwóch dniach Wehrmacht odbił ją. Niemieccy żołnierze znaleźli ciała kilkudziesięciu cywili.

Joseph Goebbels postanowił skorzystać z okazji: kazał okaleczyć ofiary i wyolbrzymić zbrodnię. Chciał pokazać, że hitlerowskie Niemcy bronią cywilizacji europejskiej przed azjatyckimi barbarzyńcami. Zadziałało: zimą i wiosną 1945 r. na okrzyk *„Die Russen kommen!"* tysiące Niemców rzucało się w popłochu do ucieczki, niektórzy popełniali samobójstwa.

↦

↦ Zbrodnie były. „Zabij Niemca” – czerwonoarmiści czytali we frontowych ulotkach. Sowieccy politrucy zachęcali do przemocy wobec kobiet: „Bierzcie je jako regularną zdobycz!”. Kobiety się gwałci. Nie ma znaczenia wiek: ofiarą padają dwunastoletnie dziewczynki i siedemdziesięcioletnie staruszki. Przed seksualnymi napaściami nie chroni też zakonny habit.

Włodzimierz Nowak we wstrząsającym reportażu „Noc w Wildenhagen” opisuje masowe samobójstwa Niemek we wsi Lubin po polskiej stronie Odry. „Mama mówiła, Iwany to diabły. Wszystkie kobiety we wsi tak mówiły, bladły na słowa *die Russen*” – kilkadziesiąt lat po wojnie opowiada Adelheid Nagel. Dalej jest o tym, jak przed wkroczeniem Rosjan do dawnego Wildenhagen mama Adelheid zaprowadziła ją na strych i kazała targnąć się na swoje życie.

Dorosła Adelheid do reportera: „Śmierć jest bezsensowna, gdy nie przychodzi sama z siebie”.

Bismarck wyrzucił

XVI wiek, Braniewo. Dziewiętnastoletnia Regina Protmann, z bogatego mieszczańskiego rodu, opuszcza rodzinny dom. Z dwiema koleżankami mieszka w starej kamienicy. Pomagają biedakom, starszym i schorowanym, uczą czytać i pisać proste dziewczyny. Gdy na Warmii szaleje dżuma, Regina i jej towarzyszki odwiedzają chorych.

Dołączają do nich kolejne dziewczyny. Ich działalność wspierają jezuici i biskupi warmińscy ze światłym Marcinem Kromerem. W 1602 r. papież zatwierdza nowe zgromadzenie. Za patronkę siostry wybierają Katarzynę Aleksandryjską – jej wezwanie nosił kościół w Braniewie.

To pierwsze takie zgromadzenie: siostry nie tylko modlą się, ale wychodzą do ludzi. Zakładają kolejne domy: w Ornecie, Lidzbarku Warmińskim, Reszlu, na Litwie. Są nauczycielkami i pielęgniarkami. W czasie Kulturkampfu kanclerz Bismarck usuwa katarzynki ze szkół. Siostry zakładają domy poza granicami Niemiec: w Helsinkach, Sankt Petersburgu, Anglii i Brazylii.

Matka Protmann umiera w 1613 r. „Na większą pochwałę zasługuje ten, kto łódkę swą prowadzi naprzód wśród trudów i niebezpieczeństw, pod prąd, pod wiatr i pod fale, aniżeli ten, kto żegluje z prądem i wiatrem” – zostawia siostrom przesłanie. Jan Paweł II ogłosi ją błogosławioną.

A święta patronka zgromadzenia? Żyła na przełomie III i IV wieku w Aleksandrii. Piękna, inteligentna, postanowiła zamknąć się w pustelni. Za krytykę prześladowania chrześcijan cesarz Maksencjusz skazał Katarzynę na tortury i kazał ściąć.

Kilkanaście wieków później jej los podzieli w dawnych Prusach Wschodnich wiele kobiet. Także tych w zakonnych habitach.

Najpiękniejszy mąż

– Wasi mężowie są wspaniali, ale mój jest najpiękniejszy ze wszystkich – Käthe Elisabeth Müller powtarza swoim rodzonym siostrom. One powychodziły za mąż, ona złożyła zakonne śluby, przyjęła imię Leonis.

Rocznik 1913. Ojciec katolik, mama protestantka, swoje trzy córki wychowali w wierze katolickiej. Käthe gra na fortepianie, śpiewa, uwielbia Hölderlina i Goethego, zna angielski i łacinę. Po ślubach pracuje w Lidzbarku Warmińskim, Braniewie, Reszlu. Studiuje na uniwersytecie w Królewcu, ale szybko stamtąd odejdzie: na uczelni nie wolno jej nosić habitu, mierzi ją nazistowski rygor, rasizm, antysemityzm, walka z Kościołem.

Przełożone posyłają ją do Olsztyna: pracuje w Szpitalu Mariackim. Niecierpliwi pacjenci, bombowe naloty, modlitwy odmawia w biegu. „Zawsze jestem szczęśliwa” – pisze w listach.

Czy papież widział?

Francuska lekarka z Czerwonego Krzyża odbiera poród od zakonnicy zgwałconej przez radzieckich żołnierzy w okupowanej Polsce; dowiaduje się, że zgwałconych sióstr jest więcej, że są w ciąży. Żeby uniknąć skandalu, przełożona chce wszystko ukryć. Przejmująca jest scena, jak przeorysza zostawia noworodka pod przydrożnym krzyżem.

To fabuła filmu „Niewinne” francuskiej reżyserki Anne Fontaine. Pokazany prawie dekadę temu obraz oburzył kościelne środowiska w Polsce. Polemika dotyczyła głównie koloru habitów zgwałconych zakonnic: bohaterki nosiły benedyktyńskie, choć według badań żadnego klasztoru benedyktynek taki los nie spotkał. Rzecznik episkopatu prostował z satysfakcją, że papież Franciszek filmu nie widział (co sugerowała reżyserka).

– A przecież każde takie zdarzenie było osobistym i wspólnotowym dramatem – zauważa o. Michał Osek.

Napięcie między bezdusznie pojmowanym kościelnym rygorem a macierzyństwem oddaje filmowy dialog jednej z sióstr z przeoryszą:

– Co matka zrobiła z tymi dziećmi?

– Wierzę, że te dzieci zostały przygarnięte.

– Błagam, proszę mi powiedzieć prawdę!

POŻEGNANIE

„Daj nam zasnąć, nasz Boże, w pokoju.
I daj nam wstać, nasz Królu, do życia...”

Żegnamy

Ś.† P.

Martę Hordziej-Kolecką

Naszą mamę, żonę i siostrę, nauczycielkę i artystkę,
wierną czytelniczkę „Tygodnika”,
radosną i zawsze gotową służyć innym swoimi talentami.
Dziękujemy, że byłaś z nami i malowałaś nam świat.
Będzie nam Ciebie brakowało.

RODZINA

– Zrobiłam to, co należało. Mam obowiązek chronić nasze sacrum.

Noc w Allenstein

Noc z 21 na 22 stycznia 1945 r. Do Olsztyna (wtedy Allenstein) wkracza Armia Czerwona. O świcie siostra Leonis modli się na mszy w szpitalnej piwnicy. To ostatnia eucharystia w jej życiu. Potem do szpitala wpadają radzieccy żołnierze. Któryś uderza ją kolbą karabinu w głowę.

O tym, co działo się dalej, siostra Angela Krupińska pisze: „Została wciągnięta do sali szpitalnej, gdzie sztyletem pocięto całą jej bieliznę i z przemocą rzucono na łóżko. Broniła się z całych sił, a ponieważ bardzo krzyczała, była gryziona w gardło. Pomimo wszelkich prób obrony została zgwałcona przez ośmiu żołnierzy. Następnie, wykorzystując krótką przerwę, schowała się pod łóżko, tak że druga kolejka mężczyzn jej nie znalazła". „Stale musiała ukrywać się pośród nas, ponieważ jej piękny wygląd w szczególny sposób przyciągał Sowietów" – będą wspominały inne siostry.

Potem sześć dni pieszo do obozu w Ciechanowie (w czasie drogi oddaje głodnemu współtowarzyszowi połowę swojej porcji chleba). Cztery tygodnie głodu, zimna, poniewierania. Stamtąd zostanie wywieziona w głąb Rosji – miała kopać torf. 5 czerwca umiera. Ma 32 lata.

Uradowana jestem

– Dobrze, że jako ludzie Kościoła zmieniamy wreszcie język i nazywamy zbrodnie po imieniu, jesteśmy wtedy bliżej prawdy – uważa o. Osek. – Wcześniej zamiast „gwałt", mówiło się „droga krzyżowa" albo że siostry „broniły czystości".

Po wystąpieniu s. Angeli u dominikanów w Gdańsku do przeora podeszła młoda kobieta: też została kiedyś zgwałcona. – Mówiła, że czuła się zbrukana przez to, co ją spotkało. W kościele miała poczucie dystansu między sobą a ludźmi, bo czuła się jakby była niegodna – przeor relacjonuje rozmowę.

Po tym, co usłyszała o męczeństwie katarzynek, dodała: – Gdy siostra mówiła z ambony, znikło we mnie tamto poczucie niegodności. Jestem dziś uradowana. Bo wiem, że po tak traumatycznym doświadczeniu też można żyć wiarą.

© STANISŁAW ZASADA

RALF FROELICH / EAST NEWS

Niebo to najfajniejsza miejscówka

MARCIN TUSIŃSKI

W co wierzą? O co się modlą? Co dzieje się z człowiekiem po śmierci? O najważniejszych sprawach rozmawiam z dziećmi różnych wyznań, religii i kultur: katoliczką, muzułmanką, prawosławnym, Żydówką i córką ateistów.

Nasze grzechy będą zważone

AMINA TCYGNAEVA z Czeczenii, lat 17 lat. Mieszka z rodzicami i czworgiem rodzeństwa w Warszawie. Nim osiedlili się w Polsce, tułali się po Europie (ze względów religijnych nie zgadza się na publikację wizerunku).

MARCIN TUSIŃSKI: Jak się modlą kobiety w islamie?

AMINA TCYGNAEVA: Najpierw trzeba umyć ręce. Potem rozłożyć dywanik w stronę Mekki, tak samo jak mężczyźni, ale my mamy na sobie sukienkę, i nie może być widoczna twarz ani ręce. My też modlimy się pięć razy dziennie. Zaczynam rano przed szkołą. Uczę się w liceum, w klasie humanistycznej. Po lekcjach wracam szybko do domu i nadrabiam modlitwę, nawet w nocy. Modlę się o zdrowie dla mojej rodziny i żeby nie było wojny.

Co daje Ci wiara w Boga?

Jak w nic nie wierzysz, to nie ma nadziei. Mam dopiero 17 lat, ale dużo przeżyłam. Modlitwa daje mi spokój. Wiem, że cierpienie zawsze będzie. Dlatego, gdy widzę, że ktoś potrzebuje pomocy, to podchodzę i pytam, czego potrzeba. Ważne jest mówienie dobrych słów. Życzliwość i uśmiech.

Jak sobie wyobrażasz życie po śmierci?

Śmierć to koniec życia tutaj, ale nie koniec wszystkiego. Później jest drugie ↦

↦ życie, wieczne. Trochę to straszne, bo tutaj żyjemy maksymalnie sto lat, a tam przez wieczność. Chociaż tam nie trzeba się już martwić, że umrzesz. Trzeba być dobrym człowiekiem, żeby mieć dobre drugie życie. Bardzo mnie to ciekawi. Islam mówi, że w raju są najlepsze owoce i że jest ładnie i czysto.

W szkole nikt nie ma problemu z moją religią. Lubią mnie, pytają, a ja im tłumaczę. Jak mówię o dniu sądu, to mają ciarki. Bo wtedy jest strasznie – anioł przechodzi przez ziemię i zabija ludzi. A później prorok Isa, czyli Jezus, zabija go i zaczyna się Dzień Sądu. Stajemy na wadze, która waży nasze grzechy. To wszystko im tłumaczę, a oni zawsze mają ciarki.

Co chciałabyś robić w przyszłości?

O przyszłości decyduje Allah. Ale myślę, że skończę liceum, studia, będę miała dzieci. Bardzo lubię dzieci. Chciałabym mieć dwójkę. A później – nic. Wychować dzieci i umrzeć. Niczego więcej nie chcę. Boję się tylko wojen. Ludzie nie potrafią ze sobą rozmawiać. Marzy mi się pokój na ziemi.

Wrócisz do Czeczenii?

Mam nadzieję, że wrócę. Tam jest moja rodzina, babcia. Tęsknię i dzwonię do niej często. Myślę, że wrócę, choć trochę się boję.

Wygodne łóżko w niebie

CECYLIA MROCZKOWSKA, lat 10. Mieszka na krakowskich Dębnikach. Jej rodzice są artystami. Rozmawiamy przy herbacie na balkonie pracowni malarskiej jej taty.

MARCIN TUSIŃSKI: Wierzysz w Boga?

CECYLIA MROCZKOWSKA: Tak. Myślę, że najbliżej mi do wiary katolickiej. Bardzo rzadko chodzę do kościoła, bo jest tam za głośno. Ale gdy jest mi trudno, modlę się w domu. Bóg nie mieszka w kościele. Musiałby mieszkać w jednym, ulubionym, bo przecież nie podzieli się na kilka milionów kawałeczków. Ale kościół to świątynia, w której można tę wiarę uczcić.

Modlisz się do niego?

Kiedy mój wujek był bardzo chory, siedział na wózku inwalidzkim i nie było z nim kontaktu, prosiłam, by go przyjęli do nieba, jeżeli niebo istnieje. Latem, po mojej komunii, dowiedzieliśmy się, że zmarł. Często się modlę, żeby wujkowi było w niebie dobrze i żeby miał wygodne łóżko.

Co jest dla Ciebie najważniejsze w życiu?

Przyjaciele i rodzina. Boję się, że stracę kogoś bliskiego. A nawet takie osoby, których nie lubię. Byłoby dziwne, gdyby się okazało, że ich nie ma. Dopóki na świecie są osoby, z którymi chcemy odbudować relacje, musimy zrobić to szybko.

A co nas czeka po śmierci?

Nie mam pojęcia i tego się najbardziej boję. Nie chodzę do kościoła, ale chodzę na religię. Siostra ciągle mówi, że jeżeli nie chodzimy do kościoła, to Bóg nas do nieba nie wpuści. Jeżeli po śmierci okaże się, że niebo jest, no to ja jestem w czarnym lesie.

Nie wierzysz w niebo i piekło?

Nie wierzę w dwubiegunowość. Trudno to sobie wyobrazić, że po śmierci albo trafimy do okropnego miejsca, w którym jest źle, albo do błogiego raju, który jest wspaniały. Myślę, że to nie może być takie dosłowne.

Myślisz czasem o przyszłości? Jaka będzie?

Tego nie wiemy. Nasi rodzice czytali książki, my już tego nie musimy robić, bo jest smartfon. Sąsiedzi mają takie wielkie coś do czyszczenia okien, co samo jeździ. Boję się tej technologii. Że wszystko przejmie AI.

Martwię się też o przyrodę, bo już teraz, gdy idziemy do parku czy do lasu, nie da się nie znaleźć śmiecia na ziemi. To straszne, bo jesteśmy największymi szkodnikami i zatruwamy świat, który nas otacza.

Czy po śmierci jesteśmy duchami?

ARCHIWUM PRYWATNE X4

ZOSIA SOWIŃSKA, lat 6. Jest córką ateistów. Mama nie wierzy w istnienie jakiejkolwiek formy boskości, tata deklaruje, że kontestuje obiektywnie istniejący porządek metafizyczny, lecz wierzy w „pojedynczy i niepodzielny poziom bytu".

MARCIN TUSIŃSKi: A w co Ty wierzysz, Zosiu?

ZOSIA SOWIŃSKA: Wierzę w Jezusa. Jezus Chrystus to jakby połowa Boga. To taki człowiek, który wisi na krzyżu, dlatego, że Ci, którzy rządzili, obawiali się, że On im odbierze władzę. No i go zabili.

Co jest dla Ciebie ważne?

Rodzice i dom. I jedzenie, żeby nie umrzeć z głodu. Bez picia można wytrzymać chyba tylko minutę. Lubię się wspinać po drzewach, skakać, nurkować w basenie, chodzić po dnie. Lubię robić fikołki i skakać na łóżku. Tylko że już nie mogę, bo się złamało. Za mocno skakałam.

A myślałaś kiedyś o tym, co się dzieje po śmierci?

Zastanawiam się, czy jest się duchem? Czy ciało odpoczywa, czy znika? Moja prababcia Irenka, która już zmarła, na pewno by mi powiedziała. W przed-

szkolu, po jedzeniu, gdy słuchamy muzyki, patrzę przez okno i o niej myślę.

Jak myślisz, co będzie w przyszłości?
Będą czerwone liście. I ładne zachody słońca.

Proszę Boga, by nie było wojny

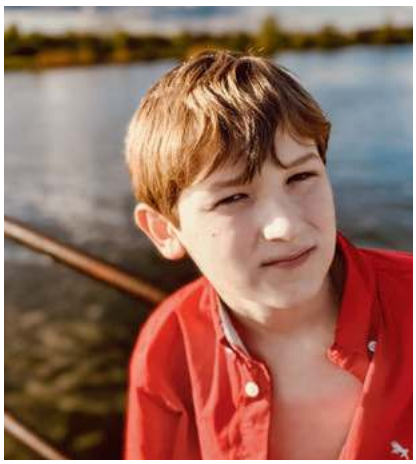

MYKOLA KARPENKO, lat 10. Urodził się w Dnieprze. Przyjechał do Polski z mamą w 2022 r. Mówi, że tęskni za pielmieni babci Ani, amstaffką Bunią i za cerkwią, w której śpiewała jego mama.

MARCIN TUSIŃSKI: Co nas czeka po śmierci?
MYKOLA KARPENKO: Będziemy mieli wybór: czy iść do Adu, czy do raju. Adu to piekło. Tam jest mega gorąco i są demony zamiast aniołów. A w raju jest św. Piotr, który do niego wpuszcza. To miejscówka najfajniejszych ludzi na świecie. Tam jest pięknie. Jest Einstein i Picasso, i John Lennon. Putina tam na pewno nie będzie.

Jesteś prawosławny. Co to znaczy?
Każda z religii ma jednego Boga, ale każda wierzy w inny sposób. U nas w cerkwi jest uroczyście. Pachnie świecami, śpiewają chóry. Dziewczyny mają chusty na głowie, mężczyźni są elegancko ubrani, bo Bóg jest święty. Choć dla mnie świętowanie jest trochę nudne. W domu modlę się do tych bliskich, którzy zmarli. I do Boga. Kiedy umarł mój dziadek, to rozmawiałem z nim. Pytałem, kiedy wreszcie posieje ogród. Wyobrażałem sobie, że zasadził ziemniaki i marchewki. Proszę też Boga, żeby nie było wojny.

Co to znaczy być wolnym?
To znaczy, że nie ma wojny. Jest spokój i można chodzić po lesie z kolegami. Mieć dla siebie czas. Mieć kolegów i rodziców, i ich kochać. Miłość jest wtedy, gdy kogoś bardzo lubisz, tak jak rodziców. Pomagasz w czymś, macie wspólne sprawy, słuchasz, jak komu minął dzień. Ważne są rozmowy. Granie w piłkę, granie w zbijaka, granie w chowanego. Być zadowolonym to być wolnym.

Jak sobie wyobrażasz przyszłość?
Wyobrażam sobie, że chodzę po górach. Takich nad morzem. Wspinam się po klifach. Ale przyszłość Ziemi to co innego – ona niedługo wybuchnie przez te rakiety i wszyscy skończymy jak dinozaury.

Urodziny to nowe życie

RUTKA SZYCHOWSKA, lat 9. Pochodzi z żydowskiej rodziny z Krakowa. Spotykamy się w kawiarni na Kazimierzu.

MARCIN TUSIŃSKI: Jak się modlisz?
RUTKA SZYCHOWSKA: Modlę się, aby podziękować, że jestem na świecie. Że mam ręce, nogi, głowę, zmysły. Jestem wdzięczna za to, że żyję, mam kolegów, koleżanki, rodzinę. Czuję, że Bóg jest w serduszku i we mnie, i wszędzie, w każdym człowieku, że Bóg to są moje emocje i moja przyszłość. On mnie stworzył i dlatego się dla niego świecę, ale nie za bardzo. Żyję i jestem wolnym człowiekiem.

Co to znaczy, że jesteś Żydówką?
To znaczy, że jestem częścią tego narodu i chodzę do synagogi. Tam śpiewa się różne piosenki. Bardzo lubię śpiewać, lubię też moje koleżanki z żydowskiej szkoły.
Mamy różne święta, których przestrzegamy. Najważniejszy jest Pesach – Pascha.

Co nas czeka po śmierci?
Myślę, że ludzie po prostu umierają. Jedni wierzą w raj, inni wierzą w odrodzenie. Jeszcze inni, że się nic nie dzieje. Ja raczej myślę, że nic się nie dzieje. Chociaż my, nasz naród, wierzymy w odrodzenie: że przyjdzie Mesjasz i każdy, kto umarł, ożywi się, wstanie z grobu i będzie wolny od śmierci. Śmierć to coś bardzo smutnego, ale też bardzo ważnego.

Co byś powiedziała rodzicom, gdybyś się zamieniła z nimi rolami?
Żeby zawsze wierzyli w siebie i się nie zmieniali. Żeby byli dla siebie dobrzy. Byli razem. Bo samotność jest przykra, bo nie ma dla kogo zrobić dobrego uczynku i nie można sobie pomagać na wzajem. Bez rodziny byłoby mi bardzo smutno. Ona daje mi radość i bezpieczeństwo, bo zawsze mogę się do kogoś przytulić.

Co to jest dobro?
Cierpienie jest wtedy, gdy boli cię wewnętrznie i nie czujesz się wolny. A dobro, gdy sobie w tym cierpieniu pomagamy. Gdy traktujemy kogoś innego tak, jak byśmy chcieli, żeby nas traktował. Wtedy czujemy się wolni.

Jakie są Twoje marzenia?
Marzy mi się, aby świat był otoczony naturą i dobrymi rzeczami.
Chciałabym być dobrą osobą i Żydówką. Chciałabym mieć dzieci. Chociaż nie wiem, bo czasami, kiedy patrzę na moją mamę, widzę, że jesteśmy wykańczający. Mieszkam z czworgiem rodzeństwa i mam jeszcze brata w Łodzi.
Chcę mieć piękną Bat Micwę. Żeby to była wielka impreza. Będą śpiewać, będzie dużo gości, uhonorują moje dwunaste urodziny. To jest bardzo ważne, bo każde urodziny to nowe życie.

© Rozmawiał MARCIN TUSIŃSKI

ZUZANNA

Radzik:
Dzikie doświadczenie

Budzę się w szpitalu przed trzecią panicznym impulsem. Dziecko śpi. Budzić? Nie budzić? Położne kazały karmić nie rzadziej niż co trzy godziny. Czuję potworny ból pleców na wysokości łopatek, efekt ciąży, porodu i pierwszych zmagań z karmieniem. Tak bardzo potrzebuję leżeć płasko, a nie karmić. Tak bardzo... Skoro mocno śpi, to może jeszcze z godzinę poczekać? Potrzebuję tej godziny, właściwie to każdych wyrwanych pięciu minut. „Jesteś złą matką" – podszeptuje głos w mojej głowie. Aż się od tego budzę. Zatem tak to działa? Matczyne poczucie winy przychodzi błyskawicznie, nieproszone. Zdążyłam jedynie pomyśleć o niedopełnieniu obowiązku. Notuję w głowie: po raz pierwszy mam poczucie winy pierwszej nocy, o drugiej czterdzieści pięć. Chcę pamiętać, żeby lepiej się przed nim bronić. Skąd ono przyszło? Ze mnie czy ze świata?

Pytanie, co przychodzi ode mnie, a co z kultury, wisi nade mną w pierwszych tygodniach. Co ja mówię, pewnie zostanie na zawsze, ale może trochę sobie to przesortuję w głowie. Zrobię swoisty triaż, co przyjmuję, a na co się nie godzę. Sama jednak nie umiem zamknąć tego w słowach. A może zwyczajnie wyczerpana nowym doświadczeniem nie mam siły myśleć, więc zapraszam do swoich połogowych rozważań feministyczne autorki książek o macierzyństwie. Innym trochę w tych okolicznościach nie ufam. Czego u nich szukam? Uchwycenia w słowa, jak potężnym, dzikim doświadczeniem jest stawanie się matką. Nie chcę lukru, ale też nie potrzebuję opowieści o udręce, bo chłonę wszystko z zachwytem, jednocześnie próbując połapać się w rachunku zmian, strat i zysków.

Czytam więc klasyczkę Adrienne Rich, po której słynną książkę „Zrodzone z kobiety" – wstyd przyznać – pierwszy raz sięgnęłam właśnie teraz. Stare wydanie jest trudno dostępne po polsku, ale dwa najważniejsze rozdziały wyszły teraz w zbiorze jej „Esejów zebranych". Już wcześniej rzuciłam się na książkę Lucy Jones, brytyjskiej autorki i popularnonaukowej dziennikarki, której dociekania obudziły jej własne trzy ciąże i porody oraz trudy wczesnego macierzyństwa. Jej „Matrescence" („Stawanie się matką") łapczywie czytałam w połogu. Jest mi intymną towarzyszką, wywołuje łzy, zachwyt, przynosi ulgę. Innym razem rodzi bunt i poczucie, jakby chciało się rozwalić świat i przebudować tak, by matki mogły w nim godnie żyć. Na trzecią nóżkę czytam Rachel Cusk, która, gdy dwadzieścia lat temu w książce „A life's work" opisała, co macierzyństwo zrobiło z jej życiem, spotkała się z wściekłą krytyką i opiniami, że nienawidzi swoich dzieci. Czytam ją oszołomiona, bo mam wrażenie, jakby wykradła myśli z mojej głowy i ułożyła na stronach wydanej dwie dekady temu książki.

Wychodzi na to, że fundamentalna książka o tym, jak feministka i pisarka zostaje matką, musi powstać co mniej więcej 20 lat. I dobrze, bo każda pisała w innych czasach i kontekście. A i tak są pytania, obserwacje, wyzwania, które uparcie są te same. Jak pomieścić w sobie to wszystko? Czy to, kim byłam, jest jeszcze ważne wobec tego, kim się staję? Czy równość jest możliwa, skoro poród i wczesne rodzicielstwo są tak nierówno angażującym doświadczeniem?

Rachel Cusk wspomina, jak sama wstrząśnięta doświadczeniem macierzyństwa zastanawiała się, czemu nikt tego nie opowiedział, czemu nie opisał, czemu tego nie czytała i nie wiedziała. Opisał, stwierdza chwilę później, tylko póki cię to nie dotyczy, nie chcesz tego czytać i wiedzieć. Inaczej pisze o tym Lucy Jones, która z zacięciem popularnonaukowej dziennikarki stwierdza: gdy jesteśmy chronicznie zmęczeni, nie tworzymy wspomnień, co być może znaczy, że matki, zwykle chronicznie niewyspane, nie tworzą wspomnień i nie są potem w stanie przekazać tego doświadczenia.

To drugie wyjaśnienie mnie przeraża, bo jest jak opis czarnej dziury, która pochłania życia kobiet, ten doniosły i trudny okres, który nie tylko przepada w niepamięci, ale też nie staje się politycznym paliwem. Sama po którymś już dniu spędzonym na sama nie wiem czym, ale z dzieckiem, zanotowałam: „Nie dziwi mnie, że to mężczyźni zarabiają pieniądze, piszą książki i mają władzę". Co nie znaczy, że miałam zły dzień. Zaczęłam o 5.30 od oglądania lipy za oknem, niemal jak jeden z tych prezesów, co wstają o piątej rano na sesję *mindfulness*. Robię to jednak od miesiąca, w zachwycie i znurzeniu przepalając godziny na coś, co może buduje dziś mózg dziecka, ale czego ono nawet nie będzie pamiętać. Tak jak ja nie pamiętam tych zabranych mojej matce godzin, które zbudowały mnie. Taka to pozasystemowa ekonomia. Nieproduktywna produktywność. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

O. WACŁAW

Oszajca:
Tango i tenis

Zabierając się za mówienie zwłaszcza o niebie, warto pamiętać, że cokolwiek byśmy powiedzieli, będzie to prawdą i nieprawdą. Jeśli się o tym zapomni, natychmiast lepi się jakiegoś złotego cielca, obiecującego niebo na ziemi, która wcześniej niż później staje się piekłem. „Indoktrynacja jest niemoralna", jak mówi papież Leon. Na szczęście co i raz zjawiają się prorocy i psują robotę tym złotnikom, nawet za cenę życia (szubienice wciąż niejednego wprawiają w zachwyt). Dlatego Paweł Apostoł przypomina, że wszystko widzimy niby w lustrze, nie dość, że mętnie, to jeszcze na odwyrtkę. W rezultacie wciąż prowadzimy wojny i wojenki.

Przykładowo, w odwiecznym sporze z ewangelikami i prawosławnymi o realną, rzeczywistą, a nie tylko myślną obecność Chrystusa w Eucharystii do dziś, choć już spokojniej, głosimy, że najważniejszą częścią mszy są słowa konsekracji, gdyż dzięki nim, „na głos kapłana", chleb i wino stają się Ciałem i Krwią Chrystusa; bez tych słów „msza jest nieważna". Tak twierdząc, popadamy w sprzeczność nie tylko z pozostałymi chrześcijanami, ale i z sobą samymi. Kto pobożnie, czyli uważnie, śledził przebieg pogrzebu Franciszka, a następnie wybór Leona, w purpurowym tłumie kardynałów zauważył pewnie kilku ubranych inaczej, na czarno. Byli to biskupi starożytnych Kościołów wschodniej tradycji, w tym syromalabarskiej, przez wieki, na szczęście nieskutecznie, latynizowanej. W tym Kościele we mszy nie ma słów konsekracji, a przecież są oni Kościołem katolickim, związanym z Rzymem.

Papież Leon, już w pierwszym przemówieniu, dziękował Franciszkowi za przekształcanie struktur kościelnych w duchu wspólnotowym, synodalnym, który to ustrój zachowały Kościoły Wschodu i wskrzesiły Kościoły protestanckie. Nie musimy niczego wymyślać, sąsiedzi chętnie nam pomogą w tym powrocie do wspólnej tradycji. To, co mamy wspólnego, to stół, na nim chleb, wino, woda i wciąż jeszcze okopy. Biblijnym staro- i nowotestamentowym obrazem nieba jest uczta. Podobno prawodawca zakonu, do którego należy papież Leon XIV, św. Augustyn, mawiał: „Człowieku, naucz się tańczyć, bo w niebie aniołowie nie będą wiedzieli, co z tobą zrobić". Leon zasmakował w tenisie, Franciszek w tango. Smakując ziemskie radości, pewnie czują w nich smak nieba. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Miłość i przykazania?

„Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowałem. Trwajcie w miłości mojej! Jeśli będziecie zachowywać moje przykazania, będziecie trwać w miłości mojej, tak jak Ja zachowałem przykazania Ojca mego i trwam w Jego miłości. To wam powiedziałem, aby radość moja w was była i aby radość wasza była pełna" (J 15, 9-11) – te zdania Jezusa z Ostatniej Wieczerzy przywołano w liturgii w minionym tygodniu. Opisują one relację Boga z człowiekiem za pomocą trzech pojęć: miłość – przykazania – radość. Przyznajcie, że nie zawsze schodzą się one harmonijnie w naszym myśleniu. Miłość i przykazania? Przykazania i radość? Tymczasem Jezus opisuje tymi słowami najpierw swoją (!) relację z Ojcem. „Wszystko przekazał Mi Ojciec mój. Nikt też nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn" (zob. Mt 11, 27). Jezusowe doświadczenie miłości Ojca to doświadczenie obdarowania, i to wszystkim! Nie oznacza to, że otrzymał od Niego wszystko, co by tylko mógł zapragnąć: życie, zdrowie, pozycję, majątek, powodzenie, ludzką miłość... Chodzi o to, że to, co otrzymał, stało się dla Niego wszystkim! Już niczego więcej nie potrzebuje. Co to jest?

To wyjątkowa relacja. „Nikt nie zna Syna, tylko Ojciec, i Ojca nikt nie zna, tylko Syn". Nic się z nią nie równa. Ojciec nie daje Synowi „czegoś", daje Mu Siebie. W tej relacji stają się jednym. Więc pełnienie przykazań Ojca staje się oczywiste. Nie jest żadnym ciężarem. Jest potrzebą. „Moim pokarmem jest wypełnić wolę Tego, który Mnie posłał" (J 4, 32-34). Nie w poczuciu zniewolenia i rezygnacji, lecz w radości. Ten sam model relacji Jezus oferuje swoim uczniom. Najpierw deklaruje im miłość: „Ja was umiłowałem". Ta miłość jest obdarowaniem wszystkim: „Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie oddaje!". Daje życie. Dając wszystko, proponuje też relację wyjątkowej bliskości: „Już was nie nazywam sługami (...), ale nazwałem was przyjaciółmi, albowiem oznajmiłem wam wszystko" (J 15, 15).

Myślę, że ta sama logika i dyscyplina obowiązuje nas wszystkich w Kościele. W ewangelizacji nie wolno zaczynać od wymagań. A przecież tak chętnie stawiamy wymagania ludziom, którzy jeszcze nie otrzymali zaproszenia do przyjaznej relacji. Czy można się dziwić, że taka redukcja objawienia do wymagań nikomu nie przynosi radości? ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

Zdjęcie z reportażu „Życie codzienne polskich osadników na Ziemiach Odzyskanych". Dolny Śląsk, lata 70.

NIGDY NIE CZUŁEM SIĘ TU OBCO

JAN MIODEK, JĘZYKOZNAWCA:

Gdy 62 lata temu przyjechałem na studia do Wrocławia, słyszałem tu jeszcze pewne cechy regionalne języka. Z mowy kolejnych pokoleń już ich nie wychwytuję.

ANNA GOC, MAREK RABIJ: Gdy umawialiśmy się na rozmowę o polszczyźnie Ziem Odzyskanych, ostrzegał Pan, że jej cechą charakterystyczną jest brak cech charakterystycznych. Chcielibyśmy jednak podrążyć temat, bo za tym brakiem coś się przecież kryje.

PROF. JAN MIODEK: Dzisiaj na zajęciach, które prowadzę, gościłem studentów polonistyki ze Lwowa. Mówiłem im o polszczyźnie na ziemiach, które po 1945 roku znalazły się na terenach państwa polskiego. Głównie z perspektywy Śląska szeroko pojętego – tego, który w 1945 roku znalazł się w całości w Polsce: od Cieszyna do Zgorzelca.

MR: Nie mogę nie zapytać o ich reakcje. Rodzina mojej mamy przyjechała na Ziemie Odzyskane, do Głogowa, właśnie z okolic Lwowa.

Z pewnym zaskoczeniem przyjęli, że polszczyzna była na Śląsku przed 1945 rokiem. W stanie krystalicznym trwała i na Śląsku Cieszyńskim, i na całym Śląsku Górnym, a mówiąc o Śląsku Górnym, mam na myśli też Opolszczyznę, bo to jest historycznie Górny Śląsk.

Przywołam Ślązaków z Płużnicy koło Strzelec Opolskich, którzy w XIX wieku wyemigrowali za chlebem do Teksasu. Ich potomkowie przyjechali kilkanaście lat temu na finał konkursu gwarowego do Zabrza. Jedna z teksańskich Ślązaczek weszła na scenę i powiedziała tak: „Słuchejcie ludzie, nom arcybiskup Nossol przysłoł księdza Kurzaja, on jest tam naszym księdzym teroz. I on nom powiedzioł, że my som Poloki Ślązoki. Ale my przez cołki czas o sobie w Ameryce godali – tak nasi ojcowie, pradziadowie, że my som Poloki".

AG: Widzę, że zrobiła na Panu wrażenie.

Po pięciu wiekach formalnego nienależenia do Polski wyemigrowali z polską świadomością językową i narodową!

Zresztą Opolszczyzna najlepiej wypadła w plebiscycie po I wojnie. Za Polską opowiedzieli się głównie mieszkańcy wsi, za Niemcami – miast. Wielka polityka zadecydowała, że Polsce przypadła ostatecznie część przemysłowa. Wielu z tych, którzy byli najbardziej za Polską, zostało w Niemczech. Myślę zwłaszcza o powstańczych wsiach Opolszczyzny. Na pańskim, głogowskim, i moim, wrocławskim, Śląsku procesy germanizacyjne zaszły o wiele dalej. Co nie znaczy, że we Wrocławiu nie było przed II wojną kilku tysięcy Polaków. Nie znaczy to też, że w powiatach dolnośląskich graniczących z Wielkopolską, jak Syców, Milicz czy Oleśnica, nie było nikogo, kto by od urodzenia nie mówił po polsku.

MR: Na cmentarzu na przedmieściach Głogowa, na którym spoczywa mój ojciec i jego rodzice, zachowały się groby osób pochowanych jeszcze w latach 30. XX wieku. Nie rozebrano ich po wojnie, jak to się często zdarzało mogiłom niemieckim, bo widnieją na nich polskie imiona i nazwiska.

Nasz wrocławski językoznawca prof. Stanisław Bąk tuż po II wojnie wędrował po śląskich powiatach blisko Wielkopolski położonych i znajdował tam, jak mówił, ostatnich Mohikanów gwary śląskiej, czyli polskiej. Ale w przeciwieństwie do Śląska Górnego, czyli dzisiejszego województwa śląskiego i opolskiego, gdzie przed wojną polszczyzna była powszechnie spotykana i używana, Dolny Śląsk był prawie całkowicie zgermanizowany.

AG: Osiemdziesiąt lat temu trafiła tam pierwsza fala ludności ze wschodu Polski, która zajęła domy opuszczone przez Niemców. Łącznie sześć i pół miliona osób.

Utarło się, że głównie byli to przybysze ze Lwowa, ale najwięcej osób przyjechało na Dolny Śląsk z Polski centralnej. Na drugim miejscu była Wielkopolska, a na trzecim dopiero Kresy. Ściślej – te „lwowskie". Emigracja z Wileńszczyzny szła w kierunku Białegostoku, Gdańska i Torunia.

AG: W filmach o początkach osadnictwa na Ziemiach Odzyskanych – jak „Nikt nie woła" Kazimierza Kutza z 1960 czy „Rok spokojnego słońca" Krzysztofa Zanussiego z 1984 roku – nie słyszymy jednak prawie wcale gwar. Dlaczego?

Być może dlatego, że świadomość różnic językowych pojawiła się późno.

Osadnicy przywożą cechy regionalne swojej polszczyzny. Z tego tygla szybko wytworzyła się ponadregionalna odmiana języka, zbliżona do języka literackiego. Jeśli sięgnę pamięcią do rozlicznych spotkań, chociażby z młodzieżą szkolną w okolicznych miastach, prawie zawsze pada pytanie z sali: „czy to prawda, że na Dolnym Śląsku mówimy najlepszą polszczyzną?". Niezmiennie odpowiadam, że definiowanie najlepszości w języku nie jest łatwe. Ale jeśli mierzyć ją stopniem przylegania miejscowego języka do norm tak zwanego języka literackiego, które obowiązują w urzędach, szkole czy w mediach, to polszczyznę Ziem Odzyskanych można rzeczywiście nazwać najbliższą ideału.

MR: Widzę, że podobnie jak ja nie ma Pan problemu z posługiwaniem się tym terminem.

Ależ oczywiście. Wiemy, że Ziemie Odzyskane to termin ukuty na potrzeby powojennej propagandy, historycznie co najmniej dyskusyjny, ale mocno zakorzeniony w potocznym języku.

MR: Skoro mowa o propagandzie, to muszę zaznaczyć, że jako uczeń dolnośląskiej podstawówki w latach 80. nie miałem pojęcia, że polszczyzna jest tak bogata w regionalne odmiany. Oczywiście, uczono nas o gwarze góralskiej, śląskiej, chyba nawet o Kaszubach, ale te informacje podawano w ideologicznym sosie, który miał nas upewnić, że to wszystko językowe aberracje.

W innych regionach Polski robiono wtedy to samo. Pamiętam ostre interwencje niektórych nauczycieli, gdy uczeń mówił gwarą.

MR: Gwary były skutecznie tłamszone i wyciszane. Jednak w innych regionach Polski przetrwały. Dlaczego?

Dążenie do ujednolicenia języka na Ziemiach Odzyskanych mogło wynikać z podświadomej potrzeby integracji. Na Śląsku Górnym gwara przetrwała, bo język śląski jest językiem familijnym, nie służył integracji.

Nie słyszałem jednak, by Lwowiacy skarżyli się, że na Dolnym Śląsku tępiono taką czy inną cechę regionalną ich języka. Z tym gorzej mogłoby być właśnie na Górnym Śląsku, gdzie gwara gospodarza była wyrazista. ↦

ZENON ŻYBURTOWICZ / AFA PIXX / PAP

↦ **MR: Czy to nie groteskowe, że region, który nie wykształcił własnej tożsamości językowej, z góry patrzył na te części kraju, które taką tradycję zachowały?**

Cóż mogę powiedzieć? Wiele można było wówczas edukacyjnie wygrać, ale nie zrobiono tego z pobudek politycznych. Nie przesadzałbym jednak z tym brakiem poszanowania dla tradycji językowych na Ziemiach Odzyskanych. Widać je choćby w procesie nadawania polskich nazw poniemieckim miejscowościom.

AG: Przez pięć lat działania Komisji Ustalania Nazw Miejscowości udało się ustalić 32 tysiące nowych nazw.

Profesor Stanisław Rospond, członek komisji, chętnie opowiadał mi o kulisach prac. Często ścierały się dwie koncepcje nazewnicze, np. czy to ma być Legnica, czy Lignica, Kudowa czy Chudoba, a może Chudobowice. Jeśli państwo chcą, to opowiem, jak polszczyzna wracała na Ziemiach Odzyskanych na drogowskazy.

MR: Grzechem by było nie skorzystać.

Zacznijmy od tego, że choć dopiero w 1945 roku Wrocław, Opole czy Gliwice znalazły się w Polsce, to nazwy tych miast w takich brzmieniach zawsze funkcjonowały w języku polskim.

Moi rodzice, którzy przyszli na świat w czasie I wojny światowej, wspominali nie raz, że przed 1939 rokiem nikt w Polsce nie mówił o Breslau, Oppeln czy Gleiwitz. Niemcy także nie dokonywali zakłamań germanizacyjnych. Nie negowali słowiańskości nazw tych miast, substytuowali je tylko pod system morfologiczny swojego języka. Każdy przeciętnie wykształcony Niemiec wie także, że słowiańskie z pochodzenia są takie nazwy miejscowe jak Berlin, czyli pierwotny Bralin, Lipsk, Drezno, Rostock czy Poczdam.

AG: Sytuacja robi się z naszego punktu widzenia ciekawsza w momencie, kiedy zaczynamy mówić o małych miejscowościach. Zwłaszcza takich, które nigdy nie miały słowiańskich nazw.

Nie tylko małych. Na przykład z Legnicą był już pewien kłopot, bo niemiecki substytut Liegnitz sugerował polskie brzmienie Lignica. Ostatecznie komisja przeforsowała jednak Legnicę z rdzeniem „leg-", wskazującym topograficzny charakter tej nazwy, oznaczającej „rozległe, równinne pole".

ŁUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL

PROF. JAN MIODEK jest językoznawcą, wykładowcą Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie przez wiele lat kierował Instytutem Filologii Polskiej. Członek Rady Języka Polskiego przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk.

Gdy komisja nazewnicza miała do czynienia z historycznymi zapisami polskimi i niemieckimi, wybierała – oczywiście – polski: Środę Śląską, a nie Neumarkt, który można by było skalkować i stworzyć Nowy Targ. Duszniki, a nie Reinerz, Wałbrzych, a nie Waldenburg.

Blisko naszych stron – teraz mówię do pani i do siebie, jako ludzi, którzy się wychowywali na Górnym Śląsku – leży Kluczbork. Jestem od pani dwa razy starszy i doskonale pamiętam, jak po wojnie jeszcze wiele osób mówiło Kluczborek.

AG: Nie słyszałam tej wariacji nazwy.

Kluczborek brzmiał bardziej swojsko, jak Oblęgorek. Atoli komisja na zasadzie konsekwencji morfologicznej postawiła na Kluczbork. Dlaczego? Bo nikt nie negował niemieckiego pochodzenia tej nazwy. A skoro polskim substytutem niemieckiej z pochodzenia nazwy Marienburg jest Malbork, a nie Malborek, to polskim odpowiednikiem nazwy Kreuzburg, czyli twierdzy krzyżowców, powinien być Kluczbork, a nie Kluczborek.

Byłem kiedyś w urokliwym miasteczku Mirsk koło Lwówka Śląskiego. Po spotkaniu z mieszkańcami jeden z najstarszych nauczycieli, który mieszkał tam już w 1945 roku, zapytał: „Czy pan profesor wie, że my nie od razu byliśmy Mirskiem? Myśmy się nazywali najpierw Spokojna Góra". Można sobie wyobrazić, co tam się wydarzyło. Przyjezdni zobaczyli niemiecką nazwę Friedberg. „Friede" – to pokój, „berg" – góra, więc nazwali swoje miejsce „Spokojną Górą".

AG: Co na to Komisja Ustalania Nazw Miejscowości?

Od razu muszę powiedzieć w imieniu nieżyjących już członków komisji, że oni nie lubili tego typu kalk językowych, więc i „Spokojna Góra" musiała nie dawać im spokoju. Sięgnęli dlatego po staropolski „mir", czyli pokój, swojski przyrostek „-sk" i tak powstał dzisiejszy Mirsk.

MR: Proszę sobie wyobrazić małą wieś przytuloną do Głogowa, która w 1945 roku nazywa się Weisenau. Kilka lat później zostaje przemianowana na Słone. Mieszkańcy mówią jednak na nią Słona: „jadę do Słonej", „byłem w Słonej". Słone brzmi wręcz jak dziwadło. Co to Panu mówi?

Tu sprawa jest prosta. Jeśli chodzi o brzmienia przymiotnikowe, mamy swobodę wyboru paradygmatu deklinacyjnego. Proszę zobaczyć, że z jednej strony będzie Warszawa, Częstochowa i postacie fleksyjne Warszawy, Częstochowy, a z drugiej strony Kolbuszowa i Limanowa i formy Kolbuszowej, Limanowej.

Co zrobić ze Słoną? Należy uszanować uzus, czyli zwyczaj miejscowej ludności.

MR: Wyobraźmy sobie małą miejscowość, w której po wojnie zostało kilka niemieckich rodzin i przyjeżdżają przesiedleńcy: ze Lwowa, z Wielkopolski i z Polski centralnej.

Gdy 62 lata temu przyjechałem na studia do Wrocławia, słyszałem jeszcze, zwłaszcza w podwrocławskich miejscowościach, pewne cechy regionalne. Najstarsi mieszkańcy Kresów, i to być może także pan słyszał w swoim domu rodzinnym, zachowali na przykład dźwięczne „h" w słowach takich, jak Halina, Helena, błahy, wahadło, hańba. Z języka ludzi młodych – potomków Kresowiaków – nie wychwytuję już cech kresowych. Opowiadam studentom, że mógłbym przez dobę siedzieć na dworcu we Wrocławiu, w Bolesławcu czy w Legnicy i z megafonu nie doczekałbym się żadnej fonetycznej cechy regionalnej. Wystarczyłoby jednak parę minut na dworcu

Warszawa Centralna, by usłyszeć zapowiedź pociągu do „Lublyna", w Gdańsku zapowiedź pociągu z Pruszcza „Gdańskego", a w Katowicach dowiedziałbym się być może, że pociąg z Krakowa „przijedzie" z dziesięciominutowym „opóśnieniem", bo nawet inteligentowi śląskiemu trudno się wyzbyć w wymowie tego charakterystycznego „rzi".

AG: Czy za ginącymi cechami języka osadników mogła stać niepewność, a może i niepokój, związane z byciem zaakceptowanym w nowym miejscu?

Przyjechałem do Wrocławia zaledwie 18 lat po zakończeniu wojny. Ani przez pół sekundy nie czułem się tu obco. Moi rodzice, którzy po 1945 roku zostali w Tarnowskich Górach, na Górnym Śląsku, nie przekazali mi żadnych lęków. Byłem szczęśliwy, że zamieszkałem w cudownym mieście, że mogłem chodzić do kina i teatru, na mecze pierwszoligowe i mistrzostwa Europy w koszykówce. Zachłysnąłem się Wrocławiem.

Osadnicy przywożą cechy regionalne swojej polszczyzny. Z tego tygla wytworzyła się **ponadregionalna odmiana języka.**

To były odczucia zupełnie inne niż te, o których opowiadało wielu kolegów wzrastających we Wrocławiu od 1945 roku i zwierzających mi się z lęków swoich rodziców i własnych. Nie zapomnę do końca życia rozmowy z taksówkarzem z Wrocławia, który opowiadał mi, że gdy przyjechali z rodzicami do tego miasta w 1945 roku, mogli zająć willę na Oporowie, na Biskupinie czy na Karłowicach, ale ojciec wybrał mieszkanie w Śródmieściu – pokój z kuchnią i ubikacją na półpiętrze. „Zajęcie willi mogło wywołać gniew Niemców, gdyby tutaj wrócili, zamieszkanie w skromnym lokum było mniej groźne" – rozumował ojciec mego rozmówcy.

AG: Dla wielu – jak opowiadała w jednym z wywiadów Karolina Kuszyk, autorka książki reporterskiej „Poniemieckie", która urodziła się w Legnicy w 1977 roku – świadomość o poprzednich właścicielach domu, Niemcach, była przez lata nieodkryta. Dopiero odnalezienie przedmiotów – misy na chleb z niemieckimi napisami – stawało się pretekstem do zadawania pytań o poprzednich właścicieli. Czy jako siedemnastolatek miał Pan świadomość, że jedzie Pan do Wrocławia, czyli miasta, które przez kilkaset lat należało do Niemiec, a żywioł polski stanowił tam mniejszość?

Miałem, ale być może właśnie dlatego, że nie przyjechałem zaraz po wojnie, nie przeżywałem, jak już powiedziałem, żadnego strachu.

©℗ Rozmawiali ANNA GOC i MAREK RABIJ

REKLAMA

MAGAZYN wyborcza

Tworzymy go my i Wy:
dziennikarze, redaktorzy i Czytelnicy.

Opisujemy wydarzenia, poglądy i emocje.
Zawsze prawdziwe.

Zachęcamy do refleksji i inspirujemy.
Czytasz. Myślisz. Rozmawiasz.

MAGAZYN wyborcza

szukaj w punktach sprzedaży prasy przez cały tydzień!

NAUKA

ZABAWA W CHOWANEGO

W świecie pełnym zagrożeń i konkurencji przeżycie lub złapanie ofiary zależy często od tego, czy osobniki potrafią wtopić się w otoczenie i oszukać inne zwierzęta. Tę sztukę wyjątkowo rozwinęły pająki.

MARIUSZ GOGÓL

Ziemia jest domem dla milionów gatunków zwierząt. Osobniki należące do każdego z nich potrafią znaleźć dla siebie bezpieczny kąt – w przeciwnym razie już by ich z nami nie było. Ale ptaki ukryte w gęstwinach, ryby między koralowcami czy owady w niewielkich jamkach nie mogą tkwić tam wiecznie. Trzeba przecież eksplorować okolicę, by znaleźć pożywienie, partnera do rozrodu albo bardziej sprzyjające warunki do życia. Mimo że za rogiem kryje się tyle samo okazji do napełnienia żołądka, co czai się niebezpieczeństw, to podjęcie ryzyka jest konieczne. Jednym z ewolucyjnych wynalazków, który zmniejsza to ryzyko i ułatwia poruszanie się w pełnym zagrożeń i konkurencji świecie, jest zdolność do kamuflażu.

Przetrwają zakamuflowani

W nowożytnej biologii refleksja na temat kamuflażu rozpoczęła się pod koniec XVIII w. W krótkich słowach pisał o nim Erasmus Darwin, brytyjski przyrodnik i poeta, jeszcze przed przyjściem na świat swojego najsłynniejszego wnuka. Dziadek Karola Darwina zauważył, że „kolory wielu zwierząt wydają się dostosowane do ich celów ukrywania się, albo w celu uniknięcia niebezpieczeństwa, albo w celu rzucenia się na ofiarę".

Kilkadziesiąt lat później, gdy Karol Darwin i Alfred Wallace sformułowali teorię ewolucji, zdolność do kamuflażu zaczęła być postrzegana jako jedna z najbardziej oczywistych adaptacji do środowiska. Kamuflażem zainteresował się m.in. Henry Walter Bates, brytyjski przyrodnik prowadzący badania w Amazonii. W 1861 r. – dwa lata po publikacji przez Darwina „O powstawaniu gatunków" – Bates opublikował raport ze swoich badań, w którym zauważył, że niegroźne gatunki zwierząt mogły ewoluować tak, by naśladować sygnały ostrzegawcze zwierząt niebezpiecznych (np. zupełnie jadalne dla ptaków gatunki motyli upodobniły się wyglądem do gatunków wydzielających trujące substancje, dzięki czemu drapieżniki wolą unikać jednych i drugich). Dziś ten ewolucyjny mechanizm nazywamy mimikrą batezjańską.

Inni badacze, m.in. Edward Poulton oraz Abbott Thayer i Hugh Cott, przeanalizowali kolejne przykłady kamuflażu – pierwszy z nich opisywał to, jak zwierzęta potrafią wtapiać się w tło, co pozwala im zbliżać się do potencjalnych ofiar, dwaj ostatni debatowali nad tym, w jaki sposób ubarwienie zwierzęcia sprawia, że zacierają się

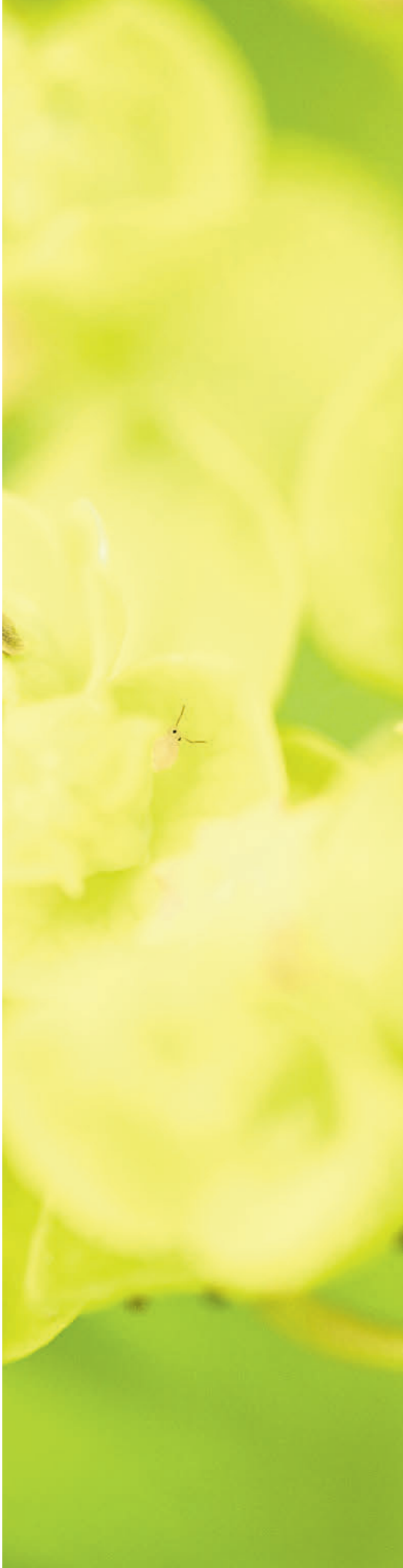

BILDAGENTUR ZOONAR GMBH / SHUTTERSTOCK

jego kontury. 500-stronicowa książka Cotta „Adaptive Coloration in Animals" była nie tylko doskonałym kompendium współczesnej wiedzy na temat kamuflażu u zwierząt, ale też zainspirowała liczne badania i projekty wdrożeniowe, w których inżynierowie starali się naśladować rozwiązania spotykane w naturze. Bez wątpienia na oddziaływanie tej książki miał fakt, że ukazała się w 1940 r., podczas drugiej wojny światowej.

Zoolodzy Martin Stevens i Sami Merilaita pisali w 2008 r., że po książce Cotta badania nad kamuflażem zwolniły na kilka dekad – i dopiero w obecnym stuleciu eksplodowały różnorodnością.

Pięćdziesiąt tysięcy oszustów

Wśród mistrzów ukrywania się w świecie zwierząt można wskazać pająki. Te zróżnicowane pod względem rozmiarów ciała i stylu życia stawonogi odznaczają się nie tylko wrodzonym sprytem, ale też finezją. Od niepamiętnych czasów tak właśnie widzieli je ludzie. W tradycji muzułmańskiej sieć tkana przez pająka w jaskini zmyliła żołnierzy ścigających Mahometa. W mitologii afrykańskiej Anansi – postać przedstawiana jako pająk, jest uosobieniem sprytu i zdolności do manipulacji. Dziś wspomniane cechy mogą potwierdzić także biolodzy.

Sztukę kamuflażu pająki rozwinęły w kilku kierunkach. Umiejętnie grają nie tylko kolorem swojego ciała, ale także potrafią naśladować inne zwierzęta czy obiekty, a nawet ukrywać swoje sieci, manipulując osądem potencjalnych ofiar. Wydaje się, że należą do nich także naukowcy. Od 1757 r. opisano ich ponad 50 tys. gatunków. W 2022 r., gdy do baz danych pod numerem 50 000 trafił wywodzący się z Ameryki Południowej gatunek *Guriurius minuano*, Muzeum Historii Naturalnej w Bernie, które publikuje World Spider Catalog, oszacowało w komunikacie prasowym, że podwojenie liczby znanych gatunków pająków zajmie następne sto lat. To sporo, biorąc pod ↦

Samice pająka kwietnika (Misumena vatia) wyczekują na ofiary, udając część kwiatu.

↦ uwagę to, że te stworzenia obecne są na każdym kontynencie oraz jak wiele z nich musi jeszcze czekać na odkrycie.

Mechanizm ukrywania się pająków może wydawać się tak prosty, jak jego rola. Ale sprawa się komplikuje, gdy uświadomimy sobie, że zachowanie pająków, ich kolor czy tworzone struktury muszą być niewidzialne dla jednych zwierząt, ale nie dla innych – potencjalnych partnerów do rozrodu. Kamuflaż musi więc brać pod uwagę różne zdolności percepcji.

To nie jest kwiat!

W Australii pośród gałęzi i krzewów żyje niewielki, niegroźny dla ludzi pająk. Jest on spokrewniony z naszym żółtobrązowym krzyżakiem ogrodowym, który na odwłoku, jak sugeruje nazwa, ma charakterystyczny biały krzyż. Jednak u *Dolophones conifera* nie można dostrzec charakterystycznego znaku, a raczej nieład plam, w barwach przypominających łuszczącą się korę drzewa. W otoczeniu roślinnym można go nie zauważyć nie tylko dzięki ubarwieniu, ale także zachowaniu. Przedstawiciele tego gatunku potrafią niemalże owijać się wokół gałęzi drzew i krzewów. W tej akrobacji pomaga im budowa ciała. Jej dolna część jest wklęsła, dlatego odwłok idealnie dopasowuje się do krzywizny rośliny. Górna ma wygląd stożkowatej tarczy złożonej z serii okrągławych dysków ze szczeliną w środku. Wzór i nieco zróżnicowany wewnątrzgatunkowo kolor pomaga zlać się z miejscem ukrycia. *Dolophones* robi to nadzwyczaj skutecznie. Według specjalistów z australijskiej agencji naukowej CSIRO, pająk jest niemal niemożliwy do zobaczenia. Dzięki temu pozostając owinięty na gałęzi w ciągu dnia, unika ataku ptaków i innych owadożernych zwierząt. Wychodzi na żer po zachodzie słońca, kryjąc się pod osłoną nocy. Tka wówczas pionowe sieci o kulistym kształcie, w które łapie swoje ofiary.

W niektórych przypadkach stałe ubarwienie powłok ciała nie wystarczy do zapewnienia sobie wystarczającego kamuflażu. W dodatkowe narzędzia ewolucja wyposażyła m.in. pająka *Misumena vatia*. Żyje on w Azji, Ameryce Północnej i Europie – także w Polsce. W trakcie spaceru pająk kwietnik – jak nazywamy go w naszym języku – może być minięty bezrefleksyjnie, nie tylko ze względu na niewielkie rozmiary, ale także świetne dopasowanie do kwiatów, na których można go spotkać. Do jego ulubionych należą między innymi powój. Gdy siada na jego szczycie, upodabnia swoje odnóża do pręcików, a szczęki do słupka.

Samice tego gatunku dodatkowo potrafią dostosować kolor ciała do miejsca ukrycia. Nie jest to jednak uniwersalna zdolność – żółte pająki wybierają tylko kwiaty o żółtej barwie, jednak te o białym ciele potrafią wtopić się także w żółte płatki. Zmiana koloru nie zachodzi błyskawicznie. Naukowcy z Uniwersytetu w Tours zaobserwowali, że dzieje się to w ciągu 10-25 dni. Odcienie nowo przybieranego koloru tworzone są przez skomplikowany mechanizm łączący chemiczne pigmenty, kryształki guaniny i sterujące nimi procesy komórkowe. Istotne jest także natężenie światła. Po osiedleniu się pająka na żółtym kwiecie proces adaptacji ubarwienia zaczyna się po dobie. Możliwe jest także odwrócenie tego zjawiska – powrót do poprzedniej barwy następuje już w ciągu kilku godzin. Czas nie wydaje się ich sprzymierzeńcem, ale są cierpliwe. A spokój popłaca. Zastygłe w bezruchu, wyczekują swojej ofiary, która skusi się na nektar, i skutecznie atakują, jak tylko usiądzie obok nich.

Warto udawać mrówkę

Peckhamia picata to małe – kilkumilimetrowej długości – pająki skaczące z Ameryki Północnej. Z wszystkich funkcjonujących nazw to właśnie ta najtrafniej opisuje ich sposób polowania. Zamiast rozpościerać starannie tkane sieci, polują one aktywnie, polegając na lekkoatletycznych umiejętnościach. Jeśli zobaczą w odpowiedniej odległości potencjalną ofiarę – owada lub innego pająka – skaczą.

Zaskoczenie niespodziewającego się rychłej śmierci bezkręgowca potęgowane jest przez nietuzinkowe „przebranie". Mimo że w wyglądzie *P. picata* można wyróżnić wszystkie elementy budowy pająka, ich ciała wydają się być oryginalnie skrojone. Dobrze widoczne zwężenie na odwłoku do złudzenia przypomina talię, która pozornie dzieli dwusegmentowe ciała na trzy części. Całości efektu dopełniają odpowiednia barwa i plamy po bokach głowy, przypominające stosunkowo duże oczy. Całe ciało jest też nienaturalnie jak na pająka wydłużone.

Taki schemat budowy ciała do złudzenia przypomina inne zwierzę – *Camponotus nearcticus*. Jest to mrówka cieśla. Jak sugeruje jej nazwa, szczególnie polubiła ona konary, kłody i korę drzew, które stały się jej schronieniem. *P. picata* żyje w podobnych obszarach do tych, które zamieszkują mrówki. Dzięki temu skuteczniej oszukują potencjalnych napastników – inne większe pająki, osy bądź ptaki. Żaden z nich nie chce ryzykować spotkania z agresywnymi owadami.

Podszywający się pod mrówkę pająk zmienia również swój zapach. W sytuacji kiedy bezkręgowiec pachnie zgodnie ze swoją systematyczną przynależnością, bliższy kontakt go dekonspiruje. Dzieje się tak niezależnie od perfekcyjności przebrania czy naśladowania zachowania. Imitowanie zapachu innego organizmu jest jednak problematyczne i wymaga dodatkowych wydatków energetycznych. Dlatego *Peckhamia picata* przyjął łatwiejszą, choć w praktyce równie skuteczną drogę – pachnie neutralnie. Pająk jest chemicznie niewidoczny dla potencjalnych agresorów z racji uboższego składu cząsteczek jego kutykuli. Zespół naukowców z USA, Indii i Niemiec pokazał, że drapieżne osy po zbadaniu czułkami chętniej wybierają na ofiary inne skaczące pająki niż *P. picata*.

Jeszcze bardziej zaawansowanymi umiejętnościami naśladowania mrówek mogą pochwalić się pająki *Synemosyna formica*. Żyją one na Karaibach i w Ameryce Północnej, gdzie na różnych etapach rozwoju imitują nie jeden, a dwa różne gatunki. Gdy pająki są młode, z góry i boku przypominają wyglądem mrówki akrobatki (rodzaj *Crematogaster*). Są one znane z charakterystycznych gniazd przypominających kokony umieszczone w koronach drzew. Z kolei dorosłe osobniki pająka przypominają mrówki cieśle (znany nam już rodzaj *Camponotus*). Całość przebrania komplikuje fakt, że mrówkopodobne ciało prezentują tylko wtedy, kiedy patrzy się na nie z góry – z perspektywy drapieżnika. Z boku natomiast zachowują bardziej pająkowaty kształt. Taka ograniczona zdolność imitacji może być kompromisem między zapewnieniem bezpieczeństwa a zachowaniem atrakcyjności w tańcach godowych.

Manekin i ptasie odchody

Głęboko w lasach Azji Południowo-Wschodniej można spotkać *Cyclosa ginnaga* – pająka o srebrnym ubarwieniu. Taki kolor ciała nie wydaje się szczególnie użytecznym kamuflażem, kiedy tkwi się na transparentnej sieci na tle zielonych roślin. Sposób maskowania tego gatunku jest jednak bardziej złożony. Pająk ozdabia swoją sieć jedwabistą nitką, plotąc spiralę. Przypomina ona nieco kawałek namoczonej w wodzie cienkiej chusteczki higienicznej. Pająk na tej strukturze do złudzenia przypomina... ptasie odchody. Najprawdopodobniej chce w ten sposób oszukać drapieżne osy. Spektrofotometryczne badania zespołu z Tunghai University oraz Instytutu Badania Gatunków Endemicznych w Jiji potwierdziły, że drapieżne błonówki faktycznie mogą zostać wyprowadzone na manowce. Kiedy naukowcy porównywali współczynnik odbicia światła zakamuflowanego pająka z prawdziwymi odchodami, stwierdzili, że wyniki nie różnią się od siebie. W złożonym eksperymencie, gdzie obserwowano sieci z odpowiednio dobranymi chusteczkowatymi ornamentami i odchodami ptaków, stwierdzono, że zaciemnienie pajęczego dzieła zwiększało prawdopodobieństwo ataku błonkówki o 40 proc.

Cyclosa ginnaga nie jest pod tym względem wyjątkiem. Gatunki należące do tego samego rodzaju pająków są równie pomysłowe. Niektóre ozdabiają sieci padliną ofiar czy materiałem roślinnym. Jeden z amazońskich przedstawicieli tworzy nawet z roślinności i martwych owadów... imitację samego siebie. Kształt pająka powstaje na specjalnych nitkach i jest na tyle precyzyjny, że potrafi oszukać nawet człowieka. Tak też było podczas pierwszego kontaktu z fantomem. Natrafił na niego przyrodnik Phil Torres, gdy spacerował blisko peruwiańskiego Centrum Badawczego Tambopata. Z perspektywy kilkudziesięciu centymetrów twór przypominał zasuszonego pająka. Co ciekawe, imitacja była większa niż „oryginał", który znajdował się nieopodal w ukryciu.

Fizyka pajęczej sieci

Pajęcze sieci to inżynieryjne arcydzieła. Grubość nici jest kilkadziesiąt razy cieńsza od grubego włosa, w odpowiednim oświetleniu dodatkowo świetnie się kamufluje. Także ich lokalizacja nie ułatwia dostrzeżenia. Liczne pająki tkają sieci w miejscach takich jak liście czy gałęzie, co wzmacnia efekt maskujący. Różne typy i konstrukcje sieci potrafią świetnie dostosowywać się do otoczenia dzięki tworzonym kształtom – promienistym, splątanym czy nawet przypominającym wieczko, pod którym pająk może się ukryć. Ta ostatnia struktura typowa jest dla pajęczej rodziny *Ctenizidae*.

KATARINA CHRISTENSON / SHUTTERSTOCK

Zamieszkujące Australię pająki *Dolophones* spędzają dzień owinięte wokół gałęzi. Pomaga im w tym nietypowa budowa ciała.

Jednym z mistrzów plecenia sieci jest pająk *Theridiosoma gemmosum*. Można go spotkać na szerokim obszarze – od Ameryki Północnej, przez Europę, aż po Azję Centralną. Jednak mimo rozległego zasięgu trudno na niego trafić. Jest organizmem rzadkim. Problem ze spotkaniem wynika być może także z niepozornej wielkości ciała (2 mm) i skrytego trybu życia w porośniętych i wilgotnych siedliskach. Ten pająk o błyszczącym odwłoku tworzy kolistą sieć o średnicy 10 cm, której konstrukcja zniekształcona jest optycznie. Promienie sieci nie łączą się tak, jak w kojarzących się nam pajęczych konstrukcjach, które spotykamy np. w parkach. Zanim nici połączą się na środku pajęczyny, grupują się ze sobą po dwie lub trzy. Jedna także trzymana jest przez pająka. Jej napięcie układa się w stożek, który wygląda jak wywrócony na lewą stronę parasol. Potencjalna ofiara przelatując obok zniekształconej sieci, nie jest w stanie jej dostrzec. Konstrukcja wymyka się zdolnościom percepcji potencjalnej ofiary, ponieważ jej środek odsunięty jest o kilka centymetrów względem płaszczyzny sieci. Naukowcy z University of Akron zauważyli, że pająki nasłuchując wolno latających owadów, w odpowiednim momencie puszczają naciągniętą konstrukcję. Sieć porusza się nawet z prędkością jednego metra na sekundę i w ciągu 38 milisekund łapie nieszczęśnika.

Jeszcze inne zdolności rozwinął u siebie *Nephila clavipes*, którego można spotkać w obu Amerykach. Jest to duży, 10-centymetrowy pająk o charakterystycznej czerwono-brązowo-żółtej barwie. Tworzy on asymetryczne sieci o złotawym kolorze, które przyczepia do niskich drzew i krzewów. Badania pajęczej przędzy pokazały, że w jego sieciach dochodzi do zmniejszonego odbicia światła w zakresie ultrafioletu. Mimo że dla człowieka ta delikatna różnica w sposobie tworzenia pajęczego jedwabiu nie odgrywa zasadniczej roli, to owady są wrażliwe na ten zakres widma. Dzięki zwiększonej absorpcji światła oraz jego rozpraszaniu pajęczyny tych gatunków są gorzej widoczne dla swych ofiar. Podobne zdolności rozwinął także australijski *Argiope keyserlingi* zwany krzyżakiem św. Andrzeja. Można spotkać go w podmiejskich parkach i ogrodach.

Kamuflaż nie jest tylko sprytnym przebraniem – to wyrafinowany mechanizm ewolucyjny, który pozwala zwierzętom przetrwać w świecie pełnym zagrożeń i wyzwań. W tworzeniu rozmaitych strategii oszustw kreatywność ewolucji nie zna granic, a jej wytwory, doskonalone w kolejnych pokoleniach, wydają się wykonane z zegarmistrzowską precyzją. Najmniejszy szczegół ma istotne znaczenie, niewielkie odchylenia od planu mogą zadecydować o porażce. Przetrwanie to przecież sztuka, która wymaga zarówno sprytu, jak i precyzji.

© MARIUSZ GOGÓL

TYGODNIK POWSZECHNY

InPost

Kup prenumeratę

Dostawa przez Paczkomat® InPost za darmo

- Dostaniesz gratis naszą firmową torbę
- Dostęp do serwisu online za **1 zł**
- Cena egzemplarza do **2 zł** taniej niż w kiosku
- Łącznie oszczędzasz do **450 zł** rocznie

zamów:

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ELIZA

Kącka: *Szkoda, że musiałam na Karola*

Tłuszcz, pociąg regionalny mazowiecki. Konduktor: „Szanowni państwo, z przyczyn niezależnych doszło do zatrzymania pociągu". Gość spod drzwi, nerwowo: „Widzimy. Kwadrans temu wam doszło". Każą nam przesiąść się do innego składu. Siedzimy w nowym, czekamy. Idzie drugi konduktor. Starsza spod okna: „Wymagam uzasadnienia". „Że co pani chce?". „Powodu zatrzymania". „Zmiana składu". „To nie powód. To już piąty raz w tym miesiącu". Gość z rowerem do starszej: „Uzasadnienia pani chce? W Polsce???". Starsza: „Będę reklamować bilet". Kobieta z koszykiem jaj: „Co se pani nerwy strzępi". „Tak nie może być!". „Co nie może, jak jest. Dojedziem kiedyś". Staruszek z laską: „Ja pani doradzę. Moja żona świętej pamięci mówiła, że trzeba z pokorą znosić i ofiarować za grzeszników". Starsza: „Zatrzymanie składu? Ludzie, ja nie chcę rekolekcji, ja chcę reklamacji!". Z peronu dobiega: „Ugrzęzłam w Tłuszczu, w Tłuszczu ugrzęzłam!". Idzie drugi konduktor. Starsza: „Miałam być w Warszawie na czas". Konduktor: „Też mam swoje marzenia".

Chrzęsne, wysiadam na dworcu i ruszam ulicą Karskiej ku Pałacowej. Teren otwarty, niskopienny (domy szpalerem), z rzadka dróżki boczne – nieliczne dopływy głównej arterii. Zbaczam w jedną. Inaczej się tu gospodaruje przestrzenią niż w warszawskim ścisku: jakby to akurat było tanie. Może tylko to. Staję przy ogrodzeniu. W głębi podwórka wózek inwalidzki przy nadprutym pluszowym fotelu. A we wnęce fotela staruszka – drobna, nieruchoma, zapadła w siebie jak lalka ze szmatek. „Żyje?" – myślę i nie mogę odejść. Pies wyczuł intruza. Z domu wybiegł gość w moim wieku, w wymiętej koszulce: „Ahaha, nareszcie coś się dzieje". Śmieję się. „Przepraszam, wszyscy jesteśmy niedomyci, za dużo zmartwień". „Jasne". „Pani nie stąd?". „Nie, na konferencję". „A, tam, te pałacyki?". „Ano". „No i fajnie". Pies w podnieceniu ciągle napiera na siatkę. Łapie go i trzyma w ramionach: „Masz się z nami, co? Staruchy się nie ruszają, to musisz na kogoś zapolować". Oboje się śmiejemy. A on raptem zaczyna płakać: „To nie jest dom dla młodych psów". I znienacka stężała powaga: „To nie jest dom dla życia". „Uhm, jasne". Spojrzał na mnie kategorycznie: „My tu, pani, nie do patrzenia. My daleki kraj". Cofnął się w głąb podwórka. „Chodź, dziecinko" – wziął staruszkę na ręce i zatrzasnął drzwi.

Tramwaj 11, dwie starsze. „Druga tura będzie". „Pani Olu, miałam nadzieję, że zmądrzeli". „Nerwów nie mam". „No ale przecież widzą, kto jest kim...". „Ja pani powiem, dla mnie niesamowite, że ludzi te gęby nie odpychają". „Prawda? Toż znać od razu...". „Ja się pani zwierzę publicznie: mnie Braun się podoba". „O!". „Mężczyzna! I taką ma mimikę naturalną. I polszczyznę! Wie pani, człowiek się czuje u siebie". „W rodzinie". „Właśnie! Bo ja z Karolem mam problem w tych kwestiach. Jakoś mnie jego uśmiech niepokoi...". „Aha". „Wiadomo, też jest moralny, bo nasz...". „Nasz". „...ale jakby prezes naznaczył Brauna, to ja bym go brała". „Aż tak?". „Bije od niego spokój". „Tak!". „A jak się zezłości, to jak Jezus w świątyni". „Z gaśnicą". „Szkoda, że musiałam na Karola". „Prezes wie, co robi". „Ale kiedyś może...". „Może przyjdzie czas na młodych...". „Grzegorz pokaże". „Oby został Ministrem Oświaty". „Na pewno, z tą natchnioną twarzą...". „I pomyśleć, że jakaś żona ma szczęście mieć takiego męża". „Dla wyrazu oczu". „Zarostu".

Autobus 118, dwie w wieku wczesnostudenckim. „Zaręczyliście się z Maćkiem?". „No tak". „Jej, Marta, po co?". „No nie wiem, ja go biorę serio w sumie". „A to do tego są konieczne zaręczyny?". „Niby nie, ale ja jestem staroświecka w sumie. Wolę z papierem". „A twoja mama?". „Daj spokój, już czeka na dzieci". „A ty?". „Nie chcę rodzić w sumie. Dzieci są obrzydliwe". „No co ty!". „Są. Poza tym umrę przy porodzie". „Eee, weźmiesz pigułki na lęk". „Są takie?". „Nie bierzesz psychotropów?!". „Staroświecka jestem w sumie". Pauza. „Ech. Pogadaj z matką, żeby cię nie poganiała, ok?". „Nie. Wyjadę". „Jejku, Marta, gdzie?!". „Ja wyjadę, jak mnie zacznie dociskać". „Lepiej pogadać". „Nie da się. Matka jest psycholożką". „No to chyba da się?". „Nie, ty nie wiesz". „Czego?". Pauza. „Nigdy nie będę gotowa". „Na co?". „Na jej wiedzę o mnie".

Pociąg do Krakowa, rodzice z dwójką dzieci. Ojciec: „Psa nie, psem się nie będę zajmował". Synek: „Ja się zajmę". „Akurat, o nic nie dbasz". „O psa będę. Kasia mówiła, że w schronisku...". Matka: „Mowy nie ma! Jeszcze mi choroby potrzebne". „One są czyste!". Ojciec: „Słuchaj, Bartosz, jak chcesz mieć coś żywego, to zgodzę się na ryby". „Ryby?". „Akwarium". „Ale sam chwaliłeś ciocię, jak przygarnęła bezdomnego pieska". „To ty przygarniesz bezdomną rybkę". „To nie tak, pieski szukają domu". „A ryba nie? U kogo będzie pływać?".

Metro, jazda na Młociny. Dwie w moim wieku. „Nadrobimy. Musiałam jechać do Aśki na komunię". „Ale ty niewierząca jesteś". „Co z tego? Ona też". „To po co jej ta komunia?". „Oj wiesz, mąż uznał, że Pawełek będzie miał odhaczone. Na wypadek ślubu". „Już go swatają?". „No nie, haha, ale chodzi o to, żeby miał później wolność. Jak kogoś pozna". „Aha". „Aśka mnie przekonała, że jej się sakramenty przydały". „To oni chodzą do kościoła?". „Nie no, co ty, chodzi tylko o formalność". „Nie rozumiem". „Oj daj spokój, każdy woli kościelny od cywilnego". „Ja religijna nie jestem, ale jakaś taka większa gwarancja, że nie będzie nieszczęścia". „A wierzysz w Boga?". „No co ty". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

KULTURA

BRAT MANN

Tomasz Mann skrajnie reagował na końce światów, które przeżywał. Raz lodowato, a raz emocjonalnie. Dlatego w 150-lecie jego urodzin jest pisarzem tak ciekawym. Towarzyszem naszego końca.

WOJCIECH ENGELKING

Jest koniec lat 40. Natan Zuckerman, młody student Uniwersytetu w Chicago, który wkrótce zostanie pisarzem, udaje się na zorganizowany z okazji 200-lecia urodzin Goethego wykład Tomasza Manna. „Z niemieckim akcentem Mann mówił tak bogatą angielszczyzną, jakiej Zuckerman wcześniej nie słyszał (...). Nathan siedział oddalony o dwa rzędy od podium i uczył się od Dobrego Europejczyka, jak posługiwać się językiem ojczystym". Nie używał przecież dotąd słów: „wielkość", „geniusz", „cud". Odtąd wziął je od Manna jako swoje.

Ta historia jest prawdziwa, choć nigdy się nie wydarzyła. W powieści „Lekcja anatomii" Philipa Rotha Tomasz Mann występuje jako eksponent kultury, która przewodziła Zachodowi – europejskiej. I to się skończyło. Ale nie dlatego, że ktoś o tym zdecydował. O końcach się nie decyduje, końce po prostu się wydarzają. Co może w ich obliczu uczynić pisarz? Spróbować je pojąć i dać im wyraz, i to też czynił – nie tylko swoim pisarstwem – Tomasz Mann.

Był w tym raz afektywny, a raz intelektualny, prezentuje pełen wachlarz kultury europejskiej. Od skraja do skraja. Należy więc sięgnąć po niego, by pojąć koniec, któremu my świadkujemy. Łącząc ogień i lód, Mann wypełnił maksymę pisarza, w 200-lecie urodzin którego przemawiał w Chicago. Stał się, jak nazywa to Goethe, „formotwórczym artystą w dziedzinie życia (...), czyniąc je dziełem sztuki".

Dwa sukcesy

Koniec pierwszy to koniec epoki mieszczańskiej. Tomasz Mann (1875-1955) nie był jedynym, który go spostrzegł. Już w 1895 r. Max Weber zauważył, iż stan społeczny, z którego Mann się wywodził, nie jest zdolny dzierżyć w Niemczech politycznej władzy: upodobniwszy się do arystokracji, stracił dotychczasowy szwung. „Buddenbrookowie" (1907), rozpoczęci zaraz przed końcem XIX w., byli powieścią o tej utracie; o tym, jak rozpłynęło się – mówi o tym Tomasz Buddenbrook – „coś, co go pchało naprzód (...) Wydaje mi się, jak gdyby coś zaczynało mi się wymykać, jak gdybym tego nieokreślonego »czegoś« nie trzymał już w rękach tak mocno jak dawniej" (przeł. Ewa Librowiczowa).

Coś, co umożliwiało rodzinie z Lubeki rzutko działać w świecie niezaawansowanego kapitalizmu i dawać upust artystycznym ciągotom, znikało z pokolenia na pokolenie, aż zniknęło zupełnie; powieść kończy się śmiercią ostatniego z rodu, Hanna, nieprzejawiającego do handlu predylekcji żadnych, wielkie zaś – do artyzmu. Zarazem Hanno to neurastenik, pozbawiony woli życia, bo artyzmu bez handlu ożywić nie sposób – i odwrotnie jest tak samo.

To było udziałem rodziny Buddenbrooków. Czy także udziałem rodziny Mannów, którzy po śmierci ojca pisarza (gdy ów był nastolatkiem) znalazła się na marginesie patrycjatu? Gromadząc anegdoty o tym, co z poprzednimi pokoleniami Mannów działo się w 1848 r. i epoce zjednoczenia Niemiec, pisarz z jednej strony analizował upadek swej rodziny na chłodno, z drugiej: nie wątpiąc w swe artystyczne powołanie. Wskazywał, że symptom osłabienia niemieckiego mieszczanina to zanik umiejętności łączenia artystycznej namiętności z „porządną pracą i powagą życia", jednocześnie uznając, że on się w nim świetnie odnajduje.

Rzeczywistość przekonanie to potwierdziła; po 1901 r., gdy powieść się ukazała, Mann odniósł sukces i artystyczny, i mieszczański. „Buddenbrookowie" sprzedawali się na pniu, Mann bogato się ożenił, nabył willę w Monachium, spłodził dzieci. I – paradoks: to wtedy wątpliwości się pojawiły.

Rozum i kulty orgiastyczne

Niemiecki mieszczanin konał długo i, jak to bywa w agonii, przed skonaniem zupełnym raz jeszcze, histerycznie zerwał się z łoża śmierci. Tomasz Mann także to uczynił.

„Buddenbrookowie" to powieść autorstwa wiernego czytelnika Arthura Schopenhauera. Zgodnie z jego filozofią, co się w niej dzieje, ma miejsce, gdyż chce tego wola. Oderwać się od ślepego popędu istnienia można – nauczał Schopenhauer – oprócz tego, że przez ascezę, to przez przedsięwzięcia estetyczne. Po sukcesie debiutu Mann podjął ich mnóstwo: ukazała się „Królewska Wysokość", „Tristan"... Z żadnego dzieła nie był jednak zadowolony, czując, że jego życie artysty-mieszczanina odkleja się od czasów, w których być jednym i drugim już nie sposób. W „Rozważaniach człowieka apolitycznego" (1918): potężnym, kilkusetstronicowym eseju, wątpliwości co do tego, czy można być jednocześnie artystą i mieszczaninem rozwiewają się – czy ↦

Tomasz Mann, ok. 1955 r.

ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

↦ właściwie: rozwiewa je Wielka Wojna. Gdy grzmią działa, powiada bowiem Mann, artysta i mieszczanin stają się jednym: żołnierzem swego kraju.

Pojmie to każdy Niemiec – a kto nie pojmie? Francuzi – i inni przedstawiciele Zivilisation, której Mann przeciwstawia niemiecką Kultur. Zivilisation jest racjonalna, oświeceniowa; Kultur dotyczy „wyroczni, magii, pederastii, wojowniczych bogów, ofiar z ludzi, kultów orgiastycznych, inkwizycji, palenia heretyków, chorób, procesów czarownic, mody na trucie" (przeł. Wojciech Kunicki). Zivilisation reprezentują kraje, z którymi zmagała się armia Wilhelma II, i niemieccy przeciwnicy wojennego wysiłku. Dla nich artysta to liberalny przedstawiciel bohemy; w świecie Kultur – obeznany z ciemnymi sekretami ludzkiej natury mieszczanin, z zasady konserwatywny.

Tak oto Mann – niejedyny niemiecki intelektualista, którego podczas wojny ogarnął szał – postanowił w 1914 r. porzucić racjonalność, upatrując w tym sposobu, by ponownie stać się dla Niemców pisarzem istotnym – przynajmniej we własnej opinii (przekonywał znajomych, iż żołnierze przesyłają mu listy i twierdzą, iż jest w okopach najchętniej czytanym autorem; żadnych takich listów nigdy nie znaleziono).

Zgodnie z maksymą Goethego, życie dlatego może być dziełem sztuki, iż między tworem artystycznym a wydarzeniami, które są udziałem jego autora, zachodzi wymiana; właśnie ona przydarzyła się Mannowi. Cztery lata przelewał na papier „Rozważania..."; ale gdy zaczęła się Republika Weimarska, płomienny nacjonalizm, jaki znamionuje ten esej, porzucił. Jego histeria się na razie wypaliła.

Dokąd prowadzą idee

Do następnego końca, końca imperialnej Europy, podszedł lodowato.

„Czarodziejską górę" (1924) zaczął pisać jeszcze przed wojną, planując jako humorystyczną nowelę, której akcja miała obejmować trzy tygodnie. Zarzucona na czas pracy nad „Rozważaniami..." i podjęta po wojnie, powieść stała się czymś innym; sanatorium (instytucja popularna w XIX w., którą Wielka Wojna zniszczyła, bo po 1918 r. nie jeździło się już „do wód"; nie mogąc wiedzieć, że tak będzie, ten koniec Mann antycypował) przeistoczyło się w model *fin-de-siècle*'owego kontynentu, na którym ścierają się dwa ideologiczne prądy, uosobione przez bohaterów.

ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Rodzina Mannów na wyspie Hiddensee.
Od lewej: Klaus, Erika, Katja, Michael, Monika, Elisabeth i Tomasz Mann, 1924 r.

Pierwszy to liberalny humanizm Lodovica Settembriniego; drugi – wielkoinkwizytorskie pomruki przyszłego totalitaryzmu, którego orędownikiem jest Leo Naphta. Uzdrowiony „Rozważaniami..." z wojennej histerii, w ramach której było mu bliżej do obozu Naphty właśnie, w powieści Mann do żadnego z tych stronnictw się nie zapisał, jednako je kompromitując. Humanista, członek Międzynarodowej Ligii Organizacji Postępu jest w niej tak samo żałosny, jak żydowski jezuita.

Tego ostatniego Mann wzorował na György Lukácsu. Na temat węgierskiego filozofa stwierdził w tamtym czasie, opisując uwodzicielski charakter ideologicznego fanatyzmu: „poznałem go pewnego razu w Wiedniu. Przez godzinę wykładał mi swe teorie. Dopóki mówił – miał rację". To rozpoznanie, dokonane na początku lat 20., pozostaje kluczowe. Settembrini i Naphta mówią, co im się podoba, i, dopóki mówią, rację mają. Mogą ją wszelako mieć, ponieważ znajdują się w przestrzeni oddzielonej od rzeczywistości.

Chociaż „Naphta pogardzał mieszczańskim państwem, dbającym tylko o bezpieczeństwo" (przeł. Jan Łukowski), gdy jego idee mają skonfrontować się ze światem – gdy on sam ma się z nim skonfrontować – wybiera wpakowanie sobie kulki w głowę. Jego ideowy przeciwnik, również niezdolny do prawdziwej konfrontacji, uprzednio oddaje strzał w powietrze. Do tego doprowadziły ich idee, więc ostatniego starcia powstałych po Kongresie Wiedeńskim narodowych potęg już nie zobaczą; gdy wieża z kości słoniowej się sypie, wybierają wygodne nieistnienie.

Nie jest jednak tak, że Mann, kompromitując intelektualistów, staje w powieści po stronie czystego życia – reprezentowanego przez Peeperkorna, narzeczonego ukochanej Castorpa. Przeciwnie: ów „król kawy w stanie spoczynku, mój panie, malajski kamerdyner, luksus w każdym calu", który unieważnia to, co zawarte w słowach, również musi umrzeć. Żywioł musi się wypalić, a gdy się wypali, to Peeperkornowe ciało zostaje znalezione na tarasie obok rozbitej butelki po koniaku. Za katastrofę, która nadchodzi w ostatnim rozdziale powieści, za „śmiertelne zapasy, gorączkową orgię, która wokół ciebie zapala teraz dżdżyste niebo wieczorne", jednako odpowiada dialektyka i Dionizos.

Końca imperialnej Europy nie da się więc uniknąć – otwarte wszakże pozostało pytanie, którym Mann powieść wieńczy: czy z tych śmiertelnych zapasów „zrodzi się również kiedyś miłość?".

Mój brat Hitler

Nie zrodziła się. Finał Wielkiej Wojny – przynajmniej w Niemczech – tylko dolał oliwy do ognia. Jak wysoko mogą buchać jego płomienie, Mann dowiedział się już w 1919 r., gdy Monachium znalazło się pod panowaniem Bawarskiej Republiki Rad i wyłącznie za sprawą szacunku, jaki żywił do niego jej przywódca, poeta Ernst Toller, jego willa przy Poschingerstrasse nie została splądrowana.

Później, w 1922 r., przeraziło go zabójstwo Waltera Rathenau; wystąpił wtedy z poparciem dla Republiki, a gdy po kilkunastu miesiącach na niemieckiej scenie

politycznej pierwszy raz pojawił się Adolf Hitler, ochrzcił Monachium mianem „miasta swastyki". Między 1922 a 1933 r. spod jego pióra wyszło kilkaset tekstów publicystycznych, w tym publicznych przemówień. Obdarowany w 1924 r. literackim Noblem, stał się na europejskiej scenie ambasadorem idei umiarkowania. Nie przeistoczył się w Settembriniego, wierzącego we własny polityczny mit; stał się krytykiem mitu w ogóle.

A było co krytykować. „Brutalne i niepokojące proroctwo tej książki zawierało się istotnie w tym, że popularne, a raczej odpowiadające masom mity będą odtąd motorem ruchu politycznego: bajki, obłędne fikcje, czcze wymysły" (przeł. Maria Kurecka, Witold Wirpsza). W ten sposób w „Doktorze Faustusie" Manna jeden z dyskutantów mówi o wydanych w 1908 r. „Refleksjach na temat przemocy" Georges'a Sorela. Cytowana powieść to jedna z dwóch Mannowych reakcji na spełnienie się owego proroctwa i zarazem trzeci koniec, któremu świadkował – koniec politycznej i ideowej racjonalności. To reakcja histeryczna, ale by to pojąć, trzeba wpierw znać odpowiedź chłodną.

„Józef i jego bracia" (1933-1943) zaczął się jako wstęp do katalogu biblijnych litografii; zajrzawszy do Starego Testamentu, Mann jednak, jak sam to ujął, „poczuł przymus dopowiedzenia wszystkiego". Właśnie zaczęła się druga połowa lat 20.; stawało się jasne, że, zmęczony rządami zmiennej partyjnej koalicji, Weimar zapragnie wkrótce politycznego mitu. Mann opisał tu wspólnotę, która w takowym żyje: Jakub i Józef z jego powieści realizują swe losy wedle prawideł wiecznego powrotu, we własnym mniemaniu przeżywając historie przeżyte uprzednio przez Izaaka i Abrahama.

Ich plemienna wspólnota jest wspólnotą totalitarną. Ulubiony syn Jakuba jednak, na skutek knowań braci, trafia z niej do racjonalnego państwa – i musi się odnaleźć w jego organizacji; w tym sensie, pisze Hermann Kurzke, „Józef... to koncepcja republikańska. Pokazuje drogę artysty od księżycowego marzyciela ku politycznej odpowiedzialności – która była udziałem Manna". Wszakże: nie udziałem Niemiec. Gdy pierwsze trzy tomy „Józefa" były już gotowe, zdarzył się 30 stycznia 1933 roku.

Chyba nie było intelektualisty, za którego naziści wzięliby się tak szybko; już w lutym na łamach NSDAP-owskiej prasy wszczęto antymannową kampanię, a gdy w maju tegoż roku Tomasz zdecydował się nie wracać ze Szwecji do Monachium, przekonany, że grozi mu areszt – willę nad Izarą i resztę majątku skonfiskował Heydrich. Pomieszkawszy w Szwajcarii i Francji, Mann znalazł się w USA. „Józef" został ukończony właśnie tam; w dzienniku Mann zapisał 8 stycznia 1943 r., że skończył go wcześniej, niż świat skończył z faszyzmem. Przebywał wówczas w Kalifornii, której tropikalny klimat przypominał mu Egipt, i był w USA najgłośniejszym niemieckim oponentem Hitlera, chętnie udzielającym się publicznie (wedle plotek, był kandydatem CIA na prezydenta odrodzonych po wojnie Niemiec).

Mann przyszedł mi na myśl, gdy Rosja zaatakowała Ukrainę i każdy, kto określał swą narodowość jako rosyjską, stał się w Europie w najlepszym razie podejrzany, a w najgorszym: wyklęty. Jak zareagowano by na Manna, ideowego przeciwnika Hitlera – a jednak: Niemca!, choć legitymującego się paszportem nieistniejącej Czechosłowacji – w USA oraz na „alianckim" Zachodzie dzisiaj? Ba: jak zareagowano by na Rosjanina, który napisałby dziś esej pt. „Mój brat – Putin", odpowiednik Mannowego „Brat Hitler"?

Przecież stwierdza tam wprost: Hitler jest doń podobny, bo obaj wyrastają z mieszczańsko-bohemowej matrycy artysty-outsidera. „Ten osobnik jest katastrofą, ale to jeszcze nie powód, by nie był fascynujący" – powiada Mann w 1939 r. I tak pokazuje swe lodowate oblicze z momentu pisania „Józefa"...: twarz człowieka, który przypatruje się otaczającemu go światu, lecz w nim nie do końca uczestniczy, dostrzegając w sobie potencjał, by stać się faszystą. Musi go posiadać, mieć w sobie głębokie przekonanie, że wie, jak urządzić własny los i świat – gdyż jest artystą. O tym będzie jego ostatnia wielka, histeryczna powieść.

Pakt z diabłem

„Kto w diabła wierzy, już doń należy" – tę ludową mądrość powtarza Serenus Zeitblom w „Doktorze Faustusie", drugim obok „Józefa" utworze, którym Mann żegna się z epoką racjonalności i artystą, którego życie jest dziełem sztuki. Adrian Leverkühn żyje w micie artysty, który musi zawrzeć pakt z siłami nieczystymi, aby móc komponować. Jego życie jest zbudowane naokoło owego paktu, ↦

Pięć razy Mann

▪ BUDDENBROOKOWIE (1901)

Coś, co umożliwiało rodzinie z Lubeki rzutko działać w świecie kapitalizmu i dawać upust artystycznym ciągotom, znikało z pokolenia na pokolenie. Aż zniknęło zupełnie. Powieść kończy się śmiercią ostatniego z rodu, Hanna, nieprzejawiającego do handlu predylekcji żadnych, wielkie zaś – do artyzmu.

▪ ROZWAŻANIA CZŁOWIEKA APOLITYCZNEGO (1918)

Wątpliwości co do tego, czy można być jednocześnie artystą i mieszczaninem rozwiewa Wielka Wojna. Gdy grzmią działa, powiada Mann, artysta i mieszczanin stają się jednym: żołnierzem swego kraju.

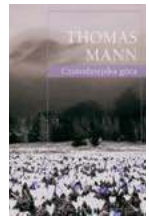

▪ CZARODZIEJSKA GÓRA (1924)

Wielkie idee bankrutują. Końca imperialnej Europy nie uda się uniknąć. Otwarte pozostało pytanie, którym Mann powieść wieńczy: czy z tych śmiertelnych zapasów „zrodzi się również kiedyś miłość?".

▪ JÓZEF I JEGO BRACIA (1933-1943)

Mann opisał tu wspólnotę, która żyje w politycznym micie: Jakub i Józef realizują swe losy podle prawideł wiecznego powrotu, we własnym mniemaniu przeżywając historie przeżyte uprzednio przez Izaaka i Abrahama.

▪ DOKTOR FAUSTUS (1947)

Czy artysta musi zawrzeć pakt z siłami nieczystymi, aby móc tworzyć? No bo kim będzie artysta, który z siłami diabelskimi jednak nie paktuje? Tak oto Mann kompromituje własny fach, w którym on i jego rodzina, wcale nieupadła, obrośli w legendę.

↦ wynika z niego i go realizuje, przy czym o samym pakcie nie wiadomo, czy faktycznie został zawarty. A jednak: czytelnik, chowany na tej samej, europejskiej tradycji – chce, by się to zdarzyło! Przynajmniej bierze to pod uwagę!

No bo kim będzie artysta, który z siłami diabelskimi jednak nie paktuje? Tak oto Mann kompromituje własny fach, w którym on i jego rodzina, wcale nieupadła, obrośli w legendę. Jest przełom lat 40. i 50., potem lata 50., Spostrzega, że świat po drugiej wielkiej wojnie to ten, w którym skończyły się wszystkie inne, których końcom świadkował. W USA jest podejrzany, bo komisja McCarthy'ego nie może pojąć „Rozważań człowieka apolitycznego". Wyjeżdża, mieszka przez chwilę w Szwajcarii, w 1955 r. umiera. Gdy to się stanie, faktycznie skończy się w zachodnim świecie pierwsza połowa XX stulecia. Upływa siedemdziesiąt lat.

Mój Mann

To brzmi nieomal jak szkolne zadanie: powiedz, czemu XYZ, o którym akurat piszesz, jest aktualny dzisiaj. Argumenty, obfitujące w słowa, których fikcyjny Mann nauczył *porte parole* Philipa Rotha – „geniusz", „wybitność" – oczywiście można mnożyć; obracać, dodawać do siebie. W końcu ich siła zupełnie umilknie.

Nieważne. Pod ich powłoką jest sam Tomasz Mann: ów „Dobry Europejczyk", który pogodził się z końcem przewodniej roli swojego kontynentu, jednak nie pogodził się z nim ot, tak; który protestował, histeryzował, zawierał pakty z szatanami, wznosząc samemu sobie pomnik. To mój Mann. Kiedy świadkuję końcom, co do których sam jeszcze nie wiem, czego są końcami – to można powiedzieć dopiero *ex post* – też jestem pogodzony i też histeryzuję. Bratem jest mi 150-letni Tomasz Mann.

© WOJCIECH ENGELKING

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

Mrok to nasz dom

SEBASTIAN BARRY, PISARZ:

Literatura, muzyka, malarstwo są dowodem, że zasługujemy na przebaczenie. Jeśli są bogowie i jeśli mamy przed nimi stanąć, to musimy coś im pokazać. Coś, co jest w nas czyste.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Wojny nigdy się nie zmieniają?

SEBASTIAN BARRY: Tego nie wiem, ale co innego pozostaje w nas niezmienne: od stu lat w Europie dziedziczymy ten sam lęk przed wojną. Nawet jeśli w niektórych pokoleniach bywa uśpiony, wystarczy niewiele, by powrócił.

Dlatego napisałeś powieść „Tak daleko od domu"?

Napisałem o młodym Irlandczyku, Willim Dunne'ie, który wbrew ojcu wstępuje do brytyjskiej armii i trafia na front pierwszej wojny światowej. Ta historia wydawała mi się wtedy szczególnie bliska. Był 2003 r., w USA prezydentem został George W. Bush, moi synowie mieli dziesięć i pięć lat. A ja bałem się, bo kolejne bezsensowne wojny na Bliskim Wschodzie groziły destabilizacją całego świata. Teraz ten sam lęk wrócił ze zdwojoną siłą.

Pisanie o Wielkiej Wojnie z irlandzkiej perspektywy nie może być łatwe...

Moi przodkowie służyli wtedy w brytyjskiej armii, bo Irlandia znajdowała się pod okupacją, więc Willie Dunne to dla mnie więcej niż postać historyczna. To młody człowiek, który uwierzył, że jego poświęcenie ma sens. Gdy powoływałem go do życia, nie chodziło mi nawet o tę konkretną wojnę, ale właśnie o sam tragizm – rzucenie młodości w żarna bezdusznej historii. Od początku pociągała mnie i jednocześnie przerażała jego lojalność i bezradność, które w efekcie dały niewiarygodną odwagę.

Co współczesna literatura może jeszcze powiedzieć o wojnie sprzed stu lat?

Wszyscy się dziwią, że w Irlandii nie ma pomników poświęconych ofiarom Wielkiej Wojny. A fakty są takie – dwieście tysięcy mężczyzn zgłosiło się na ochotnika do brytyjskiej armii. Pięćdziesiąt tysięcy z nich zginęło.

I nie został po nich ślad w zbiorowej pamięci?

W 1916 r. przyszła rewolucja i całkowicie ich unieważniła. Ci, którym udało się wrócić do domu, postrzegani byli niemal jako zdrajcy. Nikt nie chciał ich słuchać, nie mieli komu opowiedzieć swojej historii. Nie dość, że w okopach Flandrii przeżyli niewyobrażalną traumę, to w międzyczasie ich ojczyzna zmieniła się nie do poznania. Stracili bezpowrotnie swój dom.

A przecież mówimy tu o niemalże całym pokoleniu młodych mężczyzn. Każdy na wyspie miał kogoś z nich w rodzinie albo wśród znajomych. Wszędzie byli ranni, okaleczeni, wielu zamykano w najróżniejszych instytucjach, bo nie wiedziano, co zrobić z ich okaleczoną psychiką. Pisząc o Williem, pisałem o nich wszystkich – o tych, których historia pozbawiła przymiotnika „irlandzki". To mnie właśnie najbardziej interesuje w literaturze: dopisywanie do tożsamości nowych przymiotników.

Ciekawe, w Polsce jest podobnie – też prawie nikt się nie upomina o ofiary tamtej wojny, bo nosili niepolskie mundury. A zginęło przeszło pół miliona ludzi, prawie połowa wszystkich polskich żołnierzy walczących w rosyjskiej, niemieckiej i austriackiej armii.

Przerażające. I gdzie są ich historie? Tak, nasze narody mają podobne doświadczenie. Tworzenie nowego kraju często wiąże się z traumą – równie głę-

DAVID LEVENSON / GETTY IMAGES

SEBASTIAN BARRY (ur. 1955) jest irlandzkim pisarzem, poetą i scenarzystą. Wielokrotnie nagradzany, dwukrotnie otrzymał Costa Book of the Year, był także pięciokrotnie nominowany do Man Booker Prize. Po polsku ukazała się właśnie w wydawnictwie ArtRage szósta jego książka, „Tak daleko do domu" (przełożył Tomasz S. Gałązka). Był gościem Festiwalu Conrada w 2024 r.

boką jak jego utrata. Często trzeba wymyślić nową tożsamość – a więc również i odpowiednio zmodyfikować przeszłość. Ofiary pierwszej wojny światowej, które walczyły w niepasujących do nowej opowieści mundurach, zostają wtedy odrzucone. To gigantyczne zadanie – i mówię to tylko częściowo ze zgryźliwą ironią. Może dlatego ofiary pierwszej wojny światowej stały się – w paradoksalny sposób – czymś na kształt nieistotnego przypisu? Wydaje się, że to uniwersalny mechanizm.

Niemniej w mojej powieści nie chodziło mi o szukanie sensu wojny. Raczej o próbę zrozumienia, czym jest młodość wystawiona na próbę – młodość, która musi zmierzyć się z krwią, cierpieniem i utratą złudzeń.

Podobno po publikacji tej powieści czytelnicy pisali do Ciebie o swoich wujkach, dziadkach, o wielu zapomnianych historiach.

Dostawałem listy pełne wdzięczności. Ludzie pisali, że wreszcie ktoś opowiedział o tym, przez co przeszli ich bliscy. Gdy już poznasz historię, możesz ich nazwać bohaterami albo zdrajcami – ale dopiero wtedy. Osobowość człowieka jest jak gobelin – gęsty, złożony obraz, który dociera do nas w strzępach, do tego podziurawiony przez mole. Jeśli coś znika z historii narodowej, jeśli w duszy zostaje puste miejsce, człowiek sam pozostaje niepełny.

Późniejsza historia Irlandii, szczególnie z perspektywy brytyjskiej, też bywa pomijana.

To pod pewnymi względami gorsze niż wcześniejsza polityka imperialna. Nasza historia po prostu zniknęła z brytyjskiej świadomości. W szkołach w Anglii nie uczy się o Irlandii, o naszej przeszłości, o udziale naszych żołnierzy w brytyjskiej armii. Nawet historia Irlandii Północnej jest niemal nieobecna. Kiedy „Tak daleko od domu" ukazało się w Anglii, wielu czytelników było zaskoczonych, że Irlandczycy w ogóle walczyli w brytyjskich mundurach. A przecież mieliśmy nawet własne dywizje!

Książka była czytana w Irlandii Północnej jak objawienie.

Tak, bo południowe i północne dywizje walczyły wtedy ramię w ramię. Byliśmy o krok od pojednania. Ale ta opowieść nie pasowała do unionistycznej polityki lat 70. i 80. Wygodniej było zapomnieć, że Republika miała cokolwiek wspólnego z tą wojną. A były momenty niezwykle wzruszające. William Redmond, brat Johna Redmonda, przyszedł do Izby Gmin prosto z frontu, w zabłoconym mundurze. Mówił, że ta wojna może uleczyć podział między Północą a Południem. Nawet Carson – lider północnoirlandzkich unionistów, symbol oporu przeciw niepodległości Irlandii – płakał. Ale dziś nikt już o tym nie pamięta.

Co może zrobić pisarz w takiej sytuacji?

Naszym zadaniem nie jest podróżować w czasie, jak Doktor Who – ze świadomością tego, co się dopiero ma wydarzyć. Pisarz musi być jak bohater swojej książki: żyć w niewiedzy. Bo to właśnie niewiedza jest naturalnym stanem naszej egzystencji. I trzeba się jej poddać. Dlatego pisanie „Daleko od domu" było dla mnie tak silnym doświadczeniem. Choć narracja prowadzona jest w trzeciej osobie, świat widzimy oczami Williego Dunne'a. To on patrzy. I ta perspektywa – jego nieświadomość, jego ograniczone widzenie – poruszyła mnie głęboko. Nie każda książka oddaje pisarzowi to, co w nią włożył. Ta – oddała.

W przypadku Williego nieświadomość stopniowo wypierana jest przez obojętność. I czasem pojawia się euforia – przede wszystkim w kwestii śmierci.

Mój dziadek w czasie drugiej wojny służył w wydziale brytyjskich inżynierów, a konkretniej – rozbrajał niemieckie bomby. Opowiadał, że siadali z kolegami na tych bombach, kiedy wyciągali zapalniki – żeby, jeśli wybuchnie, nie zostało z nich nic. Tylko pył. Wolał to niż przeżyć bez ręki czy nogi.

A mimo to mówił: kochałem wojnę. Wiem, jak to brzmi, ale wielu mężczyzn naprawdę ją kochało. Bo to był jedyny czas w ich życiu, kiedy mieli przyjaciół. ↦

↦ Mężczyźni są fatalni w zaprzyjaźnianiu się. Potrzebujemy do tego alkoholu, papierosów, futbolu – wszystkiego, co zapośrednicza bliskość. A w okopach byli razem. Dzielili wspólny los. Rodziła się między nimi więź, jakiej wcześniej nie znali.

Jak dziś pisać o wojnie, tej sprzed stulecia, ale nie tylko – żeby uniknąć fałszywych nut?

Pamiętam dobrze pracę nad sceną ataku gazowego – to jeden z najbardziej przerażających momentów w książce. Panika, ucieczka – i strach, przed śmiercią, ale też przed byciem oskarżonym o dezercję. Długo nad tym siedziałem.

Opisałeś to bardzo poetycko.

Bo jak inaczej mówić o wojnie? Mrok to nasz dom. Od Homera po współczesność – wszyscy próbujemy znaleźć język, który udźwignie coś tak nieludzkiego.

Udaje się czasem?

Tak, ale to niekoniecznie jest dobre. Bo kiedy opisujesz coś z pełnym oddaniem, z precyzją, możesz poczuć rozkosz – jakby język niepokojąco przerastał sam siebie, jakby coś obcego, pięknego wypływało z tekstu. To rodzaj pisarskiej nieprawości. Czasem czuję, że jestem współwinny – że przyjemność w dokładnym opisie wojny to coś grzesznego.

Niedawno czytałem ponownie „Odyseję", w przekładzie mojego przyjaciela, Daniela Mendelsohna. Wiesz, co mnie najbardziej uderzyło? Ilość łez. Mężczyźni w tym eposie wciąż płaczą. I myślę, że Homer – kimkolwiek był – sam tego nie wymyślił. Raczej zbierał dawne historie, opowiadane przez pokolenia, i układał je w tekst pełen językowego blasku.

Opisujesz historię Irlandii w języku angielskim. Nie ma tu zgrzytu?

W przeszłości dla Irlandczyków język angielski faktycznie był formą przemocy. Ale odzyskaliśmy go. Zrobiliśmy z niego coś własnego. To może być niewidoczne w przekładzie, ale dla mnie „Daleko od domu" jest także powieścią o języku. O tym, co zrobił z nami angielski. I co my zrobiliśmy z nim.

Przez wieki traktowano nas jak dzikusów. Gdy hiszpańska Armada rozbiła się u wybrzeży Irlandii, pisano o nas jak o barbarzyńcach – jak o dzikich plemionach, które trzeba cywilizować. Dlatego możliwość napisania klasycznej, uporządkowanej powieści o Irlandczyku w okopach była dla mnie aktem buntu, wręcz dzikości.

Wojna jest rytuałem składania dzieci w ofierze.

Starszym niż religia, starszym niż ideologia. To coś pierwotnego w naszym gatunku. Skazujemy na śmierć to, co mamy najcenniejszego – a potem opowiadamy o chwale.

Polityka jako opowieść?

Właśnie tak. Żadnej publicystyki. Żadnego moralizowania. Po prostu: oto młodzi mężczyźni, przypadkiem Irlandczycy, przypadkiem w Belgii czy we Francji. Oto, jak umierali. Oto, jak przeżyli. Oto, co się wydarzyło w pewnym miejscu na ziemi sto lat temu. Dlatego proszę – przestańmy mówić, że tak bardzo się różnimy. W gruncie rzeczy jesteśmy tacy sami, gdziekolwiek się urodziliśmy. Willie Dunne to przecież także młody Polak. Jeden z tych chłopców, o których wspominam na początku książki, przedstawiciel straconego pokolenia. Jeden z wielu, których wojna zmieliła i zostawiła z niczym.

Odmówiono im nawet prawa do żałoby.

Właśnie dlatego Willie i inni chłopcy w okopach desperacko chwytają się symboli. Trafiają na powieść Dostojewskiego, bo ktoś przypadkiem miał ją w tornistrze. Modlą się, choć wielu w zasadzie już w nic nie wierzy. Śpiewają, bo śpiew wyrywa ich na moment z tej rzeczywistości. Tak, może to właśnie magia literatury – dać coś, czego można się chwycić.

Krwawa wojna toczy się tuż za granicą Polski, jej widmo znów krąży nad całą Europą. Długo wierzyliśmy, że to już nie wróci.

Widać, jak złudne jest to nasze powtarzane jak mantra „nigdy więcej" – po Auschwitz, po Rwandzie, po każdej katastrofie. I znów to samo. Pytanie brzmi: jak uciec przed samym sobą? Bo to my jesteśmy sprawcami. Nie „oni", nie „gdzieś tam". My – ludzie.

Gdy uznamy, że jesteśmy istotami okrutnymi i niebezpiecznymi, wtedy dopiero heroizm dbania o pokój nabiera właściwego znaczenia. Wtedy literatura, muzyka, malarstwo stają się czymś więcej – dowodem, że zasługujemy na przebaczenie. Jeśli są bogowie, i jeśli mamy przed nimi stanąć, to musimy coś im pokazać. Coś, co jest w nas czyste.

Czym więc jest wojna?

Jest rytuałem składania dzieci w ofierze. Starszym niż religia, starszym niż ideologia. To coś pierwotnego w naszym gatunku. Skazujemy na śmierć to, co mamy najcenniejszego – a potem opowiadamy o chwale. Mówimy o „dzielnych córkach i synach w mundurach", dziękujemy im za służbę – jak w Ameryce. A przecież rzucamy ich życie w błoto. W gówno.

Może powinniśmy wysyłać na wojnę starych. To miałoby sens. Gdyby mieli walczyć siedemdziesięciolatkowie, żadna wojna by się nie wydarzyła.

Przerażające, jeśli się tak na to spojrzy.

Czytałem niedawno biografię Josepha Conrada. Jego syn Boris poszedł na wojnę i wrócił cało. Syn jego przyjaciela, Rudyarda Kiplinga, nie miał tyle szczęścia. A ludzie w Canterbury, gdzie Kipling mieszkał, zazdrościli rodzinom, które straciły dziecko na wojnie. Zazdrościli im szlachetności ich żałoby.

Jednym z symboli Powstania Warszawskiego jest chłopiec – może dziesięcioletni – w za dużym hełmie, z karabinem w rękach. Kiedyś widzieliśmy w nim bohatera. Dziś coraz częściej pytamy: czy naprawdę powinniśmy składać kwiaty pod pomnikiem dziecka z bronią?

I właśnie odpowiedziałeś na własne pytanie. Bo to jest pytanie, które stawia każda dobra książka: co to właściwie znaczy? Dlaczego uznaliśmy, że to jest dobre? Że to ma sens? Kwiaty tu nie wystarczą. To głębsze niż morze. Ciemniejsze niż jakakolwiek noc. To, o czym tu mówimy, nie potrzebuje wieńców. Potrzebuje prawdy.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Pan Mizantrop

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Nie trafiały do niego ani moda, ani kultura dzieci kwiatów. Ubierał się jak agent ubezpieczeniowy, a zamiast psychodelicznego rocka słuchał ragtime'u. Jak to się stało, że projektant pocztówek Robert Crumb został twarzą amerykańskiej rewolucji?

MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA SŁOWO OBRAZ TERYTORIA

Strona z komiksu „Kafka", Robert Crumb i David Zane Mairowitz, 2019 r.

Schyłek prezydentury Reagana. Robert Crumb, patron amerykańskiego komiksu niezależnego, publikuje historię „If I Were a King", w której, zgodnie z tytułem, fantazjuje o świecie rządzonym przezeń żelazną ręką. W królestwie Crumba kobiety otrzymują nakaz dopasowania się do obowiązującego kanonu piękna, tymczasem mężczyźni zmuszeni są pamiętać, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

Brak swobód obywatelskich kompensują czyste powietrze i cisza – nie bez przyczyny monarcha zdelegalizował ruch samochodowy (za środek transportu po królestwie służy mu riksza ciągnięta przez skąpo ubraną, potężną rowerzystkę). Najważniejszym urzędnikiem na jego dworze jest królewski szewc, zajmujący się projektowaniem obuwia dla jego faworyt. Dni mijają mu niespiesznie na trosce o poddanych, orgiach i ucztach.

Gdy feministyczne bojówkarki szturmują jego pałac, rozgniewany Crumb staje z nimi do walki. Cherlawy rysownik z łatwością powala puczystki. W geście triumfu siada na stosie zmożonych i wciska w usta ich przywódczyni penisa – zdaniem obłąkanego króla to najskuteczniejsza metoda resocjalizacji.

Małe książeczki

Historyjki z „If I Were a King" nie są najbardziej obscenicznym komiksem Roberta Crumba, ale wystarczająco trafnie oddają naturę wyobraźni artysty słynącego z ignorowania tabu. Tam, gdzie zwykliśmy odwracać wzrok z odrazą, rubaszny rysownik upatruje sedna swoich utworów.

Crumb urodził się w 1943 r. w Filadelfii, w czasach, kiedy komiksy znajdowały się u szczytu popularności. W dzieciństwie zaczytywał się w humorystycznych historyjkach twórcy Sknerusa McKwacza Carla Barksa czy – również pracującego w studiu Disneya – Walta Kelly'ego. Jego obrazoburcze komiksy bardziej jednak niż perypetie Kaczora Donalda przypominają tak zwane biblie z Tijuany, czyli pornograficzne opowieści obrazkowe, będące jedną z ulubionych lektur Amerykanów w czasie wielkiego kryzysu. Sprzedawane spod lady sprośne pisemka obfitowały w kąśliwe żarty, których obiektami byli bohaterowie popularnych pasków komiksowych, hollywoodzkie gwiazdy i gatunkowe archetypy, takie jak jurny komiwojażer. Ich główną atrakcją był wszelako seks: wyuzdany i bezpruderyjny.

„Komiksy, które zainspirowały moje pokolenie – wczesne »Mad« oraz komiksowe horrory i science fiction lat 50. – w przeważającej części zostały stworzone przez osoby wypaczone przez ↦

te małe książeczki" – przyznał w przedmowie do zbioru „Tijuana Bibles: Art and Wit in America's Forbidden Funnies, 1930s-1950s" rysownik Art Spiegelman. Wraz z zakończeniem II wojny światowej tworzone dla pokrzepienia serc i wzmocnienia ducha narodu opowieści superbohaterskie straciły na znaczeniu. Opowieści obrazkowe zdominowane zostały przez sceptycyzm i pesymizm ponowoczesności, a miejsce patriotycznych herosów zajęły krwiożercze potwory i wszelkiej maści typy spod ciemnej gwiazdy.

Przemoc, wulgarność i erotyzm z kart komiksów (nieporównywalnie mniej obrazowy niż w bibliach z Tijuany) przykuły uwagę opinii publicznej, która doszukiwała się w nich źródła rosnącego odsetka przestępstw nieletnich. W nagonce na ulubione medium Crumba przodował popularny psychiatra Fredric Wertham. Za jego sprawą w 1954 r. wprowadzono Kodeks Komiksowy, regulujący, jakie treści i obrazy mogą pojawiać się w komiksach członków Amerykańskiego Stowarzyszenia Magazynów Komiksowych.

Komiksowa Kalifornia

W kodeksowych Stanach Zjednoczonych komiksy, ale też filmy, podważające ówczesne normy i reguły estetyczne, znalazły się na cenzurowanym. Sztywne i konformistyczne lata 50. nie mogły jednak trwać wiecznie. Wraz z kolejną dekadą rozpoczęła się epoka buntu i wyzwolenia. Nowe pokolenie autorów – zafascynowanych ciętym humorem magazynu „Mad", obrzydzonych purytańską papką i głodnych eksperymentów – zaczęło szukać ujścia dla swoich wywrotowych pomysłów.

MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA SŁOWO OBRAZ TERYTORIA

Niektórzy związali się z czasopismami studenckimi, inni współtworzyli prasę alternatywną, a jeszcze inni stawiali pierwsze kroki pod okiem redaktora Harveya Kurtzmana w satyrycznym magazynie „Help!". Gdy komiksiarze tacy jak Frank Stack, Gilbert Shelton i Jaxon kładli podwaliny pod amerykański komiks undergroundowy, Robert Crumb wiódł stateczne życie u boku pierwszej żony Dany i zarabiał na chleb, projektując kartki okolicznościowe. Mimo że nie był pionierem, to właśnie on został twarzą rewolucji.

Życie Crumba wywrócił na nice incydent z 1965 r., kiedy to po raz pierwszy zażył LSD spopularyzowane przez znanego

MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA KULTURA GNIEWU

Robert Crumb, autoportret; po lewej: fragment komiksu „Kafka", Robert Crumb i David Zane Mairowitz, 2019 r.

psychologa, ikonę amerykańskiej kontrkultury, Timothy'ego Leary'ego. „To było dla mnie jak droga do Damaszku. Zostałem zwalony z nóg, a sposób, w jaki rysowałem, nagle się zmienił" – wspomniał po latach. Przez kilka miesięcy rysownik działał jak na autopilocie, zapełniając kompulsywnie strony szkicownika. Z haju zrodziły się też pierwsze numery „Zap Comix", serii, która skatalizowała rozwój komiksu undergroundowego. Raczkujący psychonauta zaprezentował w nich podejście skrajnie różne od standardu Kodeksu Komiksowego.

Bohaterami jego surrealistycznych, groteskowych i wulgarnych historyjek byli sfrustrowani przedstawiciele klasy średniej, hipisowscy bumelanci oraz życiowi wykolejeńcy. Ich perypetie obok amerykańskiego snu nawet nie stały. Crumb sprawił, że konserwatywne, ale przede wszystkim obłudne Stany Zjednoczone zadrżały w posadach, co przypadło do gustu kontestującej młodzieży. „Zap Comix" stało się bestsellerem wśród długowłosych mieszkańców dzielnicy Haight-Ashbury w San Francisco (większym wzięciem cieszyły się wyłącznie marihuana i psylocybina). W ślad za Crumbem ruszyli rysownicy tacy jak Steve Clay Wilson, Victor Moscoso, Rick Griffin, Spain Rodriguez i Robert Williams. Komiks undergroundowy ruszył z kopyta.

Wolna miłość

„Nikt nie stał nam nad głową i nie mówił »tego nie możesz robić« albo »tego nie wolno ci pokazać«. Mogliśmy robić, co tylko chcieliśmy" – wspominał w dokumencie „Comic Book Confidential" Crumb. Niezależny obieg gwarantował twórcom niespotykaną dotąd swobodę. Dla pomysłodawcy „Zap Comix" była to okazja do drążenia tematu, którym zaprzątał sobie głowę od najmłodszych lat: seksu. „Kiedy byłem młody, dręczyło mnie obsesyjne pożądanie, ciągle fantazjowałem o seksie i masturbacji" – wyznał w rozmowie dla „The Guardian". Tę obsesję doskonale obrazują jego komiksy.

O ile w debiucie legenda undergroundu ograniczyła się do frywolnych żartów i okazyjnej nagości, o tyle w zinach, takich jak „Snatch Comics" czy „Jiz Comics" dał się poznać jako pomylony pornograf. Nie przejmował się tabu, które ogranicza pornograficzną wyobraźnię. Obrazy seksu spod jego stalówki były sprośne, brzydkie i pozbawione zmysłowości; dopełnione sztubackimi żartami (dość powiedzieć, że jednym z wczesnych bohaterów Crumba był Dicknose, mężczyzna z penisem zamiast nosa), jak również wisielczym humorem i slapstickową przemocą.

Susan Sontag w eseju „Wyobraźnia pornograficzna" konstatowała, że jedną z przyczyn gwałtownego rozwoju pornografii były w tamtym czasie „radykalne przekształcenia tradycyjnych obyczajów rodzinnych i porządku politycznego oraz zachwianie równowagi wskutek zmiany tradycyjnych ról płciowych". Przedstawiciele kontrkultury uznali libidalne opowiastki Crumba za emancypacyjne, przymykając oko na, przesłonięte murem ironii i samoświadomości, dewiacyjne treści.

Nie wszyscy jednak podchodzili do komiksów lubieżnego rysownika bezkrytycznie. „To dla mnie dziwne, jak łatwo ludzie przymrużają oczy na ohydną i mroczną stronę twórczości Crumba. Co, do cholery, jest śmiesznego w gwałcie i morderstwie?" – zastanawiała się na łamach magazynu „BLAB!" Trina Robbins, współzałożycielka kolektywu Wimmen's Comix.

Ojciec komiksu undergroundowego nigdy jednak nie zgrywał niewiniątka. Wielokrotnie podkreślał swoją głęboko zakorzenioną, podszytą incelskimi przekonaniami wrogość wobec kobiet, a własne utwory nazywał szowinistycznymi i mizoginistycznymi.

Mężczyźni na szafot

Zresztą Crumb nigdy nie poprzestawał na nazywaniu siebie mizoginem. Preferował bardziej pojemną kategorię mizantropa, w końcu w niechęci do ludzi wyznawał parytet. W wywiadzie dla portalu „Observer" argumentował: „nienawidzę mężczyzn znacznie bardziej niż kobiet. Są okropni. To oni odpowiadają za wszystkie gwałty, rozboje i masowe mordy". Nie było to bynajmniej czcze gadanie dla udobruchania żeńskiej krytyki. Mężczyźni z jego komiksów są małostkowi, okrutni, prymitywni, zaślepieni chucią, a zazwyczaj po prostu głupi.

Dobrym tego przykładem jest historia „The Ruff-Tuff Cream Puffs Take Charge!", w której tytułowe ptysie, będące tak naprawdę narwanymi redneckami, postanawiają odbić kraj z rąk mięczaków i mimoz. Mięśniacy z łatwością zdobywają Kapitol, lecz problem pojawia się, gdy próbują ustalić, kto z nich stanie na czele państwa. Nikt nie chce ustąpić, przez co dochodzi do krwawej jatki, podczas której samce alfa własnoręcznie się wymordowały. Rewolucja pożera własne dzieci, ot co.

Lewicujący czytelnicy także nie mogli czuć się bezpiecznie, Crumb dzielił ↦

MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA KULTURA GNIEWU

Plansza tytułowa z komiksu „Pan Naturalny i Flakey Mazgaj", Robert Crump, 2009 r.

↦ razy po równo. Mimo że był jedną z ikon kontrkultury, ruchem hipisowskim pogardzał. Nie trafiały do niego ani moda, ani kultura dzieci kwiatów – ubierał się jak agent ubezpieczeniowy, a zamiast psychodelicznego rocka słuchał ragtime'u (co zabawne, rozgłos przyniosła mu okładka płyty „Cheap Thrills", firmowanej nazwiskiem Janis Joplin). Już w pierwszym numerze „Zap Comix" napiętnował hipokryzję pozornie liberalnych i progresywnych mężczyzn. Jak przyznał w wywiadzie dla wortalu „Observer": „kultura hipisowska Haight-Ashbury była pełna facetów-nierobów, oczekujących, że kobiety podadzą im jedzenie. »Laska« musiała zadbać o dom, gotować posiłki, a nawet płacić za nich czynsz. Wolna miłość oznaczała dla mężczyzn darmowy seks i żarcie".

Ze wszystkich mężczyzn Crumb najbardziej nienawidził siebie. Po „kwaśnych" latach 60. komiksiarz coraz częściej eksperymentował z formami autobiograficznymi (niemałą rolę odegrała w tym jego druga żona Aline Kominsky, przedstawicielka komiksu undergroundowego i uznana memuarystka). W swoich pamiętnikach autor zaskakiwał wręcz ekshibicjonistyczną szczerością. Jak na spowiedzi opowiadał o intymnych i kłopotliwych sprawach: fetyszach („Footsie"), nadpobudliwości seksualnej („You Can't Have Them All") oraz żalu do kobiet („My Troubles with Women"). Co ważne, nie czynił z siebie ofiary i nie szukał usprawiedliwienia. Swoje podłe uczynki zwykł udobitniać.

Nienawiść Crumba do siebie należy rozumieć w dwójnasób: z jednej strony był swoim najzajadlejszym krytykiem, z drugiej – neurotykiem, który od najmłodszych lat czuł niechęć do swojego wątłego ciała, „niemęskiej" wrażliwości i wizerunku outsidera. Kroniką tego wstrętu jest „Walkin' the Streets", jeden z późniejszych, a zarazem najpoważniejszych komiksów autora.

Wśród bidoków

W „Walkin' the Streets" Crumb opowiada o dorastaniu w Stanach Zjednoczonych Eisenhowera. Scenerią jego wspomnień jest spokojne miasteczko nad potokiem, jakby wyrwane ze stronic powieści Marka Twaina. Sielskie sąsiedztwo okazuje się jednak piekłem, w którym smaży się amerykańska rodzina nuklearna. Nieśmiały Robert wychowuje się wśród borykającego się z problemami psychicznymi rodzeństwa, oschłego, przemocowego ojca i cholerycznej, uzależnionej od amfetaminy matki.

Na domiar złego raz po raz odwiedza ich babcia, znana ze słabości do kieliszka i nienawiści do czarnych. Chłopak nie może liczyć na chwilę wytchnienia poza domem, ponieważ tam czyhają na niego rówieśnicy, którzy uczynili z niego popychadło. Dla Crumba Ameryka była koszmarem, z którego nie mógł się wybudzić (udało mu się to dopiero kilka dekad później, gdy wraz z żoną i córką wyemigrował na południe Francji).

Susan Sontag w „Wyobraźni pornograficznej" utrzymywała, że zdrowe skłonności są zaledwie częścią ludzkiego doświadczenia. To skłonności chorobliwe, takie jak słabość do pornografii, opisują skrywany, niechętnie eksplorowany mrok, ale też całą ambiwalencję, która nie mieści się w zdrowym ideale. Studiując twórczość legendy undergroundu, nietrudno przyznać eseistce rację, bo obcesowe ziny opisywały rzeczywistość lat 60. i 70. wierniej niż jakikolwiek kodeksowy komiks.

Pisząc o artyście i komiksiarzu Franku Stacku, Crumb twierdził, że „dorastając na południu, doświadczył aż nadto tępego fundamentalizmu, rasistowskiej podłości i kulturowej pustki. Komiksy stały się dla niego sposobem na wyrzucenie tego wszystkiego z siebie". Słowa te równie dobrze opisują samego Crumba, który dekadami przelewał na papier zakorzenione w podświadomości uprzedzenia.

Dziś można mieć wątpliwości, czy w ten sposób nie przyczynił się do ich rozpowszechnienia i utrwalenia. Nie da się jednak zaprzeczyć, że jego nonkonformistyczne podejście zainspirowało rzeszę współczesnych artystów do eksplorowania granic medium i przyczyniło się do włączenia komiksu w obieg sztuki wysokiej. Przez chwilę Crumb rzeczywiście był królem, nawet jeśli despotą.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

OCZY MOJE ZWODZĄ PSZCZOŁY, *CSW Zamek Ujazdowski, wystawa czynna do 31 sierpnia*

Wystawa „Oczy moje zwodzą pszczoły” prezentuje fotografie 46 artystek i artystów, zarówno tych znanych i nagradzanych, jak Aneta Grzeszykowska, Joanna Piotrowska czy Karol Radziszewski, jak i reprezentantów najmłodszego pokolenia. W Zamku Ujazdowskim pokazywane są nie tylko tradycyjne odbitki, ale też obiekty przestrzenne oraz malarstwo, które – jak pokazuje twórczość Karola Palczaka – wciąż nie gorzej niż fotografia oddaje rzeczywistość. Częścią ekspozycji jest też pokaz książek fotograficznych, ważnego narzędzia prezentacji zdjęć.
Nie ma w Zamku Ujazdowskim fotografii dokumentacyjnej, klasycznego reportażu czy – z jednym wyjątkiem – zdjęć modowych. Jest za to twórczość skupiona na indywidualnym, niejednokrotnie bardzo subiektywnym, intymnym doświadczeniu. Michał Adamski mówi o umieraniu rodziców. Aneta Bartos fotografuje starzejącego się ojca-kulturystę.
Ale są też inne zdjęcia, jak te zrobione przez Rafała Milacha na protestach przeciwko decyzji Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, które opowiadają o Polsce ostatnich lat. Fotografia nadal może być narzędziem „zmiany społecznej, chociaż na takie efekty trzeba czasem czekać wiele lat” – przekonuje tekst towarzyszący wystawie. Zdjęcia mogą wreszcie opowiadać o tym, czego nie widzimy. Albo, o czym przypominają kuratorzy, dawać nam nieco przyjemności.
© PIOTR KOSIEWSKI

WYDZIAŁ 7: MEDIUM, *scen. Tomasz Kontny, rys. Antoni Serkowski, wyd. Kultura Gniewu*

„Ja wiem, żeś ty dzisiaj nie taka / Że krwawe przeżyłaś już dni / Że rozpacz i ból Cię przygniata / Że muszę nad Tobą zapłakać / Lecz taką jak żyjesz w pamięci / Przywrócę ofiarą swej krwi” – śpiewał Mieczysław Fogg w „Piosence o mojej Warszawie”. Niewiele utworów potrafiło tak trafnie oddać atmosferę powojennej stolicy, w której melancholia krzyżowała się z optymizmem, a tęsknota za przeszłością wyznaczała rytm melodii przyszłości.
Piosenka Alberta Harrisa wybrzmiewa w komiksie „Medium” w niespodziewanym momencie, kiedy to spirytystka Helena Kwiatkowska przychodzi do willi partyjnych notabli, aby przepędzić moszczące się w niej duchy. To zaledwie jeden z wielu przypadków opętań, do których doszło we wrześniu 1968 r.: zwiastun istnej inwazji upiorów.
Tomasz Kontny rozwija świat „Wydziału 7” – serii komiksów o nadnaturalnej Polsce – tworząc popową odpowiedź na „Festiwal” i „Brzask” Jacka Świdzińskiego. Scenarzysta reinterpretuje historię i umieszcza ją w ramach horroru, żeby za pomocą gatunkowych konwencji opowiedzieć o widmie wojny, które mimo upływu lat wciąż nawiedza warszawiaków. „Medium” to rozrywkowy komiks, który nie jest bynajmniej narzędziem polityki historycznej, lecz dowodem na to, że o przeszłości można opowiadać inaczej niż poprzez czytanki czy pomniki. © REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

PRÓBA GENERALNA *(sezon 2), reż. Nathan Fielder, Max*

Absolutnie szalony debiut tego reżysera, aktora i komika w jednej osobie nosił tytuł „Złoty dotyk Nathana” (2013-2017). Trudno o lepszą nazwę – wszystko, czego dotknie Nathan Fielder, zamienia się w komediowe złoto najwyższej próby. Właściwie i ze swojej pozaekranowej persony Kanadyjczyk zrobił jeden wielki parodystyczny performans. Znaki rozpoznawcze: kamienna twarz, niezręczna cisza, zakłopotanie widzów.
W „Próbie generalnej” jest tego wyjątkowo dużo – tak dużo, że nie zalecałbym seansu osobom uczulonym na tzw. *cringe comedy*. Kto jednak przyjmie, że serial Fieldera to w zasadzie realistyczny wgląd w nieudolność ludzkich relacji, doświadczy najoryginalniejszego dzieła dostępnego obecnie w streamingu.
W drugim sezonie Fielder porywa się na wielki projekt – chce zmniejszyć wypadkowość w amerykańskiej awiacji, wdrażając wśród pilotów osobliwe techniki komunikacji. Metoda? Symulacja przeróżnych scenariuszy, które mają nauczyć uczestników zachowań w realnym świecie. Efekt? Wielka metafora współczesnych dyskursów medialnych i niegasnący szok z obserwowania, do jakich absurdów posuwa się reżyser.
Nie wspomniałem jeszcze, że uczestnicy eksperymentów to nieświadomi niczego ludzie z łapanki, ale to tylko wisienka na torcie. Nie zdziwiłoby mnie nawet, gdyby w kolejnym sezonie okazało się, że wszyscy jesteśmy częścią wielkiego projektu Nathana.
© IGOR KIERKOSZ

TP DRODZY CZYTELNICY, W NAJBLIŻSZYM NUMERZE

Magazyn literacki

Książki w Tygodniku

w którym przyglądamy się sytuacji na rynku książki w Europie – od polityki wydawniczej po zmieniające się nawyki czytelnicze. Sprawdzamy, które kraje inwestują w biblioteki, a gdzie literatura musi walczyć o przetrwanie. Zajrzymy też za kulisy pracy tłumaczy, redaktorów i wydawnictw, które kształtują literacką mapę kontynentu.

„TYGODNIK” Z MAGAZYNEM LITERACKIM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 4 CZERWCA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

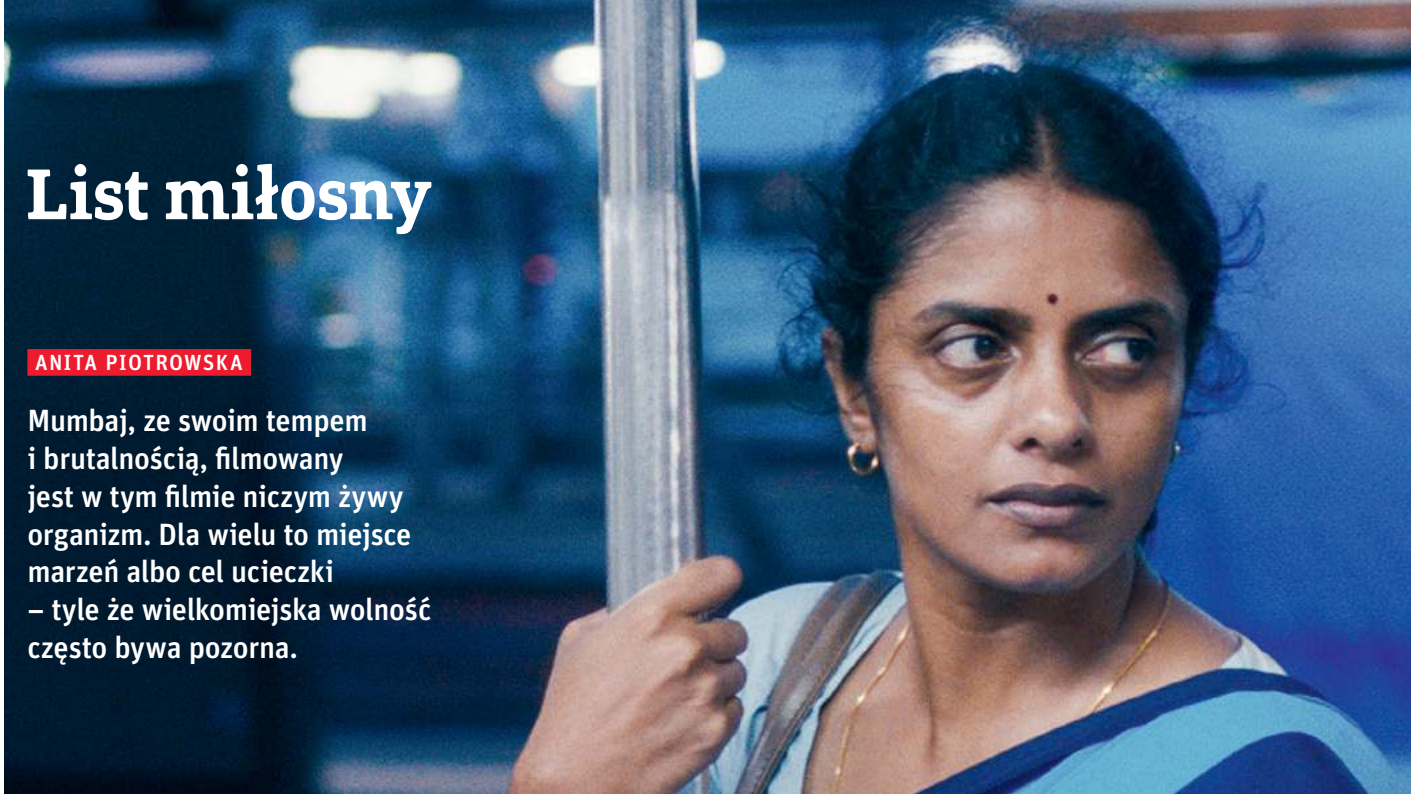

List miłosny

ANITA PIOTROWSKA

Mumbaj, ze swoim tempem i brutalnością, filmowany jest w tym filmie niczym żywy organizm. Dla wielu to miejsce marzeń albo cel ucieczki – tyle że wielkomiejska wolność często bywa pozorna.

Z jednej strony mamy przygniatające wiadomości o gwałtach i kobietobójstwach, z drugiej – kolorowe obrazki z Bollywoodu i wakacji na plażach Goa. Tymczasem film „Wszystkie odcienie światła" idzie pod prąd obiegowym wyobrażeniom na temat dzisiejszych Indii. Payal Kapadia stworzyła opowieść, w której społeczna wrażliwość spotyka się z subtelnym studium trzech kobiecych losów, dynamicznym portretem miasta, a nawet historią o duchach.

Od pierwszych minut seansu, kiedy błądzimy po wieczornym Mumbaju, łatwo się domyślić, że nie będzie to konwencjonalne kino „w kobiecej sprawie". Dokumentalnym obrazom ulicznego targowiska towarzyszą anonimowe głosy zza kadru – tych, którzy tworzą tę ludną, rozwibrowaną metropolię. Przybyli tu z najbiedniejszych, często bardzo odległych rejonów subkontynentu. Dlatego w filmie mieszają się języki, a tym, co nie zdołali opanować hindi, jeszcze trudniej się odnaleźć w wielomilionowym molochu. Często pozostają bezdomni, zagubieni, skazani na półniewolniczą pracę. Zanim kamera wyłuska w pociągu postać Prabhy, szpitalnej pielęgniarki (w tej roli Kani Kusruti), znajdziemy się w kinie, które mocno wierzy w rzeczywistość.

I nie jest to pierwszy raz, gdy Kapadia prowadzi wyrafinowaną grę między *fiction* i *non-fiction*. Jej nagradzany dokument „W mroku niepewności" z autentycznych listów miłosnych pisanych podczas zamieszek na kampusie w Delhi tworzył wielowarstwowy obraz kraju rozrywanego przez społeczne podziały i polityczną przemoc. „Wszystkie odcienie światła" nie są aż tak niepokojące w swym hybrydowym kształcie ani tak krytyczne w swoich diagnozach. Wręcz przeciwnie: to filmowa kraina łagodności, jakkolwiek pod powierzchnią można odkryć niejedno.

Już sama praca w mumbajskim szpitalu daje głębszy wgląd. Prabha czy jej młodsza koleżanka i zarazem sublokatorka Anu (Divya Prabha) mogą przejrzeć się w rozmaitych kobiecych historiach, spotykając się z pacjentkami. Ale mają też własne problemy. Cierpliwa i pokorna Prabha trwa w oczekiwaniu na powrót męża z Niemiec, a trzpiotowata Anu marzy o znalezieniu kąta, gdzie mogłaby się kochać ze swoim chłopakiem, pochodzącym – co gorsza dla nich obojga – z muzułmańskiej rodziny. To jeden z tych delikatnych znaków przypominających o politycznych realiach, czyli o państwie coraz bardziej niechętnym różnym mniejszościom. A także o mieście, którego niekontrolowana rozbudowa pociąga za sobą wiele ludzkich ofiar. Jedną z nich jest koleżanka bohaterek, szpitalna kucharka Parvathy (gra ją Chhaya Kadam). Owdowiała kobieta za chwilę może wylądować na bruku z powodu drapieżnej i bezkarnej deweloperki.

Mimo to film Kapadii przypomina list miłosny do rodzinnego miasta. Mumbaj, ze swoim tempem i brutalnością, filmowany jest niczym żywy organizm, w osobnych, „bezinteresownych" ujęciach, o różnych porach dniach, przy zmieniającej się pogodzie. Niemal czujemy w powietrzu zapach deszczu, spalin, potu i rybnego curry. Dla wielu to miejsce z marzeń czy cel ucieczki – tyle że ta wielkomiejska wolność często bywa pozorna. Co najmocniej uzmysławia druga połowa filmu, kręcona w nadmorskiej wiosce, na południe od miasta. Też pewnie jest jakąś fantazją, lecz indyjska reżyserka posiada wyjątkowy talent do łączenia paradokumentalnego konkretu z materią wyobrażeń. I namacalnej atmosfery miejsc z wewnętrznym światem postaci. Warto zwrócić uwagę, jak pięknie w filmie pracują wspomniane już pozakadrowe monologi. Niezależnie, czy są nimi głosy zebrane z ulicy, odtwarzane wiadomości tekstowe młodych kochanków, czy wiersz czytany przez zapatrzonego w Prabhę lekarza. Brzmią te wszystkie „offy" niczym wypowiadane na głos najintymniejsze myśli.

Film tak mocno zanurzony w indyjskich realiach, tych tradycyjnych i tych nowoczesnych, niepostrzeżenie przechodzi w inny wymiar realizmu. Finałowa wycieczka/ucieczka przypieczętowuje międzypokoleniową solidarność kobiet, ale ma w sobie również potencjał symbo-

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

WSZYSTKIE ODCIENIE ŚWIATŁA
(„All We Imagine as Light”) – reż. Payal Kapadia. Prod. Francja/ /Indie/Holandia/ /Luksemburg/Włochy 2024. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 30 maja.

Payal Kapadia jest indyjską reżyserką i scenarzystką. Jej pierwszy film, „W mroku niepewności” (2021), wybrano najlepszym dokumentem festiwalu w Cannes, gdzie 3 lata później za swój debiut fabularny, „Wszystkie odcienie światła”, otrzymała Grand Prix. Był to pierwszy od 30 lat film z Indii, pokazywany w konkursie głównym tego festiwalu. W tym roku zasiadała w jego jury.

Na zdjęciu: Kani Kusruti w filmie „Wszystkie odcienie światła”

liczny. Być może Anu, Prabha i Parvathy to w gruncie rzeczy ta sama kobieta, na różnych etapach życia: marzeń, gorzkiej mądrości i rezygnacji, która przerodzi się w nowy rozdział. Albo wyraz przemian, jakie dokonują się w kolejnych generacjach – widać to zwłaszcza po najmłodszej Anu. Buntuje się przeciwko antykobiecemu systemowi: aranżowaniu związków, kultowi przedmałżeńskiego dziewictwa czy przymusowi prokreacji.

Lecz najciekawiej robi się wtedy, kiedy do akcji wkraczają duchy. Kapadia potrafi balansować na granicy nadprzyrodzonego i w tej aurze niepewności odnaleźć pierwiastek zmysłowy, a nawet powiedzieć coś istotnego o losie indyjskich gastarbeiterów. Jednocześnie twórczyni filmu o pielęgniarkach nie robi tabu z urodzonego właśnie łożyska, by już za chwilę stworzyć najsubtelniejszą scenę erotyczną, pod okiem hinduskich bogiń.

Bo każde życie składa się z wielu odcieni, co reżyserka potrafi pokazać bez nachalnej dramatyzacji. Zresztą zmieniające się światło, to sztuczne i naturalne, zewnętrzne i domowe, miejski błękit monsunowej pory i ten wypełniający otwarte przestrzenie nad morzem, również urasta do rangi osobnego bohatera. Pozwala bohaterkom spojrzeć inaczej na swoją przeszłość i przyszłość. Filmowi zaś nadaje migotliwą teksturę, dzięki czemu cała opowieść nabiera płynnej, hipnotyzującej konsystencji, będąc zarazem tak blisko życia. Oraz wszystkich trzech bohaterek, których serdeczna więź dostarcza jedynej w tym momencie nadziei w konfrontacji z krzywdzącym obyczajem, lokalnymi czy globalnymi nierównościami.

A swoją drogą, dzięki „Wszystkim odcieniom światła” możemy odbić także w intrygujące rejony pozafilmowe i dostrzec innego rodzaju więzi. Otóż melancholijny klimat filmu tworzą w dużej mierze jazzujące fortepianowe kaskady skomponowane przez Emahoy Tseguédé-Maryam Guèbrou, etiopską mniszkę, zmarłą na rok przed premierą filmu w wieku 99 lat. Jej nadzwyczajna biografia ma swój wątek polsko-żydowski, w osobie Aleksandra Kontorowicza, cenionego skrzypka i pedagoga, który w latach czterdziestych XX wieku był nauczycielem pianistki w Kairze. I nawet sam sposób, w jaki reżyserka oddaje hołd Emahoy w napisach otwierających film, świadczy o ponadprzeciętnej wrażliwości. ©

Lektor:
Życie niemożliwe

▪ *Irena Grudzińska-Gross*
WIELKA KARUZELA. ŻYCIE ALEKSANDRA WEISSBERGA-CYBULSKIEGO
Wydawnictwo Znak, Kraków 2025, ss. 444

Kraków, ulica Mostowa na Kazimierzu. Miejsce modne: na rogu BARaWINO, dalej księgarnia Lokator, naprzeciw czeski pub Hospůdka u Nás. Właśnie tutaj, w kamienicy pod numerem 4, urodził się 8 października 1901 r. bohater tej książki.

Najpierw więc Kraków i dzieciństwo w zamożnej żydowskiej rodzinie kupieckiej. Od 1907 r. – Wiedeń, gimnazjum humanistyczne, studia fizyki. Członkostwo w partii socjaldemokratycznej, potem komunistycznej. Berlin. W marcu 1931 r. wyjazd do ZSRR. Lata „od utopii do koszmaru”: najpierw praca naukowa i organizacyjna w Charkowie, potem więzienie z torturami. I przekazanie więźnia w ręce nazistowskiego sojusznika.

Wiarygodna i wybitna pisarsko relacja o sowieckich doświadczeniach, zawarta w „Hexensabbath” (1951), czyli „Sabacie czarownic” (polskie wydanie w przekładzie Adama Ciołkosza i ze wstępem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego jako „Wielka czystka”, Paryż 1967) jest największym tytułem do chwały Aleksa Weissberga. Jej akuszerem był przyjaciel, Arthur Koestler, autor „Ciemności w południe”. Jak to się jednak stało, że Weissberg przeżył wojnę?

„Gadatliwy, pełen życia i energii – pisze Grudzińska – często opowiadał o swym wojennym życiu”. Odwiedzające go po wojnie w Paryżu dzieci przyjaciół niezbyt były tym zainteresowane, lepiej zapamiętały jego amerykański samochód, namiętność do czekolady i buldożki jego żony. Autorka musiała przeprowadzić skrupulatne śledztwo, by odtworzyć szalony bieg wydarzeń, tę mieszaninę szczęścia, przedsiębiorczości i sprytu, które sprawiły, że jej bohater ocalał. A potem – meandry jego powojennych interesów przed ostatecznym opuszczeniem Polski.

Lata powojenne to nie tylko „Wielka czystka”. To także zaangażowanie w procesy, które francuscy komuniści wytaczali w obronie dobrego imienia ZSRR, negując istnienie łagrów. To przyjaźń ze środowiskiem paryskiej „Kultury” i wsparcie w pozyskaniu dla niego nowej siedziby, która Instytutowi Literackiemu służy do dzisiaj. A także praca nad drugą książką: relacją Joela Branda o próbie ratowania Żydów węgierskich.

Dla mnie „Wielka karuzela” jest także galerią kobiet. Jak pierwsza żona Aleksa, Eva Striker. I druga, Zofia Cybulska, której nazwisko przyjął, której dyktował „Wielką czystkę” i która godziła się jakoś z tym, że kocha go bardziej niż on ją. Jak Ella Lingens. I Halina Nelken, nastolatka z krakowskiego getta zauroczona starszym od siebie „inżynierem”. Świetna to jest książka! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Luli laj, narodzie

Ze mną nie zginiecie. Po pierwsze, coś się znajdzie na ząb, w miarę zdrowego, mało przetworzonego i raczej stąd, bo znacie moją obsesję na punkcie oszczędnego korzystania, o ile to możliwe, z dobrodziejstw globalizacji. Wszystko w granicach rozsądku. Napotkałem ostatnio, idąc Rynkiem, miłą czytelniczkę, pogawędziliśmy przez jakieś sto metrów o sezonie na to i owo, po czym pożegnałem się w drzwiach do dyskontu. – To ty kupujesz w Biedronce? – spytała mnie lekko zgorszona. Cóż, zachciało mi się bakłażana, a w maju naprawdę nie ma znaczenia, gdzie go kupię: wielka sieciówa czy stragan na placu – i tak będzie z Hiszpanii. W dodatku dają tam też tanie hiszpańskie pomidory, które w ogóle nie nadają się do jedzenia na surowo, ale doznają cudownej przemiany w piekarniku, przekrojone na pół, posypane jakimś ziołem i polane oliwą.

Do czego ten bakłażan był mi konieczny, tego się dowiecie na końcu, na pewno coś zjemy. Ale przecież nie mniej ważny jest głód wiedzy, który niezawodnie wam zaspokajam, byście zdołali się odnaleźć w wartkim potoku zdarzeń i nie wypadli z hukiem na nieoczekiwanych zakrętach rzeczywistości. Nie dalej jak tydzień temu gościliśmy tu grupę szympansów z Gwinei, zastanawiając się, co wynika dla nas z obserwacji ich biesiady na bazie sfermentowanych owoców chlebowca. Mowa więc była o funkcji wspólnototwórczej jedzenia, a zwłaszcza picia, o rytuałach obudowanych wokół gromadnego przyjmowania alkoholu jako społecznym kleju. Wygląda na to, że jeśli człowiek pochodzi od małpy, to także od niej pochodzi zwyczaj wychodzenia z kolegami na piwko. Po robocie, po meczu, po debacie. Dzięki temu wasz aparat poznawczy był dokładnie przygotowany, by pojąć, co się w sferze symbolicznej dzieje, gdy inna grupa ssaków naczelnych zasiadła w pewnym toruńskim pubie z kuflami w rękach.

GRAŻYNA MAKARA

Filmik był niemy, ale kto by tam chciał wiedzieć, o czym oni gadali. Liczył się sam obraz. Miał ogromną moc łagodzącą, jakby w nasze żyły, choć nie mieliśmy ani kropli piwa w ustach, zręczny spindoktor wsączył żółtą strużkę lupuliny – to potężny chmielowy uspokajacz, na równi z alkoholem odpowiedzialny za efekt potocznie zwany ululaniem. Luli laj, narodzie. Odpalono na naszych oczach archetyp kumpelskiej więzi, otwartych serc i pokoju, czy w każdym razie chwilowego zawieszenia broni. Panowie, dość tego, chodźmy na piwo.

ELENA ROSTUNOVA / SHUTTERSTOCK

A co w takiej sytuacji mają robić i jak się zachować panie? Kobiet ten archetyp nie przewiduje, więc równość, parytety i wietrzenie męskiej szatni to na inną rozmowę. Przy herbatce? Nie mam narzędzi, by pojąć, dlaczego ten męski *vibe* spotkania nie okazał się politycznym balastem. Mam wrażenie, że prosty jak podział pół-na-pół feminizm, w jakim wyrastałem, jest coraz bardziej odklejony od przeżyć i pojęć ludzi młodszych o pokolenie lub więcej. Od elektoratu Sławomira Mentzena, ale i klienteli jego lokalu. Zajrzyjcie przy okazji bytności w Toruniu, albo choćby wirtualnie, bo sam właściciel oprowadza na filmikach. I chwali się np. licznymi grafikami na ścianach – a niektóre nawet niezłe, zabawne – obśmiewającymi całą formację politycznych zgredów bez różnicy. Patrzą ci różni starsi politycy ze ścian jak niegroźne dziaderskie zoo.

Pije się tam piwo, rzecz jasna, a co jada? Burgery i frytki wysmarowane serowym sosem. Na sam widok paluszków z panierowanej mozzarelli zawyła mi wątroba. Jutuber Książulo, który niestrudzenie odwiedza takie lokale, wylicza na nagraniu, co zawierał jego burger: rolada ustrzycka, boczek w glazurze, placek ziemniaczany. I dodaje: „często burgery obiecują wiele, a potem się to okazuje, że smakują jak zwykły zlepiak”. Nieświadomie wyszła mu celna polityczna puenta i tak to zo-

Pub The Devonshire w Londynie, 2023 r.

stawmy, bo ileż można tej kampanii. I takiego żarcia.

Ale uchwyćmy jeszcze na moment coś ważnego w tej historii. Pub. Dla mnie to słowo jeszcze dzwoni obco, wciąż przypomina mi szkolne lekcje angielskiego i książki o brytyjskiej kulturze robotniczej. Ale zrobiło się z tego w zeszłym ćwierćwieczu normalne, codzienne polskie słowo. Co takiego spowodowało, że w chwili przełomu ustrojowego, kiedy nasza kultura materialna i obyczaje weszły w okres turboprzemian, nie wróciły po prostu piwiarnie? Bo się mogły kojarzyć zbyt plebejsko, prześnie i smrodliwie? Wiele różnych angielskich słów służyło nam wtedy jako perfuma i lakier. Potem przestaliśmy się tak wstydzić polskości, nasze kompleksy złagodniały. A jednak pub pozostał, oznacza dowolny trochę lepszy lokal z piwem i jakimś choćby podstawowym jedzeniem. Ten typowo polski nie ma wiele wspólnego z którąkolwiek wersją pubu po brytyjsku, od wielkich, lśniących mosiądzem, wielosalowych lokali przy głównej ulicy po wiejskie gospódki z dwoma pokoikami na pięterku. To fascynujące miejsca, łączące piwny, z lekka spocony, przeważnie męski gwar z jakąś nieuchwytną godnością, która nigdy nie pozwoli takiego miejsca nazwać mordownią czy speluną.

Jest ich zresztą coraz mniej, ubywa ich w tempie dwóch dziennie. Jeszcze się okaże, że to my przejmiemy od Brytyjczyków pałeczkę. W końcu, geograficznie patrząc, są takimi samymi peryferiami Europy, jak my.

Polska Norma

Po co mi był ten bakłażan? Spodziewałem się wegetariańskich gości, a różne potrawy z tego warzywa potrafią być sycące na podobieństwo mięsa. Zwłaszcza szybki wariant sycylijskiego sosu alla Norma, spolonizowany – i pozbawiony makaronu – przeze mnie wiele lat temu. Podaję go jako samodzielne danie albo dodatek do serów, z niezmiennie dobrymi skutkami.

MAKS NARODENKO / ADOBE STOCK

SKŁADNIKI:
1 duży bakłażan 3 pomidory śliwkowe ▪ suszona owcza ricotta ▪ oliwa ▪ sól ▪ oregano

Kroimy bakłażana na plastry około 3 mm grubości. Smarujemy brytfankę oliwą, układamy plastry w dachówkę, solimy, posypujemy oregano, skrapiamy oliwą. Jeśli zostały nam jeszcze plastry, układamy drugą warstwę, starając się, żeby nie przylegała całkiem do pierwszej. Na wierzchu układamy pomidory pokrojone w ćwiartki, również posolone. Wstawiamy do piekarnika nagrzanego do 180 st. Po ok. 20 minutach delikatnie odwracamy plastry bakłażana, sprawdzamy, czy nic nie przywarło. Pieczemy jeszcze 10 minut albo aż do chwili, kiedy bakłażan będzie całkiem miękki, a pomidory prawie się rozpadną. Posypujemy tartą owczą suszoną ricottą – ten ser można już dość łatwo znaleźć w Polsce, a jest fundamentalny dla dań z Sycylii, nie topi się jak parmezan czy pecorino. Ale jeśli go nie mamy, możemy dać któryś z tych serów albo – co jeszcze ciekawsze – wędzony twaróg. Zresztą i bakłażany przed pieczeniem można posolić wędzoną solą, jeśli mamy w domu, nie zaszkodzi. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

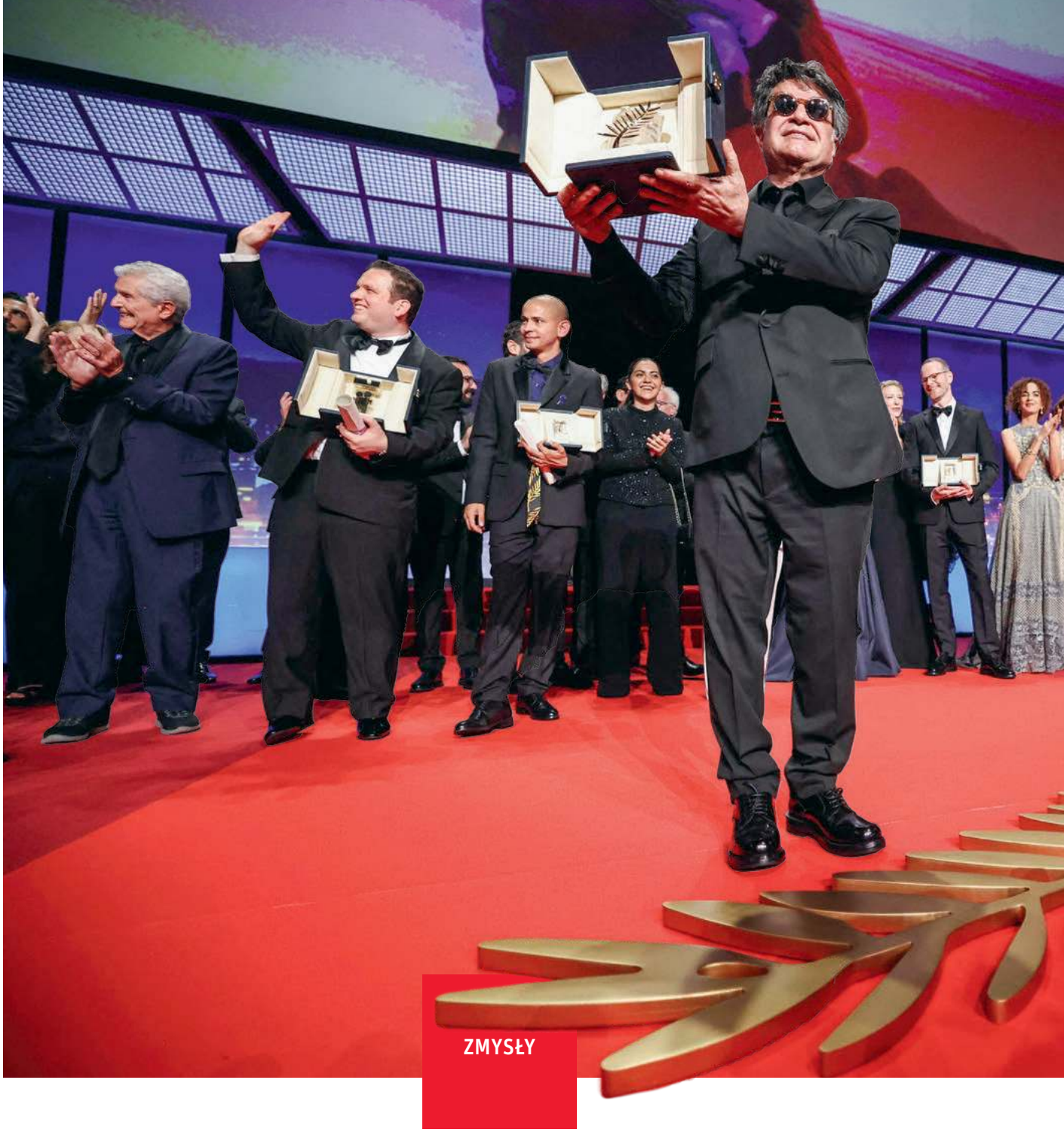

ZMYSŁY

CYRK I KATEDRA

Kolejka, w której stoimy, ciągnie się z Cannes do wieczności. „Zaraz ktoś powie, co o festiwalu mawiał Jean-Luc Godard" – śmieje się kolega, przestępując z nogi na nogę. W punkt! Godard mawiał, że Cannes to jednocześnie cyrk i katedra. A ja się z nim zgadzam.

MICHAŁ WALKIEWICZ Z CANNES

VALERY HACHE / AFP / EAST NEWS

Irański reżyser i dysydent Jafar Panahi otrzymał Złotą Palmę za film „Un Simple Accident". Cannes, 24 maja 2025 r.

Trudno wytłumaczyć fenomen tego festiwalu komuś, kto nigdy nie był zażenowany cyrkiem i nie przeżył epifanii w katedrze. Jeszcze trudniej uzmysłowić ludziom, że słońce, plaża, czerwony dywan oraz najnowsze filmy nie są uniwersalnymi symbolami szczęścia – nawet jeśli pozostają elementami przyjemnej z zasady pracy.

Sam jeżdżę do Cannes od dwunastu lat i moja relacja z festiwalem nigdy nie była trudniejsza. Podczas gdy Berlin, San Sebastian czy Wenecja wracają do mnie jako powidoki z upalnych kinowych nocy, impreza na Lazurowym Wybrzeżu kojarzy mi się wyłącznie z orką na ugorze. Anachroniczną formułą seansów, segregacją dziennikarzy, chamską obsługą, problemami technicznymi, internetem na korbkę, światłowodami z chrustu oraz z szokującą nadreprezentacją Francuzów w Konkursie Głównym. Wreszcie – kojarzy mi się Cannes z filmami losowanymi na zasadzie rzutu kostką.

Pytanie, dlaczego wciąż tam wracam, pozostaje jednak retoryczne: mogę tupać nogą, ale to wciąż najważniejsza filmowa impreza świata.

Religia i polityka

Uparłem się, żeby nie przeczytać „Cannes. Religii kina" Tadeusza Sobolewskiego – książki, o której intensywnie dyskutuje się dziś w filmoznawczych oraz krytyczno-filmowych kręgach. I miałem ku temu dobry powód. Otóż cykl wspomnień z imprezy dla autora formacyjnej jest – jak zauważyła Klara Cykorz w tekście dla dwutygodnika.pl – praktycznie wyzuty z ironii. „Z tego wynika duch (oraz tytuł) całego tomu: canneński ceremoniał w większości krytyków budzi albo złośliwość, albo gorący sprzeciw. Sobolewskiemu natomiast uruchamiają się skojarzenia z religią, z całą jej ambiwalencją, ale przede wszystkim – wzniosłością" – pisze autorka. Tymczasem jeśli Cannes na coś zasługuje, to właśnie na bacik ironii.

Jak się domyślacie, plan nie wypalił. Sobolewskiego przeczytałem jednym tchem, pomimo faktu, że potwierdził moje przypuszczenia. Doświadczenie religijne na festiwalu nie jest moim doświadczeniem. Muszę się natomiast zgodzić, że skala „wzniosłości" pozostaje dość szeroka. Dla przykładu w tym roku, w trakcie ceremonii otwarcia, Cannes oddało hołd palestyńskiej fotoreporterce Fatimie Hassounie, ofierze jednego z nalotów w Gazie. Zafiksowany na połajankach za polityczną przezroczystość, nie spodziewałem się takiego zwrotu akcji.

Przyznanie irańskiemu dysydentowi Jafarowi Panahiemu Złotej Palmy jest już odbierane jako jeden z podobnych politycznych aktów. Jak zwykle w takim kontekście, warto zwrócić uwagę na artystyczną jakość filmu. Ale też trudno boksować się z rzeczywistością. „Un Simple Accident" to w końcu opowieść o mężczyźnie, który po feralnym wypadku drogowym wkracza na kurs kolizyjny z dawnym więziennym oprawcą. Z czasem naturalistyczna konwencja oraz gęsta fraza odsłaniają prawdę o powinnościach władzy i granicach wolności obywatelskiej, o różnicy między zemstą a sprawiedliwością, o moralności Kalego.

Wybory i pieniądze

Festiwal przypadł na czas I tury wyborów prezydenckich w Polsce. Na Riwierze toczyły się więc podjazdowe wojenki między zatwardziałymi „drugoturowcami" a tymi, którzy przedłożyli obywatelski obowiązek nad kino. W teorii festiwal w Cannes nie ma wiele wspólnego z europejską polityką. W praktyce jednak impreza funkcjonuje w dziwacznym politycznym limbo, zatem każde małe święto demokracji jest tu na wagę złota. Z kronikarskiego obowiązku wspomnę, że chyba się udało. W I turze w sąsiedniej Nicei zagłosowało prawie 83 proc. z 1162 uprawnionych do głosowania rodaków.

Nie chcę nikogo przekonywać, że tacy to z nas, dziennikarzy filmowych, wzorowi obywatele. Piszę o tym dlatego, że Cannes, będące w istocie symulakrum niedostępnego maluczkim „wielkiego świata", rzadko pozwala dostrzec jakąś pozafilmową rzeczywistość. Nawet jeśli historia festiwalu odmierzana jest politycznymi aktami – protestami majowymi z 1968 r., ↦

↦ marszem kobiet z 2018 r. czy gestami solidarności z uwięzionym w 2010 r. Panahim – to zazwyczaj funkcjonują one w próżni. Zasilana w dużej mierze amerykańskimi pieniędzmi, biznesowo-marketingowa machina zamienia ją w element canneńskiego folkloru.

Przed piętnastoma laty fotel Panahiego stał w Grand Théâtre Lumière pusty. Na kartce widniało jego nazwisko, na ekranie wyświetlano jego film, tymczasem reżyser przebywał w areszcie w Teheranie. Tym razem mógł usiąść w fotelu i doświadczyć owacji na stojąco. Francję opuszcza ze Złotą Palmą, jako jedyny żyjący zdobywca „potrójnej korony" za główne laury na festiwalach w Cannes, Wenecji i Berlinie. Wcześniej ta sztuka udała się tylko trzem reżyserom – Henriemu-Georges'owi Clouzotowi, Robertowi Altmanowi i Michelangelo Antonioniemu.

Piękno canneńskiego festiwalu polega na tym, że wśród zapętlonych ścieżek, którymi chadzają mistrzowie, **można czasem trafić na wąziutki, niewidoczny gołym okiem szlak.**

Laury i plotki

W cieniu tego sukcesu, bez nagród, z Cannes wyjeżdża Ukrainiec Siergiej Łoźnica. O jego „Dwóch prokuratorach", czyli kronice stalinowskiego terroru na podstawie opowiadania fizyka teoretycznego oraz więźnia gułagu Gieorgija Demidowa, mówiło się sporo w kontekście Złotej Palmy. Ostatecznie jednak film przepadł w morzu intymnych rodzinnych portretów (nagrodzone Grand Prix „Sentimental Value" Norwega Joachima Triera), zamaszystych formalnych eksperymentów (monumentalne, uhonorowane Nagrodą Specjalną „Resurrection" chińczyka Gana Bi), przestrzelonych satyr (okropny „Eddington" mistrza kina grozy Ariego Astera) oraz mistrzowsko-uczniowskich pogadanek (z braćmi Dardenne mierzył się ich mniej zdolny epigon, Dominik Moll).

Szkoda. No bo skoro już bawimy się w politykę, a jednocześnie boimy się wiążących komunikatów jak ognia, nagrodzenie Łoźnicy byłoby salomonowym wyrokiem. A tak znów zostajemy z niejasnym stanowiskiem organizatorów w kwestii Ukrainy i Rosji. Przed trzema laty rosyjskim delegacjom zabroniono wstępu na festiwal. Później zniesiono zakaz pod warunkiem publicznego odcięcia się od putinowskiego reżimu.

Z powodu apatyczności canneńskiego dyrektorstwa po kuluarach fruwały w tym roku teorie spiskowe. Na przykład o tajnych pokazach i wywiadach dla Rosjan, albo o forach dla Ukraińców w wyścigu o rozmowy z największymi gwiazdami kina. Najwyraźniej naiwniak ze mnie, skoro myślę, że wszystko dałoby się rozwiązać jednym przemyślanym oświadczeniem.

Filmów, w których skomplikowane mechanizmy polityczne odmalowywano półcieniami, było niewiele. Ale to właśnie jeden z nich zrobił na mnie największe wrażenie. Zgarnął też zasłużone nagrody za reżyserię oraz dla najlepszego aktora, znanego z „Elitarnych" oraz serialu „Narcos" Brazylijczyka Wagnera Moury.

„O agente secreto" („Tajny agent") Klebera Mendonçy Filho to podróż do Brazylii lat 70., samego jądra ciemności. Na wschodzie kraju rządzonego przez dyktaturę pojawia się ścigany przez władzę mężczyzna. Chciałby chwycić syna pod pachę, wyrwać się ze szponów systemu i przekroczyć granicę. Łatwiej powiedzieć niż zrobić – w dusznym Recife, gdzie reżyser nakręcił wszystkie swoje filmy, bezprawie jest jednocześnie religią i dziedziczonym brzemieniem.

Biel i czerń

Wiem, że to szokująca prawda, ale – lepiej usiądźcie – krytycy filmowi nie kręcą zazwyczaj dobrych filmów. Ktoś zawoła: „Co z Nową Falą?", a ja odpowiem: „Trzeba jeszcze cenić Nową Falę". Filho też był krytykiem, lecz w swojej reżyserskiej pracy zamienił to w atut. Jak nikt rozumie sedno gatunkowego rytuału i niemal każdą konwencję potrafi przenicować tak, że ręce same składają się do oklasków. „Tajny agent" to kino szpiegowskie bez intrygi, dramat społeczny bez nadziei, wreszcie – thriller z napięciem ledwie pulsującym pod grubą membraną psychodramy. Mówiąc krótko – wielka sprawa.

À propos nowofalowców. Pomnik w czerni i bieli postawił im w tym roku mistrz amerykańskiego kina niezależnego, Richard Linklater (twórca „Boyhood" czy trylogii „Przed wschodem słońca"). I niech mnie Belmondo postrzeli z biodra, jeśli nie powstał on na zamówienie władz festiwalu.

„Nouvelle Vague" rozpoczyna się w Cannes, gdzie przy kawce i papierosku odpoczywają sobie legendy francuskiego kina – François Truffaut, Agnès Varda, Éric Rohmer, Claude Chabrol, Jacques Rivette. Młodziutki Jean-Luc Godard przygląda im się z zazdrością. W jego głowie powoli kiełkuje „Do utraty tchu", ale najpierw trzeba pogadać o pryncypiach sztuki oraz etosie artysty. No i jest gadane. A potem – kręcone.

Jak na ironię jednak, wycyzelowany formalnie, konserwatywny narracyjnie i generalnie grzeczniutki hołd Linklatera raczej nie spodobałby się Godardowi. „Montujmy obrazy tak jak śnimy: bez chronologii, bez logiki, ale z uczuciem" – mawiał francuski reżyser. Amerykanin zaś wyznaje miłość na jawie.

Alfa i omega

Nagrodzona przed czterema laty Złotą Palmą za „Titane" Francuzka Julia Ducournau wróciła na Lazurowe Wybrzeże z najdziwniejszym filmem festiwalu. „Alpha" to podobno metafora epidemii AIDS, rozegrana w alternatywnej rzeczywistości przełomu wieków. Z pistoletem przy skroni nie odpowiedziałbym na pytanie, dlaczego właśnie AIDS, a nie, dajmy na to, COVID.

Jeśli jednak idzie o wykwity dzikiej wyobraźni oraz narracje o ekstremalnych formach egoizmu, „Alpha" to kawał kina. Podczas gdy ofiary tajemniczego wirusa zamieniają się w marmurowe posągi, widz zanurza się w subtelną opowieść o tym, że można kochać za bardzo – zwłaszcza jeśli jest to miłość własna.

Podoba mi się ta strategia artystyczna. Ewidentnie zmusza Ducournau do poszukiwań nowych tematów, gatunków oraz kulturowych dyskursów. Jeśli natomiast istnieje w przyrodzie jej egzystencjalne przeciwieństwo, to musi być nim Wes Anderson.

Amerykanin pokazał w Cannes „Fenicki układ" i rozpoczął tym samym kolejną rundę krytyczno-filmowego bingo. W recenzjach zaroiło się od „symetrycznych dioram", „wizualnych uczt", „pastelowych barw" oraz „zakręconych postaci".

Najbardziej niedocenione filmy tegorocznego Cannes

MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU CANNES

▪ **ALPHA**, reż. Julia Ducornuau

Dystopijna opowieść o epidemii i rozpadającej się za jej sprawą rodzinie nie jest najlepszym filmem w dorobku Ducournau – ma ona bowiem na koncie świetny horror „Mięso" oraz nagrodzone Złotą Palmą „Titane". Może być jednak filmem najlepiej zagranym. Wychudzony, znany z „Proroka" Tahar Rahim daje występ godny wszelkich nagród.

TPS PRODUCTIONS / FOCUS FEATURES

▪ **FENICKI UKŁAD**, reż. Wes Anderson

Fakt, że Wes Anderson zżera własny ogon, nie jest zaskakujący. Za sporą niespodziankę należy jednak uznać „Fenicki układ", czyli próbę wyrwania się z zaklętego kręgu. Nagroda za scenariusz bądź specjalne wyróżnienie jury byłyby na miejscu. Kto wie, kiedy następnym razem zobaczymy reżysera w tak dobrej formie?

MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU CANNES

▪ **SIRAT**, reż. Oliver Laxe

Rave jako metafora egzystencjalnej matni? W kinie Olivera Laxe'a wszystko jest możliwe. Jeden z najbardziej energetyzujących filmów imprezy uhonorowano Wielką Nagrodą Jury *ex aequo* z fantastycznym „Sound of Falling". Szkoda. W obydwu przypadkach jest to nagroda pocieszenia.

Pod wszystkimi tymi „andersonizmami", co zaskakujące, ukrył się jednak człowiek z krwi i kości. To grany przez Benicio Del Toro król wszystkich przemysłowych magnatów, facet, który oddałby całe bogactwo świata za miłość córki. Banał? Być może, ale płynący z przewrotnej historii o transakcyjności międzyludzkich relacji.

Mężczyźni i kobiety

Wreszcie – dwa filmy o kobietach w stanie permanentnego zagrożenia. Amerykański i niemiecki. Jeden intelektualnie „przestrzelony" i pominięty przy nagrodach. Drugi ocierający się o arcydzieło i uhonorowany Wielką Nagrodą Jury.

Oglądanie „Die, My Love" Lynne Ramsay oraz „Sound of Falling" Maschy Schilinski jednego dnia byłoby ciekawym doświadczeniem. Zaczęlibyśmy bowiem od histerycznej, rozedrganej formalnie opowieści o erozji związku i matczynej rebelii, a skończyli w gigantycznym archiwum męskiej opresji, wśród dokumentów sięgających XIX wieku.

Film Schilinski rozpada się na cztery niezależne historie połączone miejscem akcji – wiejskim gospodarstwem na północy Niemiec. Rozgrywają się one kolejno u progu XX stulecia, w przededniu II wojny światowej, w latach 80. ubiegłego wieku oraz współcześnie, będąc kroniką życia czterech umęczonych kobiet.

Cielesność, seksualność, męskie spojrzenia, społeczne gorsety związane z rodziną, pracą, konwenansami. „Sound of Falling" jest opowieścią o wszystkich tych rzeczach, ale też o czymś znacznie ważniejszym. Wybitna montażystka Evelyn Rack zamienia ruchomą pożółkłą fotografię w wielki międzypokoleniowy dialog. Poprzez ciągłość doświadczeń docieramy do ulotnej prawdy o jednostce w trybach nienaruszalnego, odwiecznego układu społecznego.

Światło i ciemności

„Dewizą Cannes jest wiara, że gdy artysta przemówi własnym głosem, widz za nim pójdzie" – pisze w „Religii kina" Sobolewski. Oglądając filmy tegorocznego konkursu, miałem wrażenie, że czasem trudno jest wykonać pierwszy krok. Piękno canneńskiego festiwalu polega jednak na tym, że wśród zapętlonych ścieżek, którymi chadzają wyliniali mistrzowie, można czasem trafić na wąziutki, niewidoczny gołym okiem szlak. W tym roku przewodnikami po nim byli Filho, Schilinski i – zawierzę tu kolegom i koleżankom po fachu – Trier.

Ostatniego dnia festiwalu na południu Francji zgasły światła. Awaria prądu zatrzymała życie w Alpach Nadmorskich. Choć sparaliżowała Cannes, nie zatrzymała ceremonii zamknięcia imprezy. Można z tego ulepić kilka metafor, na przykład o kinie, które bywa świtem po najciemniejszej nocy.

Ja wolę jednak wersję apokaliptyczną. Jeśli Cannes chce przetrwać kolejne 78 lat przy zapalonych światłach, musi się zmieniać. Odmłodnieć, spoważnieć i przede wszystkim – zmierzyć się z prawdziwym światem.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

TOMASZ

Stawiszyński: *Wyjście z matni*

Wydaje mi się, że mniej więcej od 15 lat narastają w Europie cztery główne zbiorowe lęki. Kto potrafi je dostrzec i sformułować na nie odpowiedzi satysfakcjonujące dla wyborców – co, rzecz jasna, nie znaczy: konstruktywne, adekwatne i dobre, bywa, że dokładnie na odwrót – ten zyskuje poparcie i wygrywa wybory. Kto zaś je ignoruje albo deprecjonuje tych, którzy się lękają, prędzej czy później zbiera tego polityczne żniwo.

Jakie to lęki? Pierwszy – przed szeroko rozumianymi problemami wywołanymi masową migracją, porażką projektu multi-kulti, konfliktem kulturowym. Drugi – przed zanikiem lokalności, tradycyjnych przywiązań i sposobów życia, w tym regionalnych i narodowych tożsamości, które, przemieszane w wielkim tyglu, wyblakną, a w końcu zanikną. Trzeci – wzmocniony zwłaszcza w pandemii – przed nieprzewidywalnością, niestabilnością, brakiem jasnych szlaków, którymi da się w życiu podążać przed siebie, do jakiejś zadowalającej pracy, rodziny, poczucia autonomii, spokoju, spełnienia. Czwarty – aktywowany 24 lutego 2022 r., intensyfikujący i radykalizujący pozostałe, a zarazem rosnący na ich pożywce – przed wojną, przed końcem świata, jaki znamy, katastrofą, utratą bezpieczeństwa, okrucieństwem, przemocą i śmiercią.

Z uwagi na rozmaite sploty interesów, wartości, wizji, teorii, przypadków, błędnych rozpoznań i decyzji, liberałowie i lewica, choć mówią w wielu sprawach odmiennymi głosami, rozminęli się i rozmijają w ostatnich latach z tymi czterema lękami. Nie potrafią sformułować na nie przekonujących remediów, a bywa, że negują ich istnienie, zarzucając ludziom, którzy je zasadnie lub bezzasadnie żywią, że skoro się boją, to znaczy, iż cechują ich jakieś charakterologiczne czy moralne defekty. Np., że skoro obawiają się konsekwencji napływu migrantów do swojego kraju czy miasta, dowodzi to automatycznie, że są ksenofobami i egoistami, którzy odwracają się od ludzi w potrzebie. W 2017 r. na łamach „Krytyki Politycznej" (a *primo voto* na łamach „Project Syndicate") pisał o tym Robert Skidelsky, lewicowy brytyjski polityk i ekonomista: „Dla większości ludzi obywatelstwo to coś, do czego się rodzimy. Wartości wyrastają z konkretnej historii i geografii. Jeśli struktura ludności danej społeczności zmienia się zbyt szybko, to odcina ludzi od własnej historii, sprawia, że zaczynają dryfować i tracą korzenie. Liberalny lęk przed wyjściem na rasistę ukrywa przed nimi te prawdy. Nieuchronnym skutkiem tego wszystkiego jest to, co nazywa się teraz populizmem".

Tam więc, gdzie liberalno-lewicowa opowieść nie sięga i nie umie zareagować na społeczne lęki, prędzej czy później pojawia się ktoś, kto te lęki dostrzeże i wykorzysta. Dodatkowym problemem, jaki ma dziś do przepracowania obóz liberalno-lewicowy, jest trudna do zaakceptowania okoliczność, że co najmniej przez ostatnią dekadę to prawica wszystkie te lęki dostrzegała, nazywała i pożytkowała w politycznej perswazji. Dostarczała także na nie spójnych odpowiedzi, nawet jeśli z perspektywy liberalno-lewicowej jawiły się one jako błędne i moralnie niedopuszczalne.

Dziś liberałowie i lewica stali się więc poniekąd zakładnikami swoich niedawnych postaw i programów. Problemy i obawy, których nie traktowali poważnie, albo na których podważaniu czy umoralnianiu starali się zbijać kapitał polityczny, okazują się coraz bardziej dojmujące. A kiedy próbują się teraz z nimi mierzyć – kiedy stają wobec wyzwań związanych z zapewnieniem ludziom bezpieczeństwa, stabilności, ale i poczucia godności, przynależności, wspólnoty, zbiorowej tożsamości – wówczas albo uporczywie trwają przy dotychczasowym stanowisku, albo zaczynają nagle mówić dokładnie tym językiem, który przed chwilą zapalczywie deprecjonowali. Nadmiernie przyzwyczajeni do umocowania na pozycji elit, koncentrowali się zbyt długo na coraz radykalniejszej wojnie z oponentami, mniej zaś na budowaniu pozytywnej propozycji odpowiadającej na wyzwania epoki.

Tyle że straszenie politycznymi przeciwnikami przestało już działać. M.in. dlatego właśnie, że po objęciu władzy liberałowie zaczęli znienacka mówić i robić to, co wcześniej sami głośno piętnowali. W ten sposób, przynajmniej u części elektoratu – zarówno swojego, jak i labilnego – stracili wiarygodność. A doszło do tego także pomieszanie proporcji, zamazywanie różnicy pomiędzy konserwatywną, demokratyczną prawicą a radykałami i populistami, wrzucanie wszystkich do jednego worka w ferworze rozszalałej polaryzacji. Oczywiście, najbardziej korzystają na tym autentyczni radykałowie i populiści, to ich bowiem w dużym stopniu normalizuje, winduje do popularności i władzy.

Czy istnieje jakieś wyjście z tej sytuacji? Tylko jedno: uznanie rzeczywistości, stawienie czoła realnym potrzebom i lękom społecznym. Jak by to jednak mogło wyglądać w praktyce? Czy możliwe jest jeszcze zakopanie toporów, taktyczny sojusz odpowiedzialnych, przywiązanych do demokracji, pluralizmu i wolności sił politycznych z różnych stron barykady – prawicy, lewicy i centrum? A może coś tu poradzi nowy papież, który – jak się wydaje – doskonale rozumie palącą konieczność wyjścia z tej matni? ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

Wstęp darmowy

ŚWIĘTO SOLI

8.06.2025 r. Niedziela, godz. 10.00-18.00

Zamek Żupny i Ogród Żupny
ul. Zamkowa 8, Wieliczka

Imprezie towarzyszy wystawa „Piękno soli" - wystawa najpiękniejszych, geologicznych okazów soli z solnych ośrodków Europy

Przemarsz Reprezentacyjnej Orkiestry Dętej Kopalni Soli „Wieliczka": Szyb Daniłowicza - Dziedziniec Zamku Żupnego	10.50
Oficjalne otwarcie	11.00

ZWIEDZANIE

Bezpłatne zwiedzanie Zamku Żupnego	12.00-18.00
Oprowadzanie po dziedzińcu zamkowym osób z niepełnosprawnością słuchu z tłumaczem PJM	12.30

Wystawa fotografii: Warzelnia soli „SALCO" z Łapczycy

RODZINNY SOLNY QUEST 11.00-16.00

SOLNA STREFA EDUKACYJNA

DZIEDZINIEC ZAMKOWY 10.00-17.00

- Stanowisko archeologiczne
- Zjazd u liny z XIV-wiecznej baszty
- Ruchoma ścianka wspinaczkowa
- Warsztaty z masą solną (solniczki)
- Malowanie solniczek
- Wykonywanie dokumentu z pieczęcią

SOLNA STREFA EDUKACYJNA

OGRÓD ŻUPNY 10.00-17.00

- Strefa dla najmłodszych (puzzle, karty pracy)

WYSTAWA

Imprezie towarzyszy wystawa „Piękno soli" - to najpiękniejsze geologiczne okazy soli z solnych ośrodków Europy

ZABAWY I AKTYWNOŚCI

SCENA - DZIEDZINIEC ZAMKOWY

- Zabawa loteryjna „Kosz z solą" 13.00, 15.30
- Magiczny pokaz iluzjonistyczny 13.30
- Bajka „Opowieść o kuchennej solniczce" 15.00

MUZYKA NA ŻYWO

SCENA – DZIEDZINIEC ZAMKOWY

- Reprezentacyjna Orkiestra Dęta Kopalni Soli „Wieliczka" 12.00
- Koncert finałowy – Kraków Street Band 17.00

Z ŻUPNEGO KOTŁA

Karczma u Żupnika – specjały z kuchni żupnej i nie tylko

WARSZTATY I POKAZY RZEMIEŚLNICZE

- Warzenie soli
- Skręcanie lin
- Lepienie garnków
- Czerpanie papieru
- Wikliniarstwo
- Wykuwanie w metalu
- Wykonywanie beczek
- Rzeźbienie w soli
- Wykonywanie solnej biżuterii

POKAZY OŚRODKÓW SOLNYCH

Kopalnia Soli „Wieliczka"
Kopalnia Soli Bochnia
Kopalnia Soli „Kłodawa"
Zakład Przeróbki Solanek „SALCO"
Góra Solna Cardona, Hiszpania
Muzeum Anchois i Soli w Escali, Hiszpania
Słowackie Muzeum Techniki - Solivar, Słowacja
Ekomuzeum Saliny Rio Maior, Portugalia

REKLAMY

SEAL

PLAYING ALL THE HITS AND MORE

KONCERT

7 LIPCA 2025

HALA STULECIA, WROCŁAW

SEALOFFICIAL.COM

Bilety: BILETSERWIS.pl

Prestige MIM · BILET SERWIS · onet · proart telewizja kablowa · VIXON MEDIA

REKLAMA

SUBARU **FORESTER**
NOWY WYMIAR WYTRZYMAŁOŚCI

Nowy Forester definiuje wytrzymałość. Jego zdolność do jazdy w każdych warunkach pogodowych i po każdej drodze oraz zaawansowane funkcje bezpieczeństwa pozwalają Ci na nieprzerwany kontakt ze światem wokół Ciebie, Twoimi przyjaciółmi i rodziną. Nowy Forester został stworzony, by żyć w harmonii z naturą.

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI
SUBARU SAFE8

SUBARU

SUBARU ZALECA PRODUKTY

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU
KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS
warta.
Santander Leasing
ENEOS MOTOR OIL
YOKOHAMA